

Vicki Lewis Thompson

Zauroczenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie wiem, jak ten striptizer da sobie radę. - Andi Lombard wprawnie odkorkowała butelkę szampana. Buzujący bąbelkami płyn wlała do kryształowej wazy do ponczu. - Z wyjątkiem mojej małej siostrzyczki, Nicole, pozostałe zebrane w salonie panie sprawiają wrażenie nieco...

- Staroświeckich? - Ginger Thorson uśmiechnęła się szeroko.

- Poważnie! Wszystkie nocne koszule, które dostała Nicole, muszą pochodzić ze sklepu dla westalek.

- Założę się, że ty kupiłaś jej zupełnie inną.

- Ależ skąd, proszę pani! - Andi gwałtownie zamrużyła powiekami. - Kiedy Nicole ubierze się w nią, będzie musiała polewać Bowiego zimną wodą. - Odstawiła pustą butelkę na stół. - Musimy coś zrobić, Ging. Dużo masz jeszcze takich butelek?

- To była ostatnia schłodzona. Ale mam jeszcze kilka w szafce. Sądziłam...

- Schłodź je. I daj stone prażynki. Wspaniale pobudzają pragnienie. Jeśli te matrony nie wypiją więcej szampana, striptizer będzie miał kłopoty.

- Chcesz, żeby się ubzdryngoliły?

- Powiedzmy, że muszę przełamać ich zahamowania, żeby mogły pełniej odbierać nowe doznania.

- Przyszła teściowa twojej siostry też?

- Wiesz, Ginger, to jest straszna baba. Zauważyłaś, jak zachowała się, gdy spotkałam ją po raz pierwszy?

- Poniekąd jak snobka, przyznaję.

- Poniekąd? - Andi popatrzyła karcącym spojrzeniem sponad wymaglinowanych okularów, aż Ginger zachichotała. - Dobry wie

czór, moja droga - powiedziała Andi napuszonym tonem. - Ty musisz być Andi. Nicole mówiła mi, że mieszkasz w Las Vegas.

- Andi zmarszczyła nos, jakby poczuła nieprzyjemny odór. - Ale cóż. Myślę, że każdy gdzieś musi mieszkać.

- Masz rację. To straszna baba. - Ginger śmiała się już głośno.

- Przyznaj. Chciałabyś zobaczyć ją podchmieloną.

- Chciałabym. - Ginger wyjęła z szuflady prażynki i precelki. - Żadnych kanapek. Damy im tylko to. - Wysypała wszystko do misek.

- Ja dopilnuję, żeby ich nie brakło, a ty zajmij się szampanem.

- I wiesz co? Przerwiemy im teraz otwieranie prezentów i zaproponujemy jakieś gry. Masz może „Przypnij mu penis”?

Ginger omal nie zadławiła się chrupkami.

- Chyba jednak nie masz - powiedziała Andi, klepiąc przyjaciółkę po plecach. - Szkoda. - Zanurzyła łyżkę w wazie i podała Ginger do wypicia.

- Andi, przecież one padłyby zemdlone na sam dźwięk słowa „penis”.

- No dobrze. To może „Twister”. To fajna gra.

- One wołałyby chyba raczej coś z kartką i ołówkiem. Andi jęknęła.

- Póki siedzą, będą mogły więcej wypić - zauważyła Ginger.

- No dobrze, niech będzie! Obawiam się, że jedynym sposobem żywienia tego wieczoru jest wlanie w te baby jak największej ilości szampana.

- Andi Lombard, jesteś bardzo, bardzo niegodziwa. - Ginger podniosła wagę. - I Bogu dzięki! Jak mogłoby być inaczej, pomyślała Andi, sięgając po miski z precelkami i prażynkami. Przecież jej mała siostrzyczka wychodzi za mąż. Siostra, z którą przez całe życie była bardzo zżyta. Z dumą i odrobiną zazdrości obserwowała, jak Nicole kończy szkoły i podejmuje pracę w księgowości prestiżowej firmy „Jefferson Sporting Goods” w Chicago. Ona sama bowiem zajmowała się w tym czasie prawie

wszystkim. Od krupierstwa do sprzedaży skuterów wodnych. Nic nie było w stanie zainteresować jej na dłużej.

A za dwa dni Nicole zostanie żoną Bowiego Jeffersona, młodszego brata Chaunceya M. Jeffersona IV. Człowieka, który kierował całym przedsiębiorstwem. Andi nie spotkała jeszcze ostatniego z numerowanych rzymskimi cyframi Jeffersonów, ale wiedziała, że chciał, by mówiono na niego Chance. Nicole twierdziła, że jest całkiem fajny. Tyle tylko, że myślał wyłącznie o interesach. Na szczęście Bowie był zupełnie inny. I choć pełna obaw o siostrę, Andi musiała przyznać, że - w odróżnieniu od niej samej - Nicole wspaniale układała sobie życie.

Gdy weszły do salonu, Andi rzuciła okiem na kieliszek Nicole. Był prawie pełny. Bohaterka wieczoru nie spełniła nawet jednego toastu. Andi przysiadła przy niej i nachyliła się do jej ucha.

- Pij - szepnęła. - Zostałaś w tyle.

Nicole roześmiała się.

- Co tam knułyście z Ginger w kuchni? - spytała.

- Zaufaj mi. Twój wieczór panieński będzie znacznie bardziej interesujący, jeśli zalejesz się w trupa - wyszeptala siostrze wprost do ucha. - Kto chce grać w szarady? - zawołała

Nagle zrobiło się cicho. Oczy wszystkich kobiet wbite były w Andi.

Ginger szybko odstawiała wagę i z małego stoliczka podniosła plik kartek.

- Znam nową zgadywanke. Bardzo uroczą - powiedziała

- Zgadywanke! - Twarz Andi rozjaśniła się uśmiechem. - Mam świetny pomysł. Spróbujmy zgadnąć, jakiej długości pe... ptaszka ma Bowie.

Oczy zebranych kobiet zrobiły się wielkie jak spodki. Gdzieś niedługo rozległy się nerwowe chichoty.

Pani Chaunceyowa M. Jeffersonowa III, rozparta w wielkim fotelu jak monarchini na tronie, zrobiła się purpurowa.

- Nie przypuszczam, byśmy... - zaczęła

- Może spróbujemy przepowiedzieć Nicole, ile będzie miała dzieci? - wtrąciła Ginger. - A potem zagramy w karty.

Andi przestała słuchać paplaniny Ginger. Może jednak powinna

porwać Nicole i Bowiego do Nevady, gdzie mogliby żyć spokojnie i szczęśliwie. Tu, na przedmieściach Chicago, może przygnieść ich ciężar pieniędzy i prestiżu firmy „Jefferson Sporting Goods”, pomyślała.

Podczas gdy panie grały, Andi krążyła wokół stołu i dyskretnie dolewała szampana do ich kieliszków. Dwa razy musiała napełnić wazę. Tylko Nicole nie piła. Lecz Andi nie martwiła się o nią. Jej siostra potrafiła doskonale bawić się na trzeźwo. Za to, ku zadowoleniu Andi, reszta pań nie żałowała sobie alkoholu.

Ginger spojrzała na zegarek i zaproponowała, by otworzyć pozostałe prezenty. Ponieważ zawartość wazy spełniła już swoje zadanie, Andi znów przysiadła obok Nicole i podała jej kolejną, przewiązaną dziewczęzią wstążką paczkę.

Nicole wyjęła z niej grubą, bajową koszulę i głośno zachwycała się ciepłem, które musiał zapewniać ten niewyszukany strój nocny.

- Ciepła i przytulna - powiedziała dama w staroświeckim, brązowym kostiumie. - Oj! Chciałam powiedzieć, ciepła i przyjemna. - Zachichotała. - Boże! Co ja chciałam powiedzieć?!

- Usiłujesz powiedzieć: ciepła i przyjemna, Edno - odezwała się pani Chaunceyowa M. Jeffersonowa III. - Ale płacze ci się język.

Andi spojrzała w stronę Ginger, która mocno zaciskała usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Dolores Jefferson, wygląda na to, że ty też jesteś nieźle wstawiona! - wykrzyknęła kobieta siedząca skromnie w kącie. Nagle zaczęła zsuwać się z fotela. - I ja też! - zawołała radośnie. - Jakie to zabawne. Już od lat nie byłam wstawiona.

- Nonsens - odparła pani Chaunceyowa. - Nikt tu nie jest wstawiony. Usiądź prosto, Mary.

Gdy zbesztana dama bezskutecznie usiłowała wyprostować się w fotelu, Nicole pociągnęła Andi za łokieć.

- Andi, coś mi się zdaje, że one wszystkie...

- Pora na mój prezent! - zawołała Andi, podnosząc paczuszkę z wielką czerwoną kokardą.

- Pora na kawę - mruknęła Nicole.
 - Najpierw otwórz - rzuciła Andi.
 - Ależ wstrętnie zapakowane - zawołała pani z mocno zdewastowaną fryzurą. - Wstrętnie, wstrętnie, wstrętnie. - Roześmiała się głośno, jakby opowiedziała wspaniały dowcip.
 - Co my tu mamy? - Nicole wolniutko unosiła pokrywkę. Jakby bała się, że coś wyskoczy ze środka. - O mój Boże! - Gwałtownie zatrzaskała pudełko.
 - Pokaż nam - powiedziała pani Chaunceyowa, wymachując zamasyżycie kieliszkiem. - Nie uważasz chyba, że jesteśmy sztarswieckie?
 - Pokaż! - zawołała inna dama.
 - Pokaż, pokaz! - skandowały po chwili wszystkie panie, pomagając sobie klaskaniem.
- Ginger przysiadła na podłodze obok Andi i szturchnęła ją łokciem.
- No i jak?
 - Fantastycznie! - Andi uśmiechnęła się szeroko. - Panie są już zupełnie pijane. - Pochyliła się do Ginger. - A mój striptizer powinien zjawić się lada moment.
- Sięgnęła po kamerę i skierowała ją na Nicole, która ostrożnie wyjmowała z pudełka czarne body z rozcięciem w kroku.
- Proszę, proszę! - zawołała zachwycona Ginger.
 - Zawsze chciałam zobaczyć coś takiego - powiedziała pani Chaunceyowa. - Podaj mi to, proszę, Nicole, kochanie.
 - Najpierw ja - zawołała Mary, gramoląc się z fotela. - Ty zawsze musisz być pierwsza, Dolores, kochanie.
 - Ja też chcę obejrzeć - odezwała się Edna, dama w brązowym kostiumie.
- Andi włączyła kamerę. A było co uwiecznić! Pani Chaunceyowa wymachiwała seksowną częścią garderoby, nie pozwalając, by Mary ją chwyciła. A dookoła kłębiły się, chichocząc, pozostałe panie.
- Nieprawdopodobne! - Nicole z niedowierzaniem kręciła głó

wą. - Minęło ledwie kilka godzin, odkąd moja siostra przyjechała do tego miasta, a już moja nobliwa przyszła teściowa zachwyca się wyuzdaną bielizną, sepleni, mówi bełkotliwie i nazywa mnie „kochanie”.

- No to ciesz się. - Andi przerwała filmowanie. - Nieprędko nadarzy się podobna okazja.

- No... chociaż... - Ginger szturchnęła Andi w bok i znacząco kiwnęła głową w stronę drzwi.

- Mam nadzieję. - Andi spojrzała na zegarek. - Robi się późnawo. Ja...

Zadźwiczwał dzwonek u drzwi.

- Bingo! - Zerwała się na równe nogi.

- Andi! - krzyknęła za nią Nicole. - Więcej już nie zniosę. Co jeszcze uknułaś?

- Przekonasz się! Łyknij trochę szampana, siostrzyczko. - Serce żywiej zabiło jej z podniecenia, gdy przyłożyła oko do wizjera w drzwiach.

Całkiem przystojny egzemplarz, pomyślała. Mężczyzna przed drzwiami wyglądał jak uosobienie człowieka interesu. Pod rozpiętym, wełnianym płaszczem miał na sobie granatowy, prążkowany garnitur i błękitną koszulę. Czekając, by go wpuszczono, przyglądał krótkie, ciemne włosy, rozpiął górny guzik koszuli i poluzował czerwono-granatowy krawat.

Być może zebrane w salonie panie będą bawić się dobrze. Ona sama już nie mogła się doczekać. Facet miał wspaniałą szczękę. Popołudniowy zarost dodawał mu uroku. I powagi. Zapracowany urzędnik po długim dniu w biurze. A w neseserze miał zapewne przenośny magnetofon. Jeśli potrafi wystąpić równie wspaniale, jak wygląda, na pewno wzbudzi zachwyt i owacje.

Andi otwarła drzwi.

Na samą myśl, że musi przerwać Nicole jej paniński wieczór, Chance Jefferson poczuł niechęć do samego siebie. Ale przecież

jej podpis na polisie ubezpieczeniowej był absolutnie konieczny. A
ona

nie kwapiła się jakoś przyjść do niego do biura. Tego ranka przylecieli z Niemiec jej rodzice. Zatem aż do wesela będzie już zajęta przygotowaniami. Dopełnienie formalności w dniu ślubu, w kościele, nie wchodziło w rachubę. A nie mógł przecież pozwolić, by jego przyszła bratowa wyjechała w podróż poślubną nie ubezpieczona.

Był potwornie zmęczony. Wyczerpany. Rozpiął kołnierzyk koszuli i poluzował krawat. Był szczęśliwy, że jego brat znalazł Nicole. Lecz Bowie nigdy nie myślał o sprawach takich jak ubezpieczenie. Znowu to on, Chance, musiał wziąć na siebie wszystkie przykre obowiązki.

Wysoka blondynka w króciutkiej spódniczce otworzyła drzwi i uśmiechnęła się doń radośnie. I nagle uleciało gdzieś całe jego zmęczenie. Błyskawicznym spojrzeniem omiótł nieprawdopodobnie zgrabne nogi i podniecającą resztę, obciśniętą czarnym sweterkiem. Jej włosy, choć nieco dłuższe, podobne były do włosów Nicole. Dostrzegł też pewne podobieństwo oczu. Choć oczy Nicole były niebieskie, a jej orzechowe. Orzechowe błyszczące psotnie oczy.

- Ty musisz być Andi. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.
- Owszem. A ty się spóźniłeś. - Chwyciła jego dłoń i wciągnęła go do środka.
- Nie sądziłem - bąknął.
- Szkoda czasu na przeprosiny. Daj mi teczkę.
- Sam ją zaniósę, jeśli pozwolisz.
- Nie możesz robić wszystkiego! - Znowu mu ją wyrwała. - Ja sama się tym zajmę. Wiem, jak to się robi.
- Naprawdę? - rzucił, zafascynowany. Nie mógł uwierzyć, że zamierza sama uzgodnić z Nicole szczegóły ubezpieczenia.
- Każdy głupek potrafi włączyć magnetofon. Szybko, zdejmuj płaszcz!
- Jaki magnetofon? - Pomyślał, że ze zmęczenia wszystko mu się płacze.
- Nie masz magnetofonu? - Zastygła bez ruchu.

- No, mam, ale...

Zostawiła go z płaszczem ściągniętym **do** połowy i stanęła tuż przed nim z rękami na biodrach.

- Chyba nie naćpałeś się, co? Pomału

zdjął płaszcz i rzucił na stolik.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Akurat! Niech no sprawdzę. - Chwyliła go za ramiona i przyciągnęła, by spojrzeć mu prosto w oczy.

Zaskoczony, wstrzymał oddech. Patrząc w te orzechowe oczy, nie mógł przestać myśleć o jednym. Żeby ją pocałować.

- Nie masz rozszerzonych źrenic. Ale daję **słowo**, że jeśli coś brateś, doniosę na ciebie.

- Komu? - spytał łagodnie.

- Nieważne. Wchodź! - Popchnęła go w stronę salonu.

Lecz on nie poruszył się. Choć tak pociągająca, nie będzie mi rozkazywać, pomyślał.

- Potrzebna mi teczka.

- Już ci powiedziałam, że sama się tym zajmę.

- Nie wydaje mi się. - Wyciągnął rękę po neseser, lecz ona była szybsza.

- Ja to zrobię! - warknęła. - Czy mógłbyś wejść i zacząć się wreszcie rozbierać, zanim panie utulają się na amen?! Wybałuszył na nią oczy. Za nic nie mógł doszukać się sensu w zdaniu, które wypowiedziała. Najpierw dotarło do niego, że chciała, by rozebrał się przed grupą kobiet, w której była jego matka. Kiedy właśnie zaczął rozważać fragment o utulaniu się na amen, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Psiakrew! - rzuciła. - Zaczekaj chwilkę. Nie zaczynaj beze mnie. - Za nic w świecie!

Pobiegła do drzwi i szarpnęła za klamkę. W progu stał mężczyzna w policyjnym mundurze. Uśmiechał się.

- Sąsiedzi skarżą się na hałasy - powiedział.
- Bardzo przepraszam. Zaraz będzie ciszej - powiedziała Andi i pchnęła drzwi.

- Chwileczkę. - Przytrzymał je. - Chciałbym rozmawiać z Andi Lombard.

- Słucham.

- Cześć, Andi! Jestem striptizerem.

Chance złożył ręce na piersi. Dobrze jej tak, pomyślał. Zamówiła striptizera na przyjęcie z udziałem najznacniejszych pań w mieście. W tym jego matki! Na dodatek upiła je w trupa. Ma, na co zasłużyła.

Lecz, wbrew własnej woli, zrobiło się mu jej żal.

Długo stała bez ruchu. Wreszcie wykrztusiła słabym głosem:

- Przepraszam was na chwilę. - Minęła zdezorientowanego striptizera i wyszła.

Chance ruszył za nią.

- Zostań tu. Nic nie rób - zwrócił się do młodzieńca.

- Nie ma sprawy. Mogę poczekać.

Znalazł ją na końcu korytarza. Stała, czerwona na twarzy, z zacisniętymi powiekami. Widać było, że ze wszystkich sił walczy ze sobą, by nie krzyżeć.

- Andi, posłuchaj.

- Jakaś litościwa dusza powinna mnie zastrzelić - stwierdziła, nie otwierając oczu.

Jakże piękna była z tymi rumieńcami na policzkach!

- Zostawię dokumenty dla Nicole na stoliku w przedpokoju - powiedział. - Dopilnuj, żeby je podpisała i jutro odesłała do mojego biura. W milczeniu pokiwała głową. Oczy wciąż miała zamknięte. Chciał powiedzieć jej coś miłego, pocieszyć. Lecz powstrzymał się. Człowiek z jego pozycją nie mógł przymykać oczu na niestosowne zachowanie. Nawet wtedy, gdy winowajca był tak uroczy. Wrócił do mieszkania i wyjął dokument z neseseru. Sięgnął po płaszcz i ruszył do wyjścia. Mijając striptizera, zatrzymał się. - Pamiętaj, że większość z kobiet w tamtym pokoju widziała w całym życiu tylko jednego nagiego mężczyznę. Potraktuj je delikatnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie widziałam Nicole już siedem długich miesięcy, pomyślała Andi. Stała przed bramką wyjściową na lotnisku w Las Vegas. Czekwała, aż siostra i Bowie wyjdą z samolotu. Następny tydzień mieli spędzić tylko we troje, w pływającym domu na jeziorze Mead. To był naprawdę wspaniały pomysł. Za dwa miesiące miało przyjść na świat dziecko Nicole i Andi bardzo zależało na spotkaniu z nią. Liczyła na to, że siostra poradzi jej, jak powinna ułożyć sobie życie.

Gdy dowiedziała się, że zostanie ciocią, uświadomiła sobie, że coraz bardziej marzy o stabilizacji. Być może nauczanie jogi, czym zajmowała się ostatnio, było zajęciem pożytecznym, ale potrzebowała akceptacji siostry.

Borykała się z takimi wątpliwościami już wcześniej. Jeszcze przed ślubem Nicole. Ale wtedy brakło im jakoś czasu na dłuższą rozmowę. Po katastrofie z Chance'em Jeffersonem w panieński wieczór siostry Andi starała się zachowywać poprawnie. A do hotelowej fontanny wpadła tylko dlatego, że starała się go za wszelką cenę uniknąć. Musiał pomyśleć, iż wypita wtedy zbyt wiele. Ale to nie była prawda.

I naprawdę to nie była jej wina, że tamci dwaj kelnerzy tak zagapili się na nią, kiedy gramoliła się z fontanny, iż wpadli na siebie. I że całe morze szampana z tac, które nieśli, chlusnęło właśnie na Chance'a. Dzięki Bogu, że nie musiała częściej przebywać w jego towarzystwie.

W tłumie wychodzących pasażerów dostrzegła Nicole. Z okrzykami radości siostry padły sobie w objęcia.

- Cześć, grubasie!
- Nie jestem gruba. - Nicole uściśnęła ją mocno. - Po prostu szmugluję arbuza.

- Czyżby? - zawołał rozbawiony Bowie.

Służy mu kuchnia Nicole, pomyślała Andi i uściśnęła go mocno.

- Coś ty zmajstrował mojej siostrze?!

- To, co chłopcy zawsze robią dziewczynkom - odparł. - Widać, że będziemy musieli poważnie porozmawiać o życiu, bo masz pewne braki w wykształceniu. Co u ciebie? Wpadłaś jeszcze raz do jakiejś fontanny?

Andi wspięła się na palce i szepnęła mu wprost do ucha:

- Wiele ryzykujesz, mówiąc takie rzeczy, gdy mamy spędzić tydzień w pływającym domu. Sam rozumiesz, wypadki chodzą po ludziach.

- Andi - powiedziała Nicole - mamy wspaniałą niespodziankę.

- Bliźnięta?

- Nie. - Popatrzyła ponad jej ramieniem.

Andi odwróciła się i stanęła jak wryta. Za plecami brata, wystrojony jak na przechadzkę po Michigan Avenue, stał Chance Jefferson. Z trudem przełknęła ślinę.

- Spójrz tylko, kto zgodził się pojechać z nami! - zawołała Nicole. - We czwórkę będziemy bawić się jeszcze lepiej, nie uważasz?

Andi spojrzała w niebieskie oczy Chance'a. Dostrzegła w nich zdumienie równe swemu.

- To Andi jedzie z nami? - zwrócił się do Bowiego.

Wrobili go! Andi chyba zresztą też. Dostrzegł to w jej twarzy.

Ruszyli po bagaże. Obie siostry szły przodem, zatopione w rozmowie. Miał nadzieję, że paplają o wózkach i kołyskach a nie o nim. Wyglądało na to, że wbrew jego nadziejom Andi postanowiła przemęczyć się przez tydzień w jego towarzystwie. Byle tylko móc być z Nicole.

Chance chwycił ramię Bowiego i odciągnął go na bok.

- W porządku. - Bowie westchnął ciężko. - Powiniem był ci powiedzieć.

- I jej! Widziałeś wyraz jej twarzy, gdy mnie zobaczyła? Wcale nie była zadowolona.

- Nicole chciała powiedzieć o tym wam obojgu. Jednak się bałem, że przynajmniej jedno z was odmówiłoby. W końcu ciągnęliśmy losy, czy poinformować was, czy nie. I ja wygrałem.

- O co tu chodzi? - Chance zniżył głos. - Czy to ma być jakiś spisek? Żeby zacieśnić rodzinne więzy między mną i Andi?

- Coś w tym rodzaju.

- No, nie! - jęknął Chance.

- Chodzi o to, żebyś poznał ją lepiej, Chance.

- Daj spokój! Nie jestem nią zainteresowany.

- To świetna dziewczyna. Początki waszej znajomości nie były może zbyt fortunne, ale...

- Zwariowałeś? W głowie mi się nie mieści, że próbujesz rać mi siostrę swojej żony! Prawdopodobieństwo, że to się uda, jest jak jeden do miliona. Prędzej skończy się potwornym zamieszaniem. To beznadziejny pomysł, Bowie.

- Czyżby? Widziałem, jak na nią patrzyłeś, kiedy wychodziła z fontanny. Wyglądałeś tak, jakbyś oberwał prosto między oczy.

- I tego właśnie się boję! Kiedy ona jest w pobliżu, życie zmienia się w koszmar.

- Takim samym wzrokiem patrzyłeś na Myrę Oglethorpe, kiedy smaliłeś do niej cholewki w dziesiątej klasie.

- Nie możesz pamiętać, jak patrzyłem na Myrę Oglethorpe.

- Chcesz się założyć? Jesteś moim starszym bratem. Zawsze byłeś dla mnie jak bóstwo. Pamiętam storczykową bluzeczkę, którą kupiłeś jej na bożonarodzeniowy bal. Pamiętam też, jak zaciekle broniłeś się, kiedy mama chciała przepasać cię amarantową szarfą. Ustąpiłeś dopiero wtedy, kiedy powiedziała, że wyglądasz jak Tom Selleck. Byłeś strasznie zdenerwowany. Miałeś pojechać po nią razem z tatą. Ale na dziesięć minut przed wyjściem z domu zemdlałeś.

Chance spojrzął na brata gniewnie.

- A ty zagroziłeś, że powiesz jej wszystko w następnym poniedziałek w szkolnym autobusie, jeśli nie dam ci dwudziestu dolarów.

- To był drobny szantaż. - Bowie wzruszył ramionami. - Musiałem jakoś podreperować swoje kieszonkowe.

- Teraz rozumiem, po co tu przyjechałem. Żebyś mógł mi to wszystko przypomnieć. Do diabła! Bowie, chcę natychmiast wrócić do domu. Mam mnóstwo pracy. A i Andi będzie zadowolona. Wszystkim nam oszczędzi to mnóstwo zmartwień.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz tego.

- Jeżeli usiłujesz namotać coś między Andi i mną, nie mam innego wyjścia. Wiem, choć ty tego nie rozumiesz, że to pomyłka.

- To nie tak.

- A jak?

- To ma być moja urodzinowa wycieczka, pamiętasz? Taka, na jakie zawsze zabierał nas tata

- No tak, ale...

- Kiedy powiedziałeś, że mógłbyś pojechać z nami, poczułem

.. - Bowie zawahał się przez moment. - Jakbyśmy mieli zrobić coś bardzo ważnego.

To był argument! Instynktownie Bowie odwołał się do poczucia odpowiedzialności brata i jego poszanowania tradycji. I choćby Chance pragnął wrócić do Chicago, choćby Andi pragnęła tego jeszcze bardziej, musiał ustąpić.

- Dobrze, jadę z wami - odparł cicho. - Ale z tym swataniem daj sobie, Bowie, spokój. Ja...

Przerwało mu donośne trąbienie wózka bagażowego. Pędził prosto na zatopione w rozmowie Andi i Nicole.

- Nicole! Uważaj! - krzyknął, ruszając do biegu.

Andi zareagowała pierwsza. Uniosła głowę i odepchnęła siostrę. Lecz sama nie zdążyła już uskoczyć. Wózek musiał skręcić gwałtownie, by ją ominąć, i uderzył w gablotę reklamową sklepu z pamiątkami. A Chance poślizgnął się na wypolerowanej posadzce

i z całej siły uderzył w nią siedzeniem. Szczęśliwie walizeczka, którą wypuścił z dłoni, spadła na jakiś tobolek i nie roztrzaskała się. Już się zaczęło, pomyślał. Koszmar.

Andi gotowa była pójść za siostrą do piekła. I zanosi się na prawdziwy tydzień w piekle, pomyślała. Siedziała za kierownicą furgonetki, którą jechali w stronę jeziora Mead. Wszyscy mieli na głowach reklamowe czapeczki z daszkiem, które kupili w sklepie z pamiątkami na lotnisku. Dla, symbolicznego choćby, zrekompensowania szkód. Wszyscy, prócz Chance'a, który schował swoją czapkę do walizeczki. Widać nie pasowała mu do garnituru. Choć, zdaniem Andi, powinien być być solidarny i włożyć ją. Ale cóż go obchodziła jej opinia.

Prowadziła samochód w wielkim skupieniu. Trudne to było, gdyż na fotelu obok niej siedział Chance. Nicole i Bowie zajęli miejsca za nimi. A cała reszta furgonetki wypełniona była bagażami. Bowie zabrał dodatkowy śpiwór dla Chance'a. I wędkę. Jeśli zdołają złapać jakieś ryby, zapasy, które przygotowała Andi, powinny wystarczyć dla czworga. Od strony organizacyjnej obecność Chance'a nie stanowiła problemu. Od strony emocjonalnej -owszem. No cóż, będzie musiała go po prostu ignorować.

Tylko jak to zrobić?! Czy którakolwiek normalna kobieta potrafiłaby zignorować Chance'a? Szkoda, że to nie on okazał się tym striptizerem.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

Zdezorientowana Andi dłuższą chwilę szukała źródła dźwięku. W końcu udało się jej go zlokalizować.

- Twoja walizka dzwoni - powiedziała do Chance'a.

- Ach, tak. Przepraszam. - Położył neseser na kolanach i wyjął z niego telefon komórkowy.

I podczas gdy Nicole i Bowie podziwiali krajobraz, Chance konferował z kimś i robił notatki. Wyglądał tak, jakby znów

znalazł się w swoim biurze przy Michigan Avenue. Zapowiada się uroczy tydzień, pomyślała Andi.

- Popatrz na to jezioro! - zawołał Bowie, kiedy skręcili na drogę prowadzącą do przystani. - Gładkie jak lustro.

- Marzę o tym, żeby wskoczyć do wody i ochłodzić się.

- Ja też - dodała Andi.

- Uważaj - powiedział Bowie. - Dobrze wiem, jak bardzo lubisz wpadać do pierwszego napotkanego zbiornika wody.

- Czasami dużo bardziej lubię wrzucić kogoś do pierwszego napotkanego zbiornika wody - warknęła Andi.

Chance rozłączył się i nadal coś notował.

- Kto to był? - spytał Bowie.

- Eikelhom - odparł Chance, nie przerywając pisania.

- Wiesz - powiedział Bowie - zastanawiam się, czy on polecił nam właściwą agencję reklamową? Widziałem kilka ich projektów. Nie zachwyciły mnie.

- Mhm - mruknął Chance, skupiony na notatkach.

- Gdybyś mi pozwolił, znalazłbym kilka innych agencji, które zrobiłyby to lepiej.

- Eikelhom ma wszystko pod kontrolą. - Chance podkreślił coś i postukał piórem w papier. Widać było, że wcale nie słuchał brata.

- Tak sobie tylko pomyślałem - bąknął zrezygnowany Bowie.

We wstecznym lusterku Andi dostrzegła, jak Nicole pocieszająco poklepała męża po kolanie. Zatopiony w notatkach Chance nawet nie zauważył, jaką przykrość sprawił bratu. Andi poczuła złość. Bowie był wspaniałym chłopcem i nie zasługiwał na takie lekceważenie. Może Chance był uroczy. Może był świetny w pracy. Ale nie miał zielonego pojęcia, jak postępować z własnym bratem.

I nagle Andi poczuła, że prysnęło gdzieś onieśmienie. Okazało się, że Chance Jefferson nie jest ideałem.

Zanim dotarli do przystani, Chance odbył jeszcze kilka rozmów przez telefon. Pomyślał sobie bowiem, że najlepszym sposobem na to, by w nadchodzącym tygodniu nie myśleć stale o Andi, będzie

zajęcie się pracą. Na lotnisko przyjechała po nich ubrana w bardzo kuse szorty i jaskrawozieloną bluzeczkę. Bowie miał rację. Mimo

nieszczęść i katastrof, które sprowadzała, fascynowała go. Lecz emocje, które w nim budziła, były zupełnie inne niż tamte, z którymi borykał się, gdy zadurzył się w Myrze Oglethrope.

Ale też nie był już w dziesiątej klasie. Choć bywały takie dni, kiedy bardzo chciałby znów być nastolatkiem. Wtedy gotów był oddać prestiż i pieniądze za poczucie wolności.

- No dobrze, drużyno, jesteśmy na miejscu. - Andi zatrzymała auto. - Pójdę załatwić sprawy papierkowe, a wy możecie wypakować bagaże. Tam, obok hangaru, stoją wózki. - Wyskoczyła z samochodu i ruszyła do recepcji.

Chance jak zahipnotyzowany spoglądał na jej rozkołysane biodra. Patrzył na nią o dwie sekundy za długo i brat to zauważył.

- Na co czekamy? - wykrzyknął Chance. Udał, że nie dostrzeża uśmiešku brata. Upalne lato Nevady, mruczenie silników motorówek i zapach olejów i spalin przywołały wspomnienie innych, leniwych wakacji, na łódce wujka w Wisconsin.

- Ty, ciężarna, odpoczywaj sobie - powiedział Bowie - a Chance i ja, jak na wyjątkowo dobrze ułożonych dżentelmenów przystało, zajmiemy się bagażami.

- Ach, wakacje! - wykrzyknęła Nicole, szeroko rozkładając ręce.

- Oczywiście, od was, kobiet, oczekujemy, że zajmiecie się kuchnią - dodał Bowie. Nicole wybuchnęła śmiechem.

- Z przyjemnością przyrządzę wszystko, co wy, mężczyźni, złowicie. Ale lepiej nie mów takich rzeczy przy Andi, bo wylądujesz na patelni.

Chance uwierzył bratowej bez zastrzeżeń.

- Chyba wezmę dwa wózki - powiedział. Kiedy podszedł bliżej wody, poczuł gwałtowną chęć wskoczenia do niej, tak jak stał, w ubraniu. Ale nie zrobił tego. Było to może w zwyczaju Andi Lombard, ale nie wypadało Chance'owi Jeffersonowi.

Pchając wózki w stronę furgonetki, pomyślał, że powinien jeszcze przed wypłynięciem zatelefonować do Annalise, swojej sekre

tarki. Żeby nie miała żadnych wątpliwości i dzwoniła do niego zawsze, gdy będzie taka potrzeba. Bardzo bał się, żeby ci z „Ping Golf nie poczuli się urażeni, że nie spotka się z nimi przez cały najbliższy tydzień.

Zastanawiał się, w jaki sposób ojciec potrafił urządzić im te tradycyjne wycieczki urodzinowe. Może to dlatego, że dopiero tworzył firmę i nie czuł aż tak wielkiego obciążenia? On zaś, Chance, musiał borykać się z olbrzymim wyzwaniem. Nie tylko utrzymania, ale dalszego rozwijania przedsiębiorstwa.

Bowie stał obok furgonetki, zamyślony.

- Zbiera się na wspominki, prawda, braciszku? - uśmiechnął się.

- Oj, tak - odparł Chance. Dotąd tylko dwa razy widział Bowiego tak podekscytowanego. W dniu ślubu i kiedy okazało się, że zostanie ojcem.

- Mam nadzieję, że nie masz zamiaru spędzić całego tygodnia z telefonem przy uchu? - powiedział Bowie, układając pakunki na wózku.

- Nie mogę zupełnie zerwać kontaktu z biurem.

- Tata mógł.

- No cóż. Nie jestem tatą.

- Mam nadzieję - rzucił Bowie. - On umarł, mając pięćdziesiąt sześć lat. Stanowczo zbyt wcześnie.

- Nie dbał o siebie. - Chance poczuł, że koszula przykleiła się mu do pleców. Co za upał! - Ja chodzę do siłowni trzy razy w tygodniu.

- Wygląda na to, że to praca akurat dla ciebie. Powiedz, ale tak szczerze, co robisz dla przyjemności?

- Urządzam sobie wycieczki pływającymi domami z moim bratem. - Chance uśmiechnął się.

- Ach! - Bowie otarł pot z czoła. - A zatem jesteś tu dla przyjemności?

- No dobrze, chłopcy, podpisałam cyrograf. - Andi wróciła z biura z plikiem dokumentów w dłoni. - Od tej pory jesteśmy

czasowymi lokatorami dziesięcioosobowego pływającego domu przycumowanego przy pirsie numer 10, w basenie A.

- Powiedziałaś: dziesięcioosobowego? - Chance zamrugał gwałtownie powiekami.

- Taaak - westchnął Bowie. - Pamiętasz? Mówiłem ci, że jedyną łódką, którą mogli nam zaoferować w tak krótkim terminie, była ta, z której zrezygnował jakiś komitet parafialny. Czyli największa.

Chance przypomniał sobie, że rzeczywiście nie słuchał wtedy zbyt uważnie.

- Jak duża jest taka dziesięcioosobowa łódź? - spytał ostrożnie.

- Mam tu gdzieś wymiary. - Andi przerzuciła kilka kartek. - O, są. Mniej więcej czternaście na cztery.

- Metry? - spytał Chance.

- Nie, centymetry - odparła z kamienną twarzą. - Każdy będzie miał na pokładzie dość miejsca, nie uważasz?

- I co z tego, że to duża łódka? - zdziwił się Bowie. - Będzie więcej miejsca do zabawy.

- O co cały ten zgiełk? - spytała Nicole, wychodząc z furgonetki.

- Chance uważa, że łódka jest za duża - odparła Andi.

- Wcale tak nie uważa - zaprotestował Bowie.

- Owszem, uważa - rzucił Chance.

- Posłuchaj - powiedziała Andi - jak już wcześniej mówiłam Bowiemu, dostaliśmy ją po cenie małej łódki, bo poprzednicy wycofali się w ostatniej chwili. Dlatego jeżeli boisz się, że będzie zbyt droga... - Tu nie chodzi o pieniądze. To, po prostu, cholernie wielka łódź.

- I co z tego? - spytała Andi.

- Prawdopodobnie musi napędzać ją więcej niż jeden silnik.

- Oczywiście - odparła Andi. - Ma... - znów przerzuciła kilka kartek - dwie śruby. Tak tu napisano. Kiedy podpisywałam te

wszystkie papiery, wciąż mnie pytali, czy nie chciałabym wykupić specjalnego ubezpieczenia od uszkodzenia śrub napędowych. Ale

powiedziałam im, że mamy w ekipie dwóch doświadczonych sterników.

- Po jednym na każdą śrubę - dodał Bowie z szerokim uśmiechem.

Chance podrapał się po głowie i spojrzał na Bowiego.

- Dwie śruby - powiedział. - Łódź wujka Trevora miała jedną, prawda?

- Dwie śruby, jedna śruba, co za różnica? - zapytał Bowie. - Łódź, to łódź. Dalej, chodźmy już!

Andi wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego.

- Zaczynacie rozmawiać jak Flip i Flap - stwierdziła. - I zaczyna mnie to niepokoić. Dacie sobie radę, prawda? Nie pływaliście nigdy na tankowcu „Exxon Valdez” ani na czymś podobnym?

- Bardzo śmieszne - warknął Bowie.

- Wciąż jeszcze mogę wrócić do biura i wykupić to ubezpieczenie. Mają tam śliczne obrazki. Możecie obejrzeć, co może się stać, jeśli wy dwaj, panowie Cousteau, wpłyniecie na skały.

- Jestem pewna, że to się nie zdarzy - wtrąciła Nicole. - Przecież oni tyle czasu spędzili na łodzi wujka.

- Otóż to - rzekł Bowie. - Ani Chance, ani ja nie zamierzamy zepchnąć tej dziecinki na kamienie, prawda, braciszku? Ubezpieczać śruby. Żarty!

Chance miał całkiem odmienne zdanie. Ale nie chciał spierać się z bratem.

- Damy sobie radę - powiedział. - Nie ma strachu.

- Tak samo mówił kapitan „Titanica” - szepnęła Andi.

To ostatecznie rozzłościło Chance'a. Nie znosił, gdy mu się sprzeciwiano.

- Poradzimy sobie! Możesz mi zaufać. Ładujmy się na pokład naszej łodzi, zamiast sterczeć tu w tym upale.

Pchnęli wózki i kawalkada ruszyła. Po drodze zatrzymali się przy sklepie i zjedli lody. Chance skorzystał z okazji i zatelefono-

wał do Annalise. Gdy Andi i Nicole oddaliły się o kilka kroków, pochylił się ku Bowiemu.

- Zakładam, że wujek Trevor pozwalał ci obsługiwać swoją łódź?

- Żartujesz?!

- Nie dał ci nawet posterować? - Oczywiście Chance'a zabłyśły przerażeniem.

- No pewnie, że nie - mruknął Bowie. - Wujek Trevor uważał mnie za pełnego szajbusa i nie pozwalał mi niczego nawet dotknąć. Ale jestem pewien, że ty masz dość doświadczenia za nas dwóch.

- Niby czemu przypuszczasz, że ja mogłem pływać jego łodzią?

- Bo wszyscy zawsze mówili, że jesteś taki odpowiedzialny, że... - Bowie gwałtownie zatrzymał wózek. - O mój Boże! Tobie też nie pozwalał?!

Chance kiwnął głową.

- Matko Boska, opiekunko żeglarzy! I co teraz zrobimy?

- Zachowamy spokój. - Chance pchnął wózek naprzód. - Obaj czytaliśmy prospekty i ogłoszenia. Nikt nigdzie ani słowem nie wspomniał, że musimy być wykwalifikowanymi żeglarzami, prawda?

- Prawda.

- Nigdy nie kierowaliśmy pływającymi domami, ale obaj pływaliliśmy motorówkami.

- Noo... tak. Raz, czy dwa.

- A na pokładzie na pewno znajdzie się coś w rodzaju instrukcji obsługi.

- I obaj umiemy czytać! Podoba mi się ten plan. Damy sobie radę.

- Chociaż wolałbym jednak trochę mniejszą łódź.

- Może czternaście na cztery metry to wcale nie tak dużo, jak się nam wydaje? Może...

Andi odwróciła się na pięcie i wyciągając teatralnym gestem ramiona, zawołała:

- Oto jesteście! Dom, oto nasz dom!

- Mój Boże! - stęknął Bowie. - To prawdziwy lotnikowiec.

Chance w milczeniu gapił się na monstrualnego kolosa zacumowanego przy pirsie numer dziesięć. Na przedmieściach Chicago widział domy mniejsze od tej łodzi.

Andi i Nicole natomiast były wprost zachwycone. Otworzy reeling i wbiegły na pokład, szczebiocząc i popiskując z radości.

- Faktycznie, przestronnie tu - powiedział Bowie półgłosem. - Prawdziwa Arka Noego.

- Można by nią przepłynąć Atlantycką - dodał Chance.

- Mam lepszy pomysł. - Bowie podrapał się po głowie. - Po prostu zostaniemy tutaj. Ludzie w Seattle tak robią, prawda? Mądrzy ludzie. Mieszkają w pływających domach, na stałe zacumowanych w porcie. Nie muszą martwić się niczym. My też.

- Nic z tego. Wywlecemy stąd tę krykę. To sprawa naszego honoru.

- Hej, chłopcy, chodźcie tu - zawołała Nicole z pokładu. - Jeśli nie pospieszycie się, Andi straci cierpliwość i sama uruchomi silniki.

- Już idziemy! - Chance i Bowie krzyknęły wielkim głosem i rzucili się do trapu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Andi byk oczarowana mnóstwem zakamarków i kryjówek na statku. Kiedy wnieśli na pokład cały ekwipunek, rozpoczęła systematyczne zwiedzanie. Przy okazji dokonała znaczącego odkrycia. Chance wcale nie był taki nieczuły! Choć, przypuszczalnie, bardzo było mu to nie w smak, nie potrafił minąć jej obojętnie. A to mogło się jej przydać. Będzie mogła dać mu nauczkę za złe traktowanie brata.

W końcu zeszli się wszyscy czworo w mesie. Bowie i Nicole rozłożyli swoje śpiwory w kabinie na rufie. Chance wybrał sobie koję w mesie, a Andi w kajucie na śródokręciu.

-Dość już tej krzątaniny. - Nicole zatarła ręce. - Podnieść kotwicę!

- Akurat! - mrukną Bowie i zdjął z półki opasłe tomisko. Instrukcję obsługi urządzeń statku. Chance wyrwał mu ją z ręki i zaczął gorączkowo kartkować. Bowie zerkał mu przez ramię.

Andi przyglądała się im z lekką niecierpliwością. Lecz nie odzywała się. Podwinięte rękawy odsłoniły wspaniale umięśnione ramiona Chance'a.

- No to który z was będzie sternikiem? - spytała w końcu.

- On! - wykrzyknęli równocześnie.

- Fantastyczne! - Andi skrzyżowała ramiona.

- Ustępuję przed twoim wiekiem i doświadczeniem. - Bowie skłonił się przed Chance'em.

Chance popatrzył na niego bardzo, bardzo długo. Potem poszedł do sterówki i usiadł przy kole sterowym.

- Dobrze! - W zadumie przyglądał się przyrządom i wskaźnikom.

- Jesteście pewni, że umiecie to obsłużyć? - spytała Andi.
Zachnęli się gwałtownie, lecz chyba nie rozwiali jej wątpliwości. Chance przesunął palcami po dźwigniach i przełącznikach,
a potem gwałtownie wstał.
- Idę na rufę obejrzeć urządzenia i ustalić, jak trzeba stąd wypływać.
- Świetna myśl. Idę z tobą - krzyknął Bowie. Już w drzwiach powiedział przez ramię: - Rufa to tył statku.
- Dziękuję, kapitanie! - zawołała Andi. - I co myślisz, siostrzyczko? - zwróciła się do Nicole. - Wiedzą, co mają robić?
- Co do Bowiego, nie jestem pewna. Ale mam wrażenie, że Chance zawsze wie, co robi.
- Jest cholernie pewny siebie. Nie drażni cię sposób, w jaki odnosi się do Bowiego?
- Jeszcze jak! Ale, jak zrozumiałam, tak samo traktował Bowiego ich ojciec. Mam nadzieję, że może podczas tej podróży... No, cóż, zobaczymy.
- Pod warunkiem, że w ogóle wypłyniemy.
- Wypłyniemy - powiedziała Nicole uspokajająco. - Obie znamy wielu ludzi, którzy wyruszyli takimi statkami bez żadnego przygotowania. Ci chłopcy mają przynajmniej ogólne pojęcie o żeglowaniu. Jestem pewna, że damy sobie radę. Poza tym, ja naprawdę potrzebuję tego wypoczynku, Andi. Nie miałam pojęcia, że noszenie pierwszego dziedzica Jeffersonów jest takie wyczerpujące.
- Pani Chaunceyowa daje ci do wiwatu, co?
- Nicole uśmiechnęła się krzywo.
- Słyszałaś, że są w sklepach taśmy magnetofonowe z nagraniami w obcych językach? - spytała - Puszczą się je ciężarnym kobietom, żeby ich dzieci przyszły na świat jako dwujęzyczne.
- Kupiła ci je?
- Nie. Zatrudniła nauczycielkę francuskiego. Przyjeżdża trzy razy w tygodniu i przemawia do mojego pępka.

- Nie! - Andi wybuchnęła śmiechem. - A co na to Bowie?
- Nic o tym nie wie. To ma być niespodzianka dla niego.

- Niby jak ma się odkryć ta niespodzianka? Dziecko ma wyskoczyć na świat, krzycząc *bonjour* ?

- Nie mam pojęcia - odparła Nicole z uśmiechem.

- Co ta Francuzka mówi do twojego pępka?

- A skąd mam wiedzieć? Nie znam francuskiego.

- Ja też nie za bardzo, ale mogę spróbować. - Wciąż dusząc się ze śmiechu, ukłękła przed Nicole. - *Parlez-vous francais ?* - szepnęła, stukając w brzuch siostry. - Hej! Kopnęła. Musiała zrozumieć.

- O, na pewno.

- Kochanie, *je vous aime beaucoup* - wysiliła pamięć Andi.

- Co by tu jeszcze? Mam! Ten mały skunksik z kreskówki. - Pochyliła się jeszcze bardziej. - *Pepe le Peu*.

- Och! Co jeszcze? - Nicole śmiała się głośno.

- Tylko tyle umiem. Nie, poczekaj. Jedzenie. Francuska kuchnia. *Filet mignon* - jęknęła, chichocąc. - *Pate defoie gras*. *Croissants*. Dalej, Nic. Gotujesz więcej ode mnie. Pomóż mi.

- *Coq au vin* - zawołała Nicole, śmiejąc się jeszcze głośniej.

- *Coq au vin* - powtórzyła Andi. Ściągnęła usta i wydukała:

- *Chdteau... briand. Vichyssoise. Oui, oui, oui*, wyjdź już, wyjdź, mała rzodkieweczko - zanuciła.

Nicole śmiała się, aż łzy ciekły jej po policzkach.

- Widziałeś, Chance? - rzucił Bowie. - Na pięć minut zostawiłiśmy je same i już postradały zmysły. Co tu się dzieje, Nic?

Nicole potrząsnęła tylko głową. Nie mogła powiedzieć ani słowa.

- To niespodzianka - odparła Andi, wstając. - Ale mogę dać ci wskazówkę. Zaczynaj ćwiczyć „Frere Jacques” pod prysznicem.

* *bonjour* (fr.) - dzień dobry ** *Parlez-vous francais?* (fr.) - Czy mówisz po francusku? *** *je vous aime beaucoup* (fr.) - Kocham cię bardzo. *** „Frere Jacques” - francuska piosenka (kanon), w Polsce znana jako „Panie Janie”

- Rozumiesz coś z tego? - zwrócił się Bowie do Chance'a z dziwnym błyskiem w oku.

Chance gapił się na Andi z tępym wyrazem twarzy. Zafascynowany, obserwował scenę, którą Bowie przerwał. Andi spojrzała mu prosto w oczy i zauważyła w nich zachwyty. Przestraszyła się.

- Chance? - ponaglił brata Bowie.
- Co, hm, przepraszam. O co chodzi?
- Nieważne. Jesteś gotów uruchomić silniki?

- Tak, silniki. - Szybko podszedł do fotela sternika. Przez chwilę wpatrywał się w konsolę. Potem sięgnął do przełączników i po chwili rozległo się głucho dudnienie motorów.

Andi przyglądała się mu uważnie. Zaciśnięte szczęki, skupione spojrzenie. Przepadł bez śladu drzemiający gdzieś w nim chłopiec. Zastanawiała się, czy będzie umiał podczas tej podróży przywołać go jeszcze choć na chwilę. I czy odważy się.

Pomóżcie, Niebios! błagał w duchu Chance. Nie mogę myśleć teraz o Andi! Zasluchany w mruczenie motorów, wciąż miał ją przed oczami, błaznującą przed Nicole. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie na nim zrobiła. Oczarowała go. Musiał to przyznać. A, co gorsza, Bowie znowu przyłapał go na tym. Będzie musiał być przez następny tydzień diablo ostrożny.

- Idź lepiej na rufę i mów mi, co się dzieje - polecił bram. - Kiedy dasz mi sygnał, ruszę do tyłu.

- Hm. Ale... - bąknął Bowie.
- Co? - rzucił Chance niecierpliwie.
- Ciągle jeszcze jesteśmy przywiązani do brzegu. Chance skrzywił się okropnie.

- Zajmę się tym - powiedział Bowie i poszedł na pokład dziobowy.

Jeszcze jedna lekcja, pomyślał Chance. Tak rozmarzył się o Andi, że omal nie wywlókł całej przystani na środek jeziora. A przy tak wielkim statku było to zupełnie prawdopodobne.

- Pójdę mu pomóc - rzuciła Andi i wybiegła za Bowiem.

Chance patrzył z zachwytem na jej gibkie ciało i włosy lśniące w słońcu, gdy krzątała się przy cumach.

- Ona jest niezwykła - powiedziała Nicole. - Nie sposób smucić się w jej obecności. Zawsze potrafi dostrzec jaśniejszą stronę życia.

Chance spojrzął na nią uważnie.

- Sądziłem, że to młodszy są zwykle dzicy i szaleni.

- Powiedz to jej - roześmiała się. Na dziobowym pokładzie Andi wymachiwała cumą jak arkanem i usiłowała spętać Bowiego.

- Tylko nie daj się zwieść jej upodobaniom do figli i psot. Dla tych, których kocha, gotowa jest do wielkich poświęceń.

- Jak Bowie.

- Taaak. - Nicole uśmiechnęła się w zamyśleniu. - Uświadomiłam sobie właśnie, jak bardzo są do siebie podobni. Myślę, że to właśnie urzekło mnie w nim najbardziej.

- Wolałbym, żeby bardziej cieszyła go praca.

- Może gdybyś... - Zamilkła, gdyż do sterówki wpadli roześmiani Andi i Bowie.

Chance poczuł ogromną potrzebę chwycenia Andi w objęcia i pocałowania tych radosnych ust. Też coś!

- Wszystko gotowe? - rzucił.

- Wszystko zabezpieczone i sklarowane, kapitanie. - Bowie zasalutował.

- No to gnaj na rufę, Bowie, i chroń mój tyłek.

- Tak jest, kapitanie!

- Pójdę z tobą. - Nicole podniosła się. - Pomogę ci.

- A już myślałem, że choć na chwilę zostawisz mnie samego. - Bowie łypnął na nią spod oka. - Będziemy na rufie, gdybyś nas potrzebował, kapitanie.

- Tylko nie przynieście wstydu rodzinie - krzyknął za nimi Chance. Wolałby, żeby to Andi poszła na rufę zamiast Nicole. A tak będzie patrzyła mu na ręce. Wytarł o spodnie wilgotne dłonie.

- Nie martw się. Dasz sobie radę - powiedziała.

Zaskoczony, popatrzył na nią. Nie spodziewał się takiego wsparcia właśnie z jej strony.

- Dzięki - mruknął.

- Co w końcu gorszego może nas spotkać? Możesz rozbić statek wart jakąś astronomiczną kwotę, uderzając w inną łódź, wartą jeszcze więcej, i posłać je obie na dno. Zablokujesz wtedy ruch w całym porcie, a tłumnie zgromadzeni na nabrzeżach ludzie będą rzucać w nas zepsutą żywnością.

- Dziękuję raz jeszcze. Naprawdę dodałaś mi otuchy.

- Zawsze do usług - odparła i uśmiechnęła się.

Chance włożył okulary przeciwsłoneczne. Jak Tom Cruise w „Top Gun”, pomyślał. Zrobię to!

Z rufy doleciał głos Bowiego i Chance ostrożnie przesunął manetki na wsteczny bieg. Zabawne. Dłonie przestały mu się pocić.

Zrobiłam to! pomyślała Andi z radością. Usiadła z boku na ławeczce i przyglądała się sterującemu Chance'owi. Udało się jej pokazać mu zabawną stronę sytuacji, sprawić, że rozluźnił zaciśnięte nerwowo szczęki i uspokoił się.

Wolniutko wypłynęli z basenu portowego. I kiedy Bowie dał znak, że droga wolna, Chance przełożył dźwignie. Silniki ryknęły pełną mocą i statek wypłynął z portu. Na rufie rozległy się głośno wiwaty Bowiego.

- Widzisz? - mruknęła Andi. - Łatwizna!

- Chcesz posterować? - spytał.

- Mówisz poważnie?

- Jasne. Czemu nie? Najgorsze jest wchodzenie i wychodzenie z portu. Steruj wzdłuż brzegu. To na pewno nie jest trudniejsze niż prowadzenie furgonetki.

Ostrożnie podeszła do fotela sternika. Gdy objaśniał jej odczyty wskaźników na konsoli, głęboko wciągnęła w nozdrza zapach jego wody po goleniu. Przyznaj się, pomyślała, pociągacie ten facet, co? Nie mogła zaprzeczyć.

- Zrozumiałaś?
- Tak - odparta, choć wcale nie słyszała, co do niej mówił.
- No to jazda.

Szybko zajęła jego miejsce i mocno chwyciła koło sterowe. Powierzchnia jeziora migotała w słońcu. Z prawej strony przesuwiał się skalisty brzeg. Usiadła wygodniej, poprawiła uchwyt.

- Nie odchodź - poprosiła.
- Nie odchodzę. Skręć troszkę w lewo. Tam, gdzie widzisz te zmarszczki na wodzie, jest płyiczna. Kiedy przyjrzyysz się uważnie, zobaczysz wszystkie przeszkody.
- Szkoda, że w życiu tak nie jest, co?
- Oj, tak!

Westchnął przy tym tak żałośnie, że poczuła ucisk w sercu. Zaczynała wyobrazać sobie, jak musiało wyglądać życie syna zmarłego potentata handlowego i matki zatrudniającej francuską nauczycielkę, by przemawiała do nie narodzonej wnuczki. Bowie przyjął pozę lekkomyślnego młodzieńca i dzięki temu nikt niczego od niego nie oczekiwał. Chance musiał zatem dźwigać ciężar za dwóch.

Nawet poprzez dudnienie silników słyszała jego oddech. Wyobrażała sobie, jak mogłoby być, gdyby byli na łodzi tylko we dwoje. I serce zabiło jej żwawiej.

- Jak mi idzie? - spytała.
- Doskonale.
- Jego głos zabrzmiał łagodnie. Czyżby snuł podobne fantazje?
- Dasz sobie radę sama?
- Chyba tak. - Prysły marzenia. - Masz jakieś ważne spotkanie?
- W pewnym sensie. Chciałbym się przebrać. A przy okazji zatelefonuję do kilku klientów w Nowym Jorku i sprawdzę notowania na giełdzie.
- Musisz koniecznie? Spójrz, jakie cudowne mamy popołudnie.

- Muszę.
- I cóż stałoby się takiego, gdybyś nie zadzwonił? Założę się,

że ci twoi klienci będą w biurach także jutro rano. A gdyby nawet na giełdzie nastąpił kompletny krach, i tak niczego nie zmienisz. Choćbyś wykonał nie wiem ile telefonów.

- Przede wszystkim klienci wcale nie muszą być w biurach jutro rano. Mogą odczytać moje milczenie jako brak zainteresowania i zacząć robić interesy z inną firmą. A znajomość cen giełdowych jest mi potrzebna, żebym wiedział, co powiedzieć mojemu maklerowi, gdy zadzwonię do niego jutro rano. Żebym mógł wieczorem przemyśleć każde posunięcie.

- Fascynujące! Nigdy nie wolałeś, dla odmiany, popluskąć się w wodzie?

- Czy ktoś tu mówił o pływaniu? - zawołał Bowie od drzwi. - Nicole poszła włożyć kostium kąpielowy i, zapewne, rozpacza nad utraconą figurą, a ja... Ooo! Ja drzę cały, widząc, kto nas wiezie! Hej, Chance, może powinienem pobiec na górny pokład i wciągnąć na maszt flagi ostrzegawcze?

- Ona całkiem dobrze sobie radzi - powiedział Chance.

Pochwała rozgrzała serce Andi.

- Uważaj, co mówisz, marynarzu! - rzuciła. - Albo kapitan, czyli teraz ja, każe cię wychłostać za niesubordynację.

- Dobrze, już dobrze! Zamykam usta i milczę.

Chance wybuchnął śmiechem.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołał Bowie. - Dziwne dźwięki wypełniły powietrze. Czy to możliwe? Czyżby to rechotał władca absolutny firmy „Jefferson Sporting Goods”.

- Nigdy w życiu nie rechotałem - zaprotestował Chance ze śmiechem.

- Ależ tak! Rechotałeś. Pamiętasz najwspanialszy rechot roku 1975, kiedy potajemnie wpuściliśmy indyki do...

- Nicole już wyszła z łazienki - przerwał mu Chance. - Pójdę przebrać się i zatelefonować.

- Nie chcesz po prostu, żeby Bowie opowiedział o tych indykach i zniszczył twój wizerunek człowieka statecznego i odpowiedzialnego - mruknęła Andi.

- To było tak dawno - odparł. - A teraz musicie mi wybaczyć. Mam pracę do wykonania.

Andi odczekała, aż Chance wyszedł, i powiedziała:

- Powinien był podziękować ci, że pamiętałeś o linach.

- O jakich linach? Chodzi ci o cumy? Przecież to nic takiego.

- Ale mogłoby być, gdybyś mu nie przypomniał.

- Prawdopodobnie nie podziękował, bo wstydził się, że o nich zapomniał. On nie dopuszcza myśli, że mógłby popełnić jakiś błąd. Zwłaszcza od śmierci taty. Dawno, dawno temu był sobie chłopiec, który umiał cieszyć się życiem. A potem wyrósł na nudnego sztyw-niaka.

- Ja wiem, Bowie, że zorganizowałeś tę wycieczkę także po to, żeby Chance nauczył się odpoczywać i bawić. Ale może nic z tego nie wyjdzie. Potrafisz się z tym pogodzić?

- Chyba nie będę miał wyboru. - Bowie zapatrzył się w migoczącą wodę. - Ale jeśli okaże się, że mój brat nie potrafi wyluzować się w tak fantastycznych warunkach, to będzie znaczyło, że jest z nim dużo gorzej, niż myślałem.

- Nie ma nic okropniejszego niż ciężarna kobieta w kostiumie kąpielowym - jęknęła rozpaczliwie Nicole. Stała na pokładzie dziobowym, by mogli dokładnie ją obejrzeć. - Popatrz tylko, siostrzyczko. Boję się, że gdybym wskoczyła do wody, zaraz zaczęłoby rzucać do mnie harpunami.

Bowie podbiegł do niej i objął czule.

- Nigdy na to nie pozwolę, kochanie.

- Daj spokój, Nic. Wyglądasz całkiem nieźle - powiedziała Andi. Ubrana w kostium kąpielowy Nicole wyglądała jak jajko na szczydłach. Ale Andi poczuła bolesne ukłucie zazdrości, gdy uświadomiła sobie, że już niedługo Nicole będzie miała córeczkę. Żadna cena za taki skarb nie jest zbyt wygórowana, pomyślała. - Wyglądasz uroczo - powiedziała.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - zawołał Bowie i pocałował żonę.

- Jeszcze tylko dwa miesiące - dodała pocieszająco Andi.

- To prawda - odparła Nicole. - Nigdy nie żałowałam, nie skarżyłam się. Ale teraz marzę wprost o tym, by wskoczyć do tej chłodnej, czystej wody.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział Bowie. Osłonił oczy dłonią, rozejrzał się dookoła i krzyknął: - Ziemia! Ziemia!

- Komu w drogę, temu czas! - Andi uznała, że przyszła pora, by ona objęła komendę. - Pędź, marynarzu, powiedz Jego Urzędniczej Wysokości, że jest potrzebny na mostku. Będzie mógł wrócić do swojego laptopa, kiedy przybijemy do brzegu. Już najwyższy czas zacząć zabawę!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwie godziny później Andi, Bowie i Nicole siedzieli na rozstawionych na pokładzie rufowym plastikowych fotelikach. Stopy oparli o reling, zarzucili wędki i popijali piwo. Prócz Nicole, która musiała zadowolić się napojem chłodzącym bez alkoholu.

Kiedy wypatrzyli przytulną zatoczkę z piaszczystą plażą, skierowali tam łódź i głęboko zaryli dziobem w piasek. Potem Bowie i Chance wbili jeszcze dla pewności w piach grube, stalowe kołki i uwiązali do nich cumy. Gdy skończyli, wszyscy pobiegli do wody. Tylko Chance wrócił do kabiny, do swojego komputera.

- Trzeba było kupić jakąś żywą przynętę - powiedziała Andi.

- Masz rację - zgodziła się Nicole. - Możliwe, że te wabiki to najlepszy towar u Jeffersonów, ale na rybach z jeziora Mead nie robią najmniejszego wrażenia.

- Chciałbym coś wypróbować. - Bowie wstał i podał swoją wędkę Nicole. - Mogłabyś przytrzymać ją przez chwilę? Zaraz wrócę.

- Oczywiście. I tak nic nie bierze - odparła Nicole.

Bardzo była Andi na rękę ta chwila samotności z siostrą. Chciała poznać jej opinię na temat swoich planów zawodowych. Ale nie zależało jej na tym, żeby Bowie czy Chance - zwłaszcza Chance - wtrącali swoje trzy grosze.

- Posłuchaj - zaczęła. - Zanim Bowie wróci, chciałabym porozmawiać z tobą o pewnych moich planach.

- Tylko nie mów mi, że chodzi o sztuczne zapłodnienie.

- Co?!!

- Nie rób tego, Andi. Widziałam tę tęsknotę w twoich oczach.

A to zwykle oznacza, że zamierzasz zrobić coś szalonego. Wiem, że posiadanie dziecka wydaje ci się wspaniałe. Ale nie masz przecież stałych dochodów, a samotne wychowywanie dziecka, nawet gdy ma się dość pieniędzy, jest bardzo trudne, więc...

- Stop. Stop, Nicole! Taka myśl nigdy nie zaświtała mi w głowie.

- Nigdy?

- No dobrze, raz. Kiedy zatelefonowałam do mnie i taka podniekszycowana zastanawiałaś się, na jaki kolor pomalować pokój dziecięcy. I powiedziałaś, że kupiłaś już pierwszego pluszowego misia. Wtedy hipotetycznie rozważałam taką możliwość.

- Aha!

- Ale doszłam do tych samych co i ty wniosków. Najpierw powinnam poukładać sobie życie, zanim zacznę myśleć o wydaniu na świat dziecka. I chciałabym, oczywiście, znaleźć jakiegoś uroczego chłopca. I mnie byłoby łatwiej, i dziecku. - Uśmiechnęła się tryumfalnie. - No to jak? Zaliczyłam?

Nicole zamoczyła palec w soku i zrobiła trzy kreski na ramieniu siostry.

- Dobra robota, żołnierzu - powiedziała.

- Boże! Tata tak robił. Pamiętasz, jak naprawdę zaczął nadawać nam stopnie wojskowe?

- Pamiętam. Okropnie tego nie cierpiałam, bo ja zawsze byłam wyższą rangą.

- Chyba wtedy postanowiłam, że nigdy nie poddam się żadnemu drylowi. Ale przychodzi taki czas... Nie śmieję się. Całkiem poważnie myślę o doskonaleniu metod nauczania jogi i otwarciu własnej szkoły.

- Nie śmieję się. Czy można na tym zarobić?

- Nareszcie mówisz jak Nicole, którą znam. Nie jakies: „Ach! cóż za wspaniały pomysł!”, tylko: „Czy można na tym zarobić?”.

- Czy nie o to właśnie ci chodziło? Żebyśmy rozważyła wszystkie za i przeciw?

- Chyba o to - westchnęła Andi. - Nie. Nie da się w ten sposób

zarobić dużo. Ale nie chcę się spieszyć. Wolę tworzyć własną firmę powoli, ale samodzielnie. Sama dla siebie.

- Wydaje mi się, że to bardzo dobry plan. Moim zdaniem nie umiałabyś pracować u kogoś.

- Dzięki. Ja też tak uważam.

- No i mamie bardzo ulży, że nie wybierasz się do banku nasienia.

- Mama też sądziła, że zamierzam poddać się sztucznemu zapłodnieniu? Nicole nasunęła głębiej czapeczkę na oczy.

- Ona uważa, że lubisz wtrącać się w to, co ja robię.

- Nie wtrącam się.

- A co było z gupikami, pamiętasz?

- To nie była moja wina.

- Akurat! A kto wpuścił żarłacza do akwarium, kiedy mnie nie było w domu? Chociaż to on wykończył Myrtle, Harry'ego, Genevieve i Berniego, ale to ty go nasłałaś na moje biedactwa.

- Uważałam, że mały rekinek jest dużo ładniejszy od gupików. Chciałam tylko, żeby je trochę postraszył. Nie wiedziałam, że je zeżre.

- Skoro już mówicie o jedzeniu ryb, bardzo liczę na to podczas tej wycieczki. - Na pokładzie pojawił się Bowie. - Mam nadzieję, że złapię coś większego od gupika. Która z was ma ochotę wypróbować moją nową przynętę? - Na jego otwartej dłoni leżały dwa opalizujące pęczki piórek i koralików.

- Och! Bowie! Nie bierz ich. Będę je nosić już niedługo. Obiecuję. Muszę tylko przyzwyczaić się do nich - zawołała Nicole.

- To są kolczyki? - Andi spoglądała na migocące kolorowe cacka. - Cudowne!

- Przyszedł mi kiedyś taki pomysł do głowy - Bowie wzruszył ramionami - i zrobiłem je dla Nicole. Ale ona nie przepada za nimi. Woli raczej perły i diamenty.

- Ale nie ja - stwierdziła stanowczo Andi. - Uważam, że są doskonałe. Nie wrzucisz ich do wody! Dawaj je tu zaraz!
- Są twoje. - Bowie wyciągnął do niej rękę.
Andi przypięła kolczyki natychmiast.
- Cała ty - powiedziała Nicole.
- W dobrym czy złym znaczeniu?
- W jak najlepszym. - Nicole ścisnęła jej kolano. - W końcu przyturlałam się tutaj, żeby spotkać się z moją Andi i nadrobić czas rozłąki. Rozmowy przez telefon są jakimś rozwiązaniem, ale wolę takie twarzą w twarz.
- Tęskno ci za mamusią i tatusiem, co? Nicole posmutniała.
- Czasem żałuję, że nie mieszkacie tutaj - ciągnęła Andi.
- Myślę, że całkiem by mi to odpowiadało. - Bowie przeciągnął się leniwie.
- Chance'owi chyba nie - mruknęła Andi. - Wciąż ślęczy nad tym swoim laptopem?
- Niestety, tak - odparł Bowie.
- Zupełnie nie rozumiem, jak on może siedzieć tak pod pokładem nad głupim komputerem, kiedy świat wokół jest taki piękny.
- Szczerze mówiąc, też tego nie rozumiem - powiedział Bowie. - Przecież on uwielbia łowić ryby. Zupełnie jakby nas unikał.
- Tak. To bardzo dziwne.
- Noo. - Nicole rzuciła Andi wymowne spojrzenie. - Chyba że...
- Co? Czemu tak na mnie patrzysz?
- Ten twój czerwony kostium robi piorunujące wrażenie.
- Zmieniasz temat.
- Wcale nie. Przebrałaś się, kiedy chłopcy wbijali kołki na plaży i wiązali łódź, pamiętasz?

- I co z tego? Skorzystałam tylko z okazji, żeby nikogo nie krępować swoją golizną. Trudno tu o całkowite odosobnienie. Nie zauważyłaś? Przydałoby się na tym statku więcej drzwi.

- Owszem, zauważyłam. Zauważyłam także reakcję Chance'a, kiedy pokazałaś się w tym kostiumie. Ślinił się na twój widok.

- Czyżby? - wtrącił Bowie. - Hej, daj spokój.
- Nie wierze ci - mruknęła Andi. Nie wiadomo czemu, pokryła się gęsią skórką.
- Ale takie są fakty - odparła Nicole. - Zaraz po twoim przyjeździe oświadczył, że nie chce pływać i ma mnóstwo pilnej pracy. Nagle się okazało, że musi sporządzić jakieś bardzo ważne notatki.
- One są zapewne bardzo ważne. Przynajmniej dla niego. - Andi poczuła przyjemne podniecenie.
- Podoba mi się rozwój sytuacji - powiedział Bowie. - Pierwszy dzień i już taki postęp.

Chance wciągnął głęboko w nozdrza aromat pieczonego mięsa. Poczł nagle dziki głód. Wyłączył komputer i wyrztał na zewnątrz. Spoza ławicy chmur nad horyzontem słońce rzucało ostatnie promienie.

Zachodzące słońce, stek smażony na plaży. I Andi. Gdy oderwał się wreszcie od pracy, wyraźnie usłyszał jej śmiech i magnetofon wygrywający tropikalne rytmy. Westchnął. Po raz pierwszy od wielu lat nie wiedział, co robić. To znaczy, doskonale wiedział, co chciałby robić. Zaprzyjaźnić się ze ślicznotką w czerwonym kostiumie kąpielowym. Ale na to nie mógł sobie pozwolić. Firma Jefferson Sporting Goods" żądała od niego całkowitej lojalności. A była to okrutnie zazdrosna jejmość.

Chwilami niemal słyszał głos ojca: „Akcjonariusze oczekują od nas, synu, że zapewnimy im zyski i stabilny rozwój. Podejmuj ryzyko, ale nie posuwaj się do brawury. Uważaj na Bowiego. On nie dostrzega tej różnicy". Owszem, wspaniale było być tym wybranym, dzierżącym władzę. Ale też był to ciężar, który zdawał się rosnać z dnia na dzień. Chance nigdy nie przypuszczał, że może nadejść kiedyś taki dzień, iż zacznie zazdrościć Bowiemu. A jednak, stało się.

„Uważaj na Bowiego". Gdyby ojciec spotkał był kiedykolwiek Andi, na pewno i przed nią przestrzegłby Chance'a. Ale przecież

nie wypadło przez cały tydzień stać na uboczu i unikać jej. Byłoby to aroganckie i niegrzeczne. A poza tym był już głodny jak wilk.

Wyszedł na pokład i rozejrzał się. Całe towarzystwo siedziało w plastikowych fotelikach ustawionych na plaży. Jeden był pusty. Pozwolili mu zająć się pracą, ale widać było, że liczyli, iż przyjdzie do nich na kolację. Tak przywykł, że ludzie szukali jego towarzystwa ze względu na jego pozycję w firmie, że świadomość, iż ktoś chciałby być razem z nim z czystej sympatii, była dla niego szokująca.

Ustawili foteliki półkolem przy ogniu, w kierunku czerwieńca na zachodzie słońca. Nie zauważyli go. Stał więc i przyglądał się im. Bowie wciąż miał na sobie kąpielówki. Narzucił tylko na siebie rozpiętą koszulę. Nicole fotografowała go właśnie, rozpartego leniwie, z puszką piwa w dłoni. Zapewne ze względu na swój odmienny stan włożyła na kostium cienką sukienkę. Oboje uśmiechali się radośnie. Wyglądają na szczęśliwych, pomyślał Chance z czułością.

Inne zgoła uczucia wzbudziła w nim Andi. Spod nałożonej na czerwony kostium długiej, zwiniętej jak sarong spódnicy, wystawały smukłe uda. Chance z trudem przełknął ślinę. Chyba lepiej już pójdę, pomyślał. Zdjął buty i przez otwartą bramkę w relingu na dziobie zeskoczył na plażę.

- Witaj i rozgość się! - Bowie uniósł wysoko w geście powitania puszkę z piwem. - Grog w tych stronach jest całkiem niezły.

- Towarzystwo też nie najgorsze - dodała Nicole.

- Tylko z wędkowania nici - powiedziała Andi. - Ale grog i towarzystwo rekompensują to z nawiązką.

- Domyśliłem się, że nic nie złapaliście, kiedy poczułem zapach steków. - Usiadł na wolnym foteliku. Tuż obok Andi.

Bowie rzucił mu puszkę piwa.

- To Andi wybierała - powiedział. - I wiesz co? Ta kobieta zna się na piwie.

- Bardzo poszukiwany talent - powiedziała Andi.

- Dobrze. - Chance wypił duży łyk. Popatrzył na Andi i spo

strzegł kolczyki. - Te haczyki w twoich uszach to dla ozdoby, czy jesteś ofiarą niezwykłych umiejętności wędkarskich Bowiego?

- Hola! - rzucił Bowie. - Owszem, zdarzyło się, że zaczepiłem haczykiem o damski policzek. Ale to nie była...

- Fuj! Bowie! - Nicole skrzywiła się. - Mogłeś tę kobietę nawet oślepić!

- To nie o taki policzek chodzi - wyjaśnił Chance. - A poza tym ona miała wtedy na sobie bardzo skąpe bikini.

- To niczego nie zmienia, Bowie. Mam nadzieję, że teraz jesteś ostrożniejszy przy zarzucaniu wędki.

- Oczywiście. Chociaż wtedy nie zarzucałem wędki. Wynajęliśmy łódź i popłynęliśmy na ryby. Wszyscy mieli na sobie szorty i koszulki. Tylko ona jedna - sklonowana Bo Derek - nie. Była z niej chyba jakaś wielka szyszka. Szarpałem się właśnie z wędziskiem, gdy wyszła na pokład. Wiła się i podrygiwała, jakby ze słuchawek, które miała na uszach, płynęło „Bolero”. Zdekoncentrowało mnie to troszeczkę. A potem wbiłem jej haczyk w tyłek.

- Och! - wykrzyknęła Nicole. - Postąpiła wyjątkowo niemądrze. Kim była ta idiotka?

- To była dziewczyna Chance'a.

Andi wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Załatwił cię, Chance! - zawołała. I posłała mu spojrzenie, od którego ciarki przebiegły mu po plecach. - Lepiej nie zadzieraj z bratem, człowieku.

- Świetna rada - odparł Chance. Dobrze pamiętał tamtą dziewczynę, którą zaprosił na ryby. Nie znał jej zbyt dobrze. Jak resztą większości kobiet, z którymi się umawiał. Żeby poznać kogoś, trzeba trochę z nim pobyc. Na to zaś Chance nigdy nie miał czasu.

- Wracając do twojego pytania o ozdoby w moich uszach, zrobił je Bowie. Przyjrzyj się. - Pochyliła się ku niemu.

Zamiast gapić się na kolczyki, Chance wolałby ugryźć ją w ucho.

- To chyba nie jest wabik? - spytał niepewnie.
- Właściwie, to nie - odparł Bowie. - Chciałem tylko zrobić coś ładnego. Nicole nie spodobały się, za to Andi bardzo.
- Uwielbiam je. - Andi usiadła wygodniej i wypła trochę piwa. - Słuchajcie wszyscy, alarm słoneczny! Niebo w ogniu!
- Ojej - szepnęła Nicole z zachwytem. - Już zapomniałam, jak wspaniale potrafią być zachody słońca.
- Chance sączył piwo, słuchał dudnienia bębnów z magnetofonu i chłonał grę złota i czerwieni ponad grzbietami gór.
- Zupełnie jakby patrzyło się na niebo przez różowe okulary, prawda? - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem Andi.
- Chance spojrzął na Bowiego i Nicole. Przytuleni, trzymali się za ręce.
- Albo jakby oglądało się gigantyczne malowanie palcami - powiedział.
- To lubię. - Andi uśmiechnęła się. - Zawsze przepadałam za malowaniem rękami.
- Ja też.
- Patrzyli w milczeniu na ciemniejące niebo i pojawiające się gwiazdy.
- Kiedy robiłeś to po raz ostami? - spytała.
- Trzydzieści lat temu. - Zabawne, ale wciąż czuł specyficzny zapach i chłodny dotyk farb pod palcami.
- Żałuję, że nie zabrałam farb na tę wycieczkę.
- Nasza kuzyneczka jest chyba za mała, by malować - zażartował i nagle spoważniał. Nasza kuzyneczka, pomyślał. Wujek Chance. Ciocia Andi. Kiedy dziecko przyjdzie na świat, połączy ich jeszcze bardziej.
- Myślałam o farbach dla nas - powiedziała Andi. - Byłaby świetna zabawa.
- Oho! Już widzę ciebie i Bowiego, malujących zawzięcie.
- Miałam na myśli ciebie, nie Bowiego.
- O, tak. Pewnie! - warknął.
- A czemu nie?

- Ponieważ dla mnie to zbyt dziecinne zajęcie. - Zorientował się, jak niegrzecznie zabrzmiała jego wypowiedź, i skrzywił się.
- Przepraszam. Miałem tylko na myśli...
- Dokładnie to, co powiedziałaś - wtrąciła. - Ale ja wcale nie czuję się obrażona. Prawdę mówiąc, żal mi ciebie.
- Żal ci?! - Wyprostował się na krześle. - A cóż to, u licha, miało znaczyć?!
- Chance, uważaj - rzuciła ostrzegawczo.
- Ach, jakaż upajająca cisza dokoła - powiedział Bowie.

Słycha
ć tylko
głosy
nocnyc
h
ptaków
. I
pełen
oburze
nia
krzyk
mojeg
o
brata.

- Lituje się nade mną, bo nie lubię malować rękami! - warknął Chance.

- Chance, nie! - Andi zerwała się na równe nogi. Luźną spódnicą zaczepiła o poręcz krzesła i straciła równowagę.

Chance podskoczył, by ją złapać. Potknął się o kamień, zachwiał, lecz nie upadł. Ona także! To cud, pomyślał. Czyżby szczęście zaczęło uśmiechać się do mnie? Uwolnił ją z objęć z westchnieniem ulgi, że udało mu się uniknąć gorszego nieszczęścia.

- Lituje się nade mną! - zwrócił się do Bowiego i Nicole. - Dacie wiarę? - Pewnie. - Bowie podniósł się z krzesła. - Mnie żal nas wszystkich. Przez was nasze steki wpadły w popiół.

- Psiakrew! - Chance odwrócił się do ognia. Odruchowo chwycił skwierczący połec mięsa i wypuścił go jeszcze prędej. - Niech to diabli! - Wetknął poparzone palce do ust. Koniec uśmiechów losu, pomyślał.

- Proszę, to jest specjalny widelec. - Andi wymachiwała mu tuż przed nosem ostrym narzędziem.

- Uważaj, kobieto! - Chwycił ją za rękę. - Zaraz nadziejesz mnie na ten szpikulec.

- Próbowałam tylko chronić cię przed ogniem! Zrobić ci opatrunek?

- Najlepsza będzie musztarda. - Nicole podniosła się z trudem. - Zaraz.

- Nie, ja pójdę - powiedział Bowie. - Po wypiciu dwóch piw musiałbym mieć tu dźwig, żeby wsadzić cię na pokład, kochanie.

- Bowie Jefferson, odszczekaj to natychmiast!

- Tak jest, Bowie - powiedziała Andi. - Spróbuj sam dźwigać arbuza w brzuchu i skakać jak kozica.

- Proszę o wybaczenie, szanowne panie. - Bowie uklonił się nisko i pocałował żonę w policzek. - Chance, chłopie, myślę, że możemy udać się na statek i opatrzeć twoje palce. Potem przyniesiemy więcej napitków i sałatkę. A tymczasem ta urocza, *petite*, utalentowana kobieta wyciągnie nasze steki z żaru. Może, jeśli szczęście nam dopisze, kobiety znajdą w sobie dość litości i podzielą się z nami kolacją.

- Nie liczcie na to - zawołała za nimi Nicole.

Chance podążył za Bowiem.

- Strasznie mi przykro, że zrzuciłem mięso do paleniska. Cholera jasna! - wrzasnął z bólu, gdy zawadził o kawał drewna.

- Co się stało?

- Potknąłem się.

- Chyba bardzo dawno nie spacerowałaś boso po plaży, co, braciszku? Musisz trochę uważać.

- Wiesz, Bowie, mam wrażenie, że stoję pośrodku pola minowego.

- Wyluzuj się, braciszku. Jesteś wśród przyjaciół.

- Niektórzy są bardziej niebezpieczni niż wrogowie - mruknął Chance pod nosem.

* *petite* (fr.) - mała

ROZDZIAŁ PIĄTY

Andi była tak głodna, że nie przeszkadzał jej nawet swąd spalenizny. Siedzieli z talerzami na kolanach i usiłowali jeść. Jednak kiedy kolejna próba przekrojenia kotleta za pomocą noża i widelca omal nie skończyła się zrzuceniem potrawy w piach, Andi odłożyła sztucce i chwyciła mięso palcami.

- Mogli moi przodkowie, mogą i ja - oświadczyła.

- Dobrze ci mówić, bo masz czym chwytać. - Chance uniósł w górę trzy grubo obandażowane palce.

- Dobrze wiem, że potrafisz kierować jedną ręką - powiedział Bowie. - Założę się, że potrafisz także jeść.

- No tak - wtrąciła się Nicole. - Stara sztuczka z kierowaniem jedną ręką. Lewa ręka dla kierownicy, prawa dla nas, waszych dziewczyn. Wiem coś o tym.

- I zawsze wydawało się im, że są tacy delikatni - dodała Andi.

- Gapili się wprost przed siebie, jakby w ogóle nie zauważali, że siedzisz tuż obok. Tylko ich ręka żyła własnym życiem jak Rąsia z „Rodziny Addamsów”.

- Wolałybyście, żebyśmy patrzyli na was?! - spytał Chance.

- Nie należy odrywać oczu od przedniej szyby auta.

- No pewnie. - Andi roześmiała się. - Bo mogliście jeszcze rozbić samochód.

Zauważyła, że Chance kończył już drugie piwo. I że dało to pożądaną skuteczną postawę. Postanowiła, że jeśli tylko uda się jej uniknąć kolejnego nieszczęścia, spróbuje wykorzystać sytuację.

- Idę umyć ręce w jeziorze. Kto pójdzie ze mną? - rzuciła.

- Jeśli dobrze to rozegram, to moje ręce wylizę do czysta Nicole

- powiedział Bowie.

- Chyba tylko we śnie, Romeo - odpada Nicole. - Andi, mogłabyś przynieść mi mokrą serwetkę? Chyba już nigdy nie zdołam ruszyć się z tego miejsca.

- Dla ciebie wszystko, złotko.

- Jesteś zmęczona, motylku? - spytał Bowie.

- Wykończona - odrzekła Nicole. - Nie zapominaj, że tu jest dwie godziny później niż w Chicago. To był wyjątkowo męczący dzień dla ciężarnej damy.

- No, to chyba nici z szalonych tańców na plaży - powiedział Bowie ze smutkiem.

- Potańcz z Andi.

- A co z Chance'em?

- Z nim też zatańcz. A mnie pozwól strawić w spokoju stek.

Tańce na plaży? O tym Andi nie pomyślała. Ciekawe, czy Chance przyłączy się do zabawy, czy znów ucieknie?

Stała na brzegu jeziora. Ze zdumieniem spostrzegła, że woda pełna jest gwiazd. Zanurzyła dłoń i zmaciła ciemną taflę. Miliony ogników zamigotały pod jej palcami. Aż po kres horyzontu jezioro lśniło i mieniło się. Urzeczona pięknem tego widoku, uniosła wysoko rękę i zawołała:

- Alleluja!

- Amen, siostrz! - krzyknął Bowie.

- Gdybyście choć na chwilę unieśli głowy znad misek, też zobaczylibyście te gwiazdy - powiedziała Andi.

- Są cudowne - zachwyciła się Nicole.

- Ale żadna nie dorównuje tobie.

- Uspokój się, Bowie. I tak z tobą nie zatańczę.

- Zupełnie jakby jakiś czarnoksiężnik nakrył niebo swoją pele-ryną. - Andi wysoko zadarła głowę.

- Zawołaj mnie, kiedy zobaczysz Elvisa chodzącego po wodzie - poprosił Bowie. - A tymczasem wkładam do magnetofonu taśmę z muzyką taneczną. Pomimo sprzeciwów mojej grubaśnej zonki zaczynamy Wielki Pokładowy Bal Jeffersonów na jeziorze Mead.

Andi schyliła się, by zmoczyć chusteczki. Z uśmiechem słuchała, jak Bowie usiłował nakłonić Nicole do tańca.

- No, chodź, Nic. Tylko chwileczkę.

- Zapomnij o tym, Fredzie Astaire. Koniec i kropka.

Podrygując w rytm muzyki, Bowie stanął przed Chance'em.

- Czy mogę prosić cię do tańca? - spytał.

Ku zaskoczeniu Andi, Chance zerwał się ochoczo i po chwili obaj podskakiwali jak szaleni.

- Czyż nie jesteśmy wspaniali?! - krzyknął Bowie. - Czy nie wspaniale czujemy rytm?

- Czyż nie wypiliście zbyt dużo piwa? - Nicole wybuchnęła śmiechem.

Andi stała bez ruchu. Woda z chusteczek kapała jej na stopy. Bała się poruszyć, żeby Chance nie przerwał tej zabawy i nie uciekł do swojej pracy.

- Chodź tu, Andi! - zawołał Bowie. Wyjął jej chusteczki z dłoni. - Zmiana - zawołał i popchnął ją na swoje miejsce.

Z niepewnym uśmiechem dołączyła do Chance'a. I po chwili wirowali po piasku w rytmie cza-czy. Nie dotykali się, lecz każdy krok, każdy obrót wykonywali w tym samym momencie. Jakby tańczyli razem już od lat.

Muzyka zmieniła się. Zabrzmiała melodia wolna i rzewna. Bowie znów zaczął nalegać i w końcu Nicole niechętnie ustąpiła.

- Ale tylko ten jeden taniec! - zastrzegła.

Przez mgnienie oka Chance i Andi stali bez ruchu. Potem on zrobił krok i wziął ją w ramiona. Zarzuciła mu ręce na szyję, głęboko wciągnęła w nozdrza podniecający zapach jego wody po goleniu.

Ich ciała poruszały się leniwie w rytm rzewnej melodii. Lecz Andi czuła, że serce Chance'a bije jak oszalałe. I że jej serce też jest niespokojne. Na pewno po szalonej cza-czy. Na pewno! A może nie?

Uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. Tak intensywne, że aż zapierało dech w piersiach.

Powolutku pochylił głowę. Andi rozchyliła zachęcająco usta. Zamknęła oczy.

I nagle oboje znaleźli się w objęciach jeszcze jednej pary rąk.

- Nie przerywajcie sobie - powiedział Bowie. - Nicole ma już dość. Idziemy spać.

Czarowny nastrój prysnął jak mydlana bańka.

- Dobra myśl - zgodził się Chance.

- O, tak. Dla wszystkich to był męczący dzień - dodała Andi. Miała ochotę zabić Bowiego gołymi rękami. - Idźcie, chłopcy, pierwsi. I tak musimy na raty korzystać z łazienki. Ja zostanę tu jeszcze trochę. Poćwiczę jogę. Rozumiecie, nie mogę przestać trenować.

- Naprawdę? - spytał zdziwiony Chance.

- Oczywiście. Wciąż trzeba dbać o siebie. Żeby nie stracić elastyczności i gibkości. Zwłaszcza wtedy, gdy ma się służyć za przykład innym.

Chance wciąż nie rozumiał, co miała na myśli.

Poczuła się trochę urażona.

- Nie tylko ty myślisz czasem o swojej pracy.

- Na pewno nie. No cóż, dobranoc. - Ruszył ku łodzi, gdzie Nicole, przy pomocy Bowiego, usiłowała wdrapać się na pokład. - Hej, nowożeńcy, wujek Chance spieszy z pomocą! - Zgrabnie wskoczył na statek i podał rękę Nicole. I tak, ciągnięta i pchana, wspięła się na pokład.

- Nienawidzę swojej niezgrabności - jęknęła Nicole.

- To dla nas zaszczyt móc ci pomóc - powiedział Chance.

- Słodki jesteś. - Nicole poklepała go po policzku. - Czemu nie wrócisz i nie potańczysz jeszcze trochę z Andi? Nie chciałam przerywać wam zabawy.

Andi wstrzymała oddech. Magnetofon wciąż grał.

- Myślę, że na wszystkich już pora - odparł Chance. Andi wyłączyła muzykę.

Tak niewiele brakowało, pomyślał Chance, włączając komputer. Bowie i Nicole szykowali się do snu, a on usiłował skupić się na

pracy. Gdyby Bowie nie przeszkodził mu, pocałowałby Andi! Tak dobrze im było ze sobą. Oczywiście, wypite piwo miało w tym swój udział. Ale też było prawdą, że nie docenił potęgi uroku Andi. Kiedy stała nad brzegiem jeziora, na tle rozgwieżdżonego nieba, zapragnął jej z niebывałą mocą.

Kiedy ochoczo tuliła się do niego w tańcu. Kiedy zachęcająco rozchyliła usta.

Komputer zapiszczał cienko i arkusz kalkulacyjny zniknął z ekranu. Chance wyprostował się gwałtownie, nerwowo uderzył w kilka klawiszy. Na próżno. Czy to przez zabandażowane, niezgrabne palce, czy przez myśli krążące wokół Andi, skasował wszystko.

- Psiakrew! - Z wściekłością wyłączył komputer, by nie narobić jeszcze większych szkód.

- Co się stało? - Z łazienki wyszedł Bowie, ze szczoteczką do zębów w dłoni.

- Nic takiego - skrzywił się Chance. - Transplantacja mózgu załatwiłaby w mig ten problem.

- Jakiś kłopot z Jeffersonami?

- Tak. Z Chaunceyem M. Jeffersonem IV, jeśli chodzi o ścisłość.

- Głupio zrobiłem, że przerwałem ci taniec z Andi, co? - Bowie usiadł naprzeciw niego.

- Dzięki Bogu, nawet swatowie popełniają błędy.

- Cholera. Powinniśmy byli wycofać się po cichu.

- Jasne! Powinieneś cichutko dźwignąć ciężarną Nicole półtora metra do góry i wsadzić bezszelestnie na pokład.

- Robi się coraz grubsza, co? A do porodu jeszcze dwa miesiące. To będzie jakieś gigantyczne dziecko.

- Powinniśmy zawsze razem wsadzać ją na łódź i zdejmować.

- Ciiiicho. Ona wciąż boczy się na mnie, choć powiedziałem to samo.

- Niezupelnie. Wspomniałeś coś o konieczności użycia dźwigu. Kobiety w takim stanie bywają bardzo wrażliwe.

- Jako rzecz specjalista od ciężarnych niewiast. Czy jest jakaś dziedzina, w której nie jesteś ekspertem?

- Kilka. - Chance zapatrzył się w ciemność, gdzie Andi ćwiczyła z zapalem.

- Wróć tam. Włącz muzykę. Andi to świetna dziewczyna. Myślę, że powinieneś pobyć z nią trochę sam na sam.

- Zapomnij o tym. Miałem chwilę słabości, ale to już się nie powtórzy.

- Wiem na pewno, że mam rację. Widzę, że zrobiła na tobie wrażenie. Poderwij ją.

- Daj spokój! Kiedy zastanowisz się chwilę, przyznasz, że byłby to wielki błąd. Ona należy do tego świata. Dzikiego, mglistego zachodu. Ja jestem przywiązany do Chicago. Nic nas nie łączy.

- Czy ja wiem? Andi mogłaby przenieść się do Chicago. Jest bardzo przywiązana do Nicole i tęskni za nią.

- Gdyby Andi tak bardzo pragnęła być z Nicole, przeprowadziłaby się do Chicago już dawno. - Chance zdusił w zarodku nawet tak nikły płomyk nadziei. - Nie chodzi nawet o to, żeby tu, w Ne-vadzie, robiła oszałamiającą karierę. Sądzę, że ona po prostu lubi tutejszy klimat i styl życia.

- Nie chrzań, Chance. Przecież tata wcale nie chciał, żebyś został mnichem.

- Ale na pewno chciałby, żebyś znalazł żonę, która pasowałaby do mnie jako człowieka interesu. Andi taka nie jest.

- Niestety, obawiam się, że tu masz rację - zasmucił się Bowie.

- I właśnie dlatego nie wrócę na plażę. Ani dziś, ani żadnego innego wieczora.

- Mimo wszystko nadal uważam, że poczyniłeś błędne założenie. - Bowie wstał. - Śpij dobrze, braciszku. - Zniknął w łazience.

Chance westchnął ciężko. Bowie wciąż był taki sam. Żyć chwilą, faktom na pohybel, to była jego filozofia. Pomału przygotował sobie posłanie. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, jak

cicho jest dookoła. Żadnego warkotu silników, wycia klaksonów.
Tylko

świerszcz koncertował w zaroślach. Chance zastanawiał się, czy w ogóle będzie w stanie zasnąć.

Pół godziny później leżał w ciemności. Ten sam świerszcz wciąż koncertował jak oszalały muzykant.

A przecież to nie świerszcza wina, że Chance nie mógł zasnąć. Kiedy gasił światło, uświadomił sobie, że Andi będzie musiała przejść w tych ciemnościach tuż koło jego kajuty. Trzeba przypomnieć jej, żeby zamknęła drzwi. Tak, to z tego powodu nie mógł usnąć. Mogła o tym zapomnieć.

Łgał. Sen z oczu spędzały mu całkiem inne obrazy. Zdarzenia, które nieodmiennie kończyły się tym, że całował ją namiętnie i ciągnął do łóżka. Wstał i włożył szorty. Jakby to był pas cnoty.

Nagle zastygł bez ruchu. Dobiegł go jakiś niezwykle dźwięk. Potem znów. Ale to nie był świerszcz. Słyszał o tym, że śpiewa się czasem w trakcie ćwiczeń jogi. Lecz to nie był śpiew. Brzmiało to raczej jak ochryple wycie pijaka do księżycy. A tam, na plaży, była Andi. Sama i bezbronna.

Zerwał się z łóżka. Wymacał po ciemku wielki widelec do pieczenia mięsa i wyszedł na pokład.

- Andi?

Siedziała na piasku ze splecionymi nogami. Odwróciła głowę.

- Ciiicho - szepnęła.

Przeleciała mu przez głowę szalona myśl, że to ona wydawała z siebie takie niesamowite dźwięki. Ale po chwili odezwały się znów z zarośli.

Andi mogła sobie robić, co chciała. On nie miał w zwyczaju uciekać przed niebezpieczeństwem. Ścisnął mocniej widelec i zeskokczył na piasek.

- Kto tam jest? - krzyknął. - Pokaż się albo idź do diabła!

Usłyszał parsknięcie i tętent kopyt. Kopyt? Przekłęci pijacy, musieli przyjechać tu konno.

- Coś ty! - Andi zerwała się na równe nogi. - Wystraszyłeś je.

- O to mi chodziło. - Czuł, że serce wali mu głośno z emocji. - Lepiej chodź tu bliżej. Gdyby mieli zatoczyć koło i wrócić.

- Nic nam nie zrobią.

- Skąd w tobie tyle ufności do ludzi? Jacyś pijani faceci jeżdżą konno wokół jeziora. Nie są dla nas towarzystwem. To już nie jest stary dobry Dziki Zachód, gdzie zapraszało się do ognia każdego napotkanego jeźdźca.

Andi wybuchnęła śmiechem.

- To były osły - powiedziała

- W porządku. Pijacy na osłach. Co za różnica, na koniach czy na osłach. Sama widziałaś, jak szybko odjechali. Musieli mieć coś na sumieniu.

- Nikt nie jechał na tych osłach. - Uśmiechała się szeroko. - To były dzikie osły. A dźwięk, który słyszałeś, to był ich ryk.

Chance myślał przez chwilę w skupieniu.

- Zawsze myślałem - powiedział - że osły ryczą: „hiii-hooo”. Zastąpiła usta dłonią. Ramiona dygotały jej od tłumionego śmiechu.

- Mylisz się. - Odchrząknęła. - To brzmi tak: „iii-jaaa”.

- Świetnie ci to idzie.

- Dziękuję. - Wciąż uśmiechała się. - Coś mi się zdaje, że nigdy nie słyszałeś ryku prawdziwego osła.

- Masz rację. - Spojrzał na widelec i schował go za plecy.

- Bardzo to ładne z twojej strony, że ruszyłeś mi na ratunek.

Chance skrzywił się.

- Przed jakimiś głupimi osłami.

- Byłeś pewien, że to banda pijanych *desperados*. A mimo to gotów byłeś walczyć z nimi widelcem do barbecue. Bardzo to było szarmanckie.

- O, tak. Prawdziwy ze mnie bohater.

- Uważam, że tak jest. - Stała tuż przed nim. - Wszystkie troski tego świata spoczywają na tych barkach, ukrytych pod garniturem od Armaniego, tak, Chance?

Wzdrygnął się. Była tak blisko. Niebezpiecznie blisko. Poczul gwałtowny napływ adrenaliny do krwi i pomyślał, że jak najszybciej powinien przerwać te rozmowę.

- Ktoś musi być dorosły - burknął.
- Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? - Przysunęła się jeszcze bliżej.
- Nie da się tego włączyć i wyłączyć.
Jej chłodna dłoń znalazła się na jego karku.
- A może jest tam gdzieś jakiś ukryty wyłącznik? - szepnęła.
Zacisnął powieki. Nagle zrobiło się mu gorąco. Andi rozsunęła palce i wplotła w jego włosy. Wstrzymał oddech. A ona, delikatnie, przyciągnęła jego głowę.
- Pocałuj mnie, Chance. Użyj tego wyłącznika.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ja na pewno nie muszę szukać wyłącznika, pomyślał Chance, biorąc Andi w ramiona. Na mgnienie oka uchylił powieki. Na tyle tylko, by upewnić się, że odnajdzie drogę do jej warg. Nie musiał szukać. Czekają nań.

Przytulił ją ze wszystkich sił. Chciał, by poczuła, jak bardzo jej pragnie. Pomyślał, że nie ma sensu dłużej się oszukiwać. Musiał przyznać, że pożałował jej od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. I miał nadzieję, że i on nie jest jej obojętny.

Łagodne ruchy jej bioder udzieliły mu szybkiej odpowiedzi. Była chętna i gotowa. Na wszystko.

Spijał słodycz z jej warg. Napierał biodrami. Nie broniła się.

Pomału zsunął ramiączko czerwonego kostiumu, który tak go podniecał. Pocałował Andi w szyję. Bardzo powoli zsuwał z niej kostium, aż odsłonił pierś i nakrył ją dłonią.

Pod jego dotykiem Andi wyprężyla się. Nigdy jeszcze nie spotkał tak podnieconej kobiety. Kiedy ścisnął wargami stwardniałą sutkę, jęknęła głucho. Szło mu coraz lepiej. Bardzo, bardzo dobrze.

Ściągnął drugie ramiączko i mógł już zająć się obiema piersiami. Poczuł na łydce jej gorący oddech. Na łydce? Jak to możliwe?!

Ktoś albo coś ciężko dyszało. Oderwał usta od piersi Andi.

A ona znieruchomiała w jego ramionach.

- Chance - szepnęła ostrzegawczo.

Gorący oddech, który nagle poczuł na nodze, sprawił, że wszystkie włosy stanęły mu dęba.

- Kto tak dyszy? - spytał szeptem.

- Osioł.
- Kur...

Mocno zacisnęła ramiona.

- Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów - powiedziała.

Wsparł się czołem o jej czoło i zastygł jak kamień.

- Czy one mogą zaatakować? - spytał.

- Nie wiem.

- To nie jest dobra odpowiedź.

- Po prostu stój bez ruchu.

- Łatwo ci powiedzieć - mruknął. - To nie twoją nogę liże to bydlę.

- Liże?

- Taak. Chyba poczuł sól. Ale jak to łaskocze!

- Spróbuję coś zrobić. - Wychyliła się spoza niego. - A kysz!

- A kysz? - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Masz lepszy pomysł?

- Tak. Odwróć się gwałtownie i wrzasnę. Schowaj się za mną.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Dobry. Ten potwór zaczyna skubać mi szorty.

- To musi być ona.

- Ale śmieszne! No, dobrze, na trzy. Raz, dwa, trzy, teraz! - Zakreślił się na pięcie i pchnął Andi za siebie. Oczy zrobiły się mu wielkie jak spodki, gdy ujrzał niejedno, ale cztery zwierzęta. - Do domu! - wrzasnął i zamachał gwałtownie ręką. Drugą trzymał Andi.

Osty cofnęły się o kilka kroków i zamarły.

Andi wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło?

- One są w domu. To my jesteśmy intruzami.

- A, no tak. W porządku. Idźcie. Dokądkolwiek - zawołał i znów zamachał ręką.

Andi odwinęła spódnice i zaczęła wymachiwać nią energicznie.

- Sio! A kysz! - krzyczała.

Trzepotanie spódnicy odniosło skutek. Powoli i z ociąganiem
osły zniknęły w zaroślach.

Chance gapił się za nimi, kręcąc głową.

- Osły.

- Skoro przekonały się już, jak interesujące znajdują tu towarzystwo, mogą wrócić - powiedziała Andi. Kończyła właśnie wciągać zsunięty kostium.

Wizyta osłów nastąpiła w momencie, gdy Chance myślał już tylko o tym, by kochać się z nią. Gdy odzyskał rozsądek, nie mógł wyjść ze zdumienia, że aż tak stracił głowę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, do czego prawie doszło? Andi uśmiechnęła się.

- Sądzę, że tak. W szkole podstawowej uważnie obejrzałam wszystkie filmy na ten temat.

- Otóż to! Filmy. A pamiętasz, co mówili w nich o pewnym zabezpieczającym drobiazgu?

Popatrzyła nań uważnie.

- Nie masz przy sobie ani jednego?

- Nie. Czemuż miałbym mieć? Przecież jechałem na urlop z rodziną. Nawet nie wiedziałem, że będziecie z nami. Gdybym wiedział, też nie wziąłbym ze sobą prezerwatyw. Ostatnie nasze spotkanie nie było szczególnie romantyczne.

- Byłam przekonana, że chłopcy zawsze mają takie rzeczy przy sobie.

- Otóż nie! Ale nawet gdybym miał zabezpieczenie, to cóż by to ze mnie był za facet, gdybym ruszył ci na ratunek z prezerwatywą w dłoni?!

- Taki, który spodziewałby się ode mnie oznak wdzięczności. Roześmiał się wbrew woli i pokręcił głową.

- O kurczę! - mruknął.

- Zamierzałeś więc kochać się ze mną bez żadnego zabezpieczenia?

- Na to wygląda, prawda?

- Hm. - Uśmiechnęła się.

- Co też to miało znaczyć?

- Miło jest wiedzieć, że Chance Jefferson nie jest takim sztywniakiem, za jakiego chciałby uchodzić.

Podrapał się po karku. Nie lubił krępujących sytuacji. A w towarzystwie tej dziewczyny przytrafiały się mu one bardzo często.

- Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli ten incydent zostanie między nami.

- Oczywiście.

- Dziękuję. .

- I co teraz zrobimy? - spytała.

- Pójdziemy do łóżka. Osobno.

- To jest całkiem oczywiste. Miałam na myśli resztę tygodnia.

- Andi, mieszkamy na łodzi z dwojgiem innych ludzi. Ja oszalałem już na tyle, że gotów byłem kochać się z tobą tu, na piasku. Chociaż byłoby to nieco... ryzykowne. Nie wiem jak ty, ale ja, nawet gdybyśmy mieli jakieś środki antykoncepcyjne, byłbym bardzo skrupowany obecnością Nicole i Bowiego pod bokiem. Jedyne drzwi na tej krypie są w ubikacji i łazience. A ponieważ żadne z tych miejsc nie jest zbyt odpowiednie dla kochanków, jesteśmy w kropce.

- To okropne.

- Jeśli mam być szczery, myślę, że prawdopodobnie uchroni to nas przed popełnieniem straszliwej pomyłki.

- Jeszcze kilka minut temu nie wyglądało to na straszną pomyłkę. Skoro chcesz być taki szczery, czemu nie przyznasz, że bardzo ci się to podobało?

I nadal mi się podoba, pomyślał. Andi stała przed nim zagniewana. Jej piersi falowały ze wzburzenia.

- Pragnę cię, Andi - powiedział cicho. - Po tym, co się stało, nawet nie mogę udawać, że jest inaczej. Ale my zupełnie nie pasujemy do siebie. I tylko zadalibyśmy sobie ból. Trudno budować w ten sposób rodzinną harmonię. A przecież ani ty, ani ja nie chcielibyśmy skomplikować życia Bowieemu i Nicole.

- Rozumiem. Widzę, że rozsądny i odpowiedzialny Chance wziął się w garść.

- Z trudem.

- Dobrze i to. - Odwróciła się i wdrapała na pokład. - Dobranoc, Chance.

Patrzył za nią, klnąc pod nosem. Po raz pierwszy prawdziwie zniechęcił dobrobyt i pozycję społeczną, którymi obdarował go los. Powinien był plunąć na wszystkie przeszkody i kochać się z Andi Lombard.

- Hej, słuchajcie, ceny akcji znów wzrosły.

Radosny krzyk Chance'a, gdzieś z dziobu statku, zbudził Andi.

- Świetnie - mruknęła. - Zawsze lepsze to niż orgazm, co, Chance, staruszk?

Kładła się spać wściekła i w takim samym nastroju wstała. Choć aromat smażonego bekonu złagodził nieco ten stan. Wszystko wskazywało na to, że pozostali członkowie załogi byli już na nogach. Wyjrzała przez okienko. Dzień był szary i ponury. Nieprzyjemny wiatr pędził po niebie ciemne chmury. Jezioro było wzburzone.

Zeskoczyła z koi i poszła do łazienki. Rozmyślała o wydarzeniach minionego wieczoru i złościła się na siebie. Postąpiła zbyt impulsywnie, niemądrze i wpadła w ramiona nieodpowiedniemu facetowi.

Przejrzała się w lustrze. Koronkowe wstawki z przodu i po bokach sprawiały, że czarny kostium kąpielowy, który włożyła, niewiele zakrywał. Ale w końcu która kobieta kupuje kostium nie dodający jej powabu? Andi Lombard na pewno nie. A Chance musi sobie jakoś poradzić ze swoimi hormonami, pomyślała i poszła do kuchni.

Bowie stał nad patelnią i dziwnie znajomym widelcem obracał platy bekonu.

- Oto i Andi! - zawołał.

- Dzień dobry. Czy wszyscy już...

- Och! Boże! - wrzasnął Chance ze swego prowizorycznego biura w kacie. - Szybko! Niech ktoś rzuci mi ręcznik!

Andi chwyciła leżący na stole ręcznik i cisnęła, starając się

bardzo, by trafić go w głowę. Chwycił go w powietrzu i zaczął gorączkowo wycierać klawiaturę komputera.

- Co się stało, Chance? - spytała Nicole, podchodząc bliżej.
- Rozlałem kawę.

Ręka Bowiego zamarała w pół drogi. Rzucił Andi znaczące spojrzenie i powiedział:

- No, no! Ciekawe, co mu się stało? Jak myślisz, Andi, kochanie? - Puścił do niej oczko. - Masz fajny kostium.

Nicole popatrzyła na Andi. Potem na Chance'a. Uśmiechnęła się.

- To naprawdę ładny kostium, nie uważasz, Chance?
- Nie zauważyłem - burknął zapytany.

Bowie pochylił się ku Andi.

- Nie zauważył - rzucił scenicznym szeptem. - To tylko przypadek, że dokładnie wtedy, kiedy weszłaś, Chance zaczął polewać kawą swój komputer.

- Muszę go wysuszyć. Mam nadzieję, że będzie działał. - Chance uniósł laptop niczym ranne zwierzątko i wybiegł na pokład.

Nicole klasnęła w dłonie.

- Fantastyczne! Nie widziałam go tak wstrząśniętego od czasu pamiętnej kąpieli w szampanie. Szkoda, że nie mógł zobaczyć swojej miny, kiedy weszłaś. Aż mu szczęka opadła.

- Czy to aby nie za wiele? - powiedziała Andi. - Zaczynam mieć kompleksy. Ilekroć jestem w pobliżu, Chance'owi przytrafia się coś nieprzyjemnego.

- Czas najwyższy, żeby przytrafiło się mu coś naprawdę szalonego - powiedział Bowie. - Coś, co by nim porządnie wstrząsnęło. Czy któraś z was mogłaby rozbić kilka jajek? Bekon już prawie gotowy.

- Ja to zrobię - powiedziała Nicole.

- Nie, ja. Ty odpoczywaj. - Andi wyjęła z lodówki pojemnik z jajkami. - Jak ci się spało tej nocy?

- Tak sobie. Twoja siostrzenica wierciła się prawie całą noc i nie mogłam zmrużyć oka.

Andi pomału zamknęła lodówkę.

- To niedobrze - powiedziała. Zastanawiała się, czy Nicole słyszała, co działo się w nocy na plaży.

Wszedł Chance.

- Położyłem laptop na leżaku na pokładzie - powiedział. - W cieniu. Myślę, że tam wyschnie szybciej niż tutaj.

- Nie mam pojęcia - odparła Nicole. - Ale brzmi to logicznie. Pożyczyłabym ci suszarkę do włosów, ale nie zabrałam jej ze sobą. A ty, Andi?

- Też nie. - Stała obok Bowiego i wbijała jajka do miski. - Nie sądziłam, że na tej wycieczce będę musiała przesadnie dbać o wygląd.

- I bez tego jesteś seksowna - szepnął Bowie.

- Tak się składa, że nie mam innych kostiumów, jasne? - mruknęła z gniewem. Wylała roztrzepane jajka na gorącą patelnię.

- Jasne, jasne.

- A! Chance, słyszałam w nocy szalone ryki dzikich osłów - powiedziała Nicole. - Widziałam też, że popędziłeś na ratunek Andi.

Andi zamarła. Na otwartej przestrzeni głos niesie się daleko. Co jeszcze Nicole słyszała? Niewiele tego było. Głośne jęczenie i sapanie. Prawie żadnych słów.

- O, tak - odwróciła się. - To było niezwykle szlachetne z jego strony. Nigdy przedtem nie słyszał ryku prawdziwych osłów i był przekonany, że to rozrabia banda pijaków. Wyjaśniłam mu wszystko i tyle. Ale miło jest przekonać się, że rycerskość męska jeszcze nie zginęła. - Ani razu nie spojrzała w stronę Chance'a.

- Miło przekonać się, że mój brat również nie zginął - mruknął Bowie.

Andi kopnęła go.

- Jajka gotowe - rzuciła.

Przy śniadaniu planowali dalszą podróż. Andi siedziała naprzeciw Chance'a. Nie odrywał od niej wzroku. Wciąż napotykała pło-

nące, niebieskie oczy. I za każdym razem czuła gwałtowne bicie serca. Chance miał problem z hormonami, ale ona też.

- Mam nadzieję, że pogoda nie popsuje się. - Nicole z niepokojem spoglądała na zachmurzone niebo.

- Nie zapowiadano deszczu na ten tydzień - powiedziała Andi.

- Ale może wiać silny wiatr.

- No to znajdziemy sobie przytulną zatoczkę i tam przeczekamy - stwierdził Bowie. - Ale zanim zwiniemy obozowisko, chciałbym, żeby Andi nauczyła mnie kilku pozycji jogi.

- Mówisz poważnie?

- Jestem człowiekiem o wielu obliczach - rzekł Bowie. - Joga zawsze mnie intrygowała. Może kiedy skończymy zmywać, moglibyśmy...

- Ja pozrywam - odezwał się Chance. - Idźcie już sobie.

- A co ja mam robić? - spytała Nicole.

- Masz być w ciąży. - Andi szturchnęła ją w bok. - Poleż sobie trochę. Mało spałaś w nocy, więc na pewno przyda ci się trochę wypoczynku.

- Dziękuję. - W głosie Nicole słychać było ulgę. - Chyba rzeczywiście tak zrobię.

Kiedy wyszła, Chance spytał Bowiego:

- Z nią wszystko w porządku?

- Nic twierdzi, że tak. Po prostu dziecko jest bardzo aktywne. Powiedziałem, że możemy skrócić wycieczkę. Nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Naprawdę bardzo czekała na ten wyjazd - powiedziała Andi.

- Byłaby strasznie zawiedziona, gdyby musiała wcześniej wrócić do domu. Ale mimo to musimy myśleć o jej zdrowiu.

- Nie powinniśmy dzisiaj, tak na wszelki wypadek, odpływać zbyt daleko od portu - zauważył Chance. -I nie zapominajcie, że mam telefon komórkowy. Może przydać się w potrzebie.

- Miejmy nadzieję, że nie zamkną giełdy, kiedy będziemy w potrzebie - powiedział Bowie.

Chance uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zdaje się, że pomnożyłem twoje lokaty w ostatnim półroczu, prawda?

- Tak. Zaczynam jednak martwić się trochę tą taśmą telegraficzną, która każdego ranka wysuwa się z twojego ucha.

- Jestem zaskoczony, że to zauważyłeś. Płyta ze śmiechem, obracająca się nieustannie w twojej głowie, skutecznie wymiotła stamtąd wszystkie myśli.

- Chłopcy, chłopcy. - Andi stanęła między nimi. Jej ojciec ka-
załby im włożyć rękawice bokserskie i popracować, walcząc, nad
rozładowaniem frustracji. Próbował tego sposobu, kiedy ona i Ni-
cole klóciły się. Ale wtedy gwałtownie protestowała mama. Mówi-
ła, że wyhodują w ten sposób dwie rozbójniczki. - Chodź, Bowie.
Nauczę cię pozdrowienia słońca.

- Jakiego słońca? Całe niebo w chmurach.

- Może uda się nam je przebłagać. - Popatrzyła nań srogo. -I
nigdy nie spieraj się z mistrzem, świerszczyku. Zawsze pamiętaj,
że jesteś tylko plamką robaczego łajna na szybie ludzkości.

- Nie ty pierwsza tak uważasz.

To był tylko żart. Lecz Andi wiele by dała, by móc cofnąć
wypowiedziane słowa. Na pewno ojciec też mówił mu podobne
rzeczy. Również Chance nie dodawał Bowiemu pewności siebie.
Andi zapragnęła nagle dać temu sztywniakowi nauczkę. Nikt nie
zasłużył na to bardziej niż Chance.

Chance nie był przygotowany na oglądanie Andi ćwiczącej
jogę w kostiumie kąpielowym, przez który zalał kawą komputer.

Próbował nie patrzeć. Zlew znajdował się w kącie kuchni. Wy-
starczyło tylko stanąć wprost przed nim, żeby jedynie kątem oka
rejestrować jakiś ruch na pokładzie dziobowym. Ale on,
oczywiście, stał nieruchomo, z rękami w wodzie pełnej piany i
gapił się, jak Andi pozdrawia słońce.

Andi i Bowie siedzieli twarzami na wschód. Ostatecznie mieli
przecież oddać pokłon wstającemu słońcu. Ale skutek był taki, że
Chance mógł dokładnie podziwiać zgrabny tyłeczek instruktorki.
Nie poprawiało to jego humoru. Każdy jej ruch, a zwłaszcza skłon,
przyprawiał go o szybsze bicie serca. Kiedy oparła mocno o deski

pokładu stopy i dłonie i uniosła się wysoko, upuścił szklanke. Cudem nie stłukła się.

I tylko obecność Bowiego uchroniła go przed kompletnym szaleństwem. Bowie był tak niezgrabny i nieporadny, że mimo woli jego wysiłki zmuszały do śmiechu.

Chance żałował, że wdał się z bratem w niemłą utarczkę. Jednak zrobiło się mu przykro, że po tylu staraniach z jego strony, by należycie zabezpieczyć sprawy majątkowe rodziny, Bowie zarzucił mu zaślepienie pieniędzmi. A przecież robił to nie tylko dla siebie, ale także dla żony i dziecka Bowiego.

Przyglądał się ćwiczącym z rosnącym podziwem. Prośba Bowiego o naukę była całkowicie szczerą, a Andi dokładała wielu starań, by wytłumaczyć wszystko jak najlepiej. Była naprawdę dobrą instruktorką. Kto wie, może właśnie znalazła swoje przeznaczenie, pomyślał. Wiedział od Nicole, że Andi długo szukała swojej drogi życiowej. Zastanawiał się, czy miała pojęcie, jakim dysponuje talentem. I czy wiedziała, jak obrócić go w pieniądź.

Lekcja skończyła się niespodziewanie i Chance zaczął gorączkowo zmywać, żeby nadrabiać stracony czas.

- To było wspaniałe - powiedział Bowie. - Możemy robić to każdego ranka? Zawsze chciałem być giętki i sprawny, a to jest lepsze niż lekcje baletu.

- Chodziłeś na lekcje baletu? - spytał Chance. Spojrzał na Andi i natychmiast tego pożałował. Niedawny wysiłek oblał twarz dziewczyny rumieńcem i zmierzwił włosy. Jakby właśnie kochała się z kimś, pomyślał Chance z bólem.

- To podobno uczy gibkości i poczucia rytmu. A mnie brak jednego i drugiego - odparł Bowie.

- Ćwicząc jogę, nie poprawisz poczucia rytmu - powiedziała Andi. - Ale sądząc po tym, jak tańczyłeś wczoraj wieczorem, z tym akurat nie masz żadnych kłopotów.

- Trenowało się trochę. Chance ma genialne poczucie rytmu. W liceum grał na perkusji w garażowej kapeli.

- Naprawdę? - Rzuciła starszemu z braci jedno z tych spojrzeń,

które mroziły krew w żyłach. - Słyszałam, że perkusiści to najbardziej zwariowani muzycy.

- Ja byłem wyjątkiem. - Chance skupił się na zmywaniu.

- Nie wierz mu - rzucił Bowie. - On miał zadatki na wariata, ale tata zdołał przemówić mu do rozsądku i sprowadził go ze złej drogi. Mnie chyba od początku spisał na straty. Jako przypadek beznadziejny. Ja, niestety, byłem kiepskim perkusistą i kapela rozleciała się.

- Rozumiem. - Andi sięgnęła po ściereczkę do naczyń i podeszła do Chance'a. - Niespecjalnie ci to idzie, bębniarzu. Ja powycieram.

- Nie trzeba. Ty pomagałaś przygotować śniadanie. - Była tak blisko, że wspomnienia minionej nocy opadły go z wielką siłą. Odebrały oddech.

- Czuję jednak, że powinnam coś zrobić. - Zdjęła z suszarki wilgotny talerz.

Włóż coś na siebie! pomyślał Chance.

- Trzeba by zabrać wszystko z plaży, jeśli mamy odpluć.

- Ja się tym zajmę - powiedział Bowie. - Wy, dzieciaki, skończcie zmywanie. - Trzasnęły drzwi i niedoszli kochankowie zostali przy zlewie sami. Chance zastanawiał się, co powiedzieć. Odchrząknął.

- Dziękuję, że nie wydałaś mnie przed Nicole. - Wstawił szklankę do zlewu. Jakimś cudem nie stłukł jej. Ręce mu dygotały.

- Robiłam, co mogłam. Ale ona i tak może wiedzieć więcej, niż powiedziała.

- Oboje mogą. - Odetchnął głęboko i oparł się o brzeg zlewu. - Andi, jeśli masz choć odrobinę litości w sercu, nałóż coś na ten kostium.

- Przeszkadza ci, co?

Nie spojrzął na nią. Nie odważył się.

- Taaak - wydusił z siebie.
- Bowie uważa, że przydałby ci się porządny wstrząs. Chance zwiesił głowę.

- Bowie pojęcia nie ma, w jakim żyję napięciu. Nie zdaje sobie sprawy, co stałoby się z „Jefferson Sporting Goods”, gdybym był takim jak on lekkoduchem.

- A może on bardziej martwi się o ciebie niż o firmę? Spojrzał jej w oczy.

- Całkiem nowa sytuacja, prawda? - rzuciła. - Oto, dla odmiany, to Bowie dba o ciebie. Tak, tak, perkusisto, niczego nie owijam w bawełnę. Dla twojego dobra. Chyba pójdę zobaczyć, co u Nicole. - Przesunęła delikatnie palcami po jego ramieniu i wyszła. W drzwiach zatrzymała się. Przesłała mu całusa i zniknęła za rogiem korytarza.

Chance jęknął głucho i zacisnął powieki.

- Zrobione! - zawołał Bowie. - A ty co? Jeszcze nie skończyłeś? Jesteś najwolniejszym pomywaczem na świecie, braciszku. Co robi Andi?

Działa mi na nerwy, pomyślał Chance.

- Poszła sprawdzić, co u Nicole.

- Świetnie. To ja chyba też. A tak przy okazji, zmywasz stanowczo zbyt dokładnie.

- Co masz na myśli?

- Szorujesz ten talerz, odkąd wyszedłem. A już kiedy go brałeś, wyglądał na czysty.

Ruszył korytarzem. Tym samym, którym odeszła Andi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nim Chance skończył zmywanie, Andi i Bowie wrócili do kuchni.

- Trochę rozbolały ją plecy - powiedział Bowie. -I, rzecz jasna, nie chce żadnej tabletki przeciwbólowej. A do tego zapomnieliśmy zabrać to, co zwykła używać w takich przypadkach. Te żelowe kataplazmy, które ogrzewa się w kuchence mikrofalowej. Ona oczywiście uważa, że to głupi pomysł, ale myślę, że powinniśmy popłynąć z powrotem do przystani i sprawdzić, czy nie mają czegoś takiego w tamtejszym sklepie.

- No, to do roboty! - rzucił Chance. Serce zabiło mu żywiej. Będzie miał możliwość kupić... Nie! Nie wolno mu było nawet o tym myśleć. Powinien skoncentrować się na Nicole. - Jesteś pewien, że nic jej nie jest?

- Wygląda dobrze - stwierdziła Andi. - Ale te ciepłe okłady to naprawdę dobra rzecz. Jeśli nie będą mieli ich w sklepiku na przystani, mogę pojechać do miasteczka. To całkiem niedaleko. Założę się, że wtedy Nic będzie spała spokojniej.

- Doskonale - powiedział Bowie. - Ruszaj się, Chance. Wyciągamy paliki i spychamy łajbę na wodę.

Chance podążył za bratem z głową pełną rozbieganych myśli. Wszystkie powody, dla których nie powinien wiązać się z Andi, wciąż istniały. Brak środków antykoncepcyjnych powstrzymywał go przynajmniej od popełnienia głupstwa. Czemu w ogóle o tym myślał? Popadał bowiem w obłąd, oto dlaczego! Wobec silnej pokusy jego osławiona silna wola rozpadła się jak domek z kart.

Wcale nie mógł przysiąc, że w przyływie namiętności nie rzuci się na

Andi, i to bez żadnych zabezpieczeń. Jak omal nie stało się poprzedniej nocy. Ileż dałby za jakikolwiek znak, za wskazówkę, co powinien zrobić.

- Chance? - usłyszał wołanie Andi.

- Tak?

- Mam zabrać twój komputer?

Komputer! Zupełnie o nim zapomniał. Gdyby Andi nie przypomniała mu o nim, zostałyby na pokładzie. Pierwsza większa fala i wyładowałby na dnie jeziora.

- Tak, dziękuję - odparł.

- Nie ma za co. - Andi uśmiechnęła się z ironią. - Wiem, ile dla ciebie znaczy.

Jeśli to miała być wskazówka, to niezbyt przydatna. Ale przecież rozumiał, że było możliwe, tylko hipotetycznie, by zaufał Andi. Ze gdy całkiem straci głowę, ona przyjdzie mu z pomocą. Ważne też, że nie zastawiała na niego żadnej pułapki. Psiakrew! Przecież doskonale wiedział, co chciał kupić w sklepie. Nie potrzebował żadnych znaków czy wskazówek.

Zastanowiwszy się poważnie, Andi musiała przyznać, że Chance wspaniale wprowadził statek do portu. Co prawda, zrobił to odrobinę zbyt prędko i wałnął dziobem w nabrzeże, aż szuflady wyfrunęły na środek kuchni, ale to był tylko nieistotny szczegół. Poza tym wiał silny wiatr i Chance musiał płynąć szybko, żeby nie wpaść na inne łodzie.

Kiedy tylko zacumowali, Chance i Bowie pognali do sklepu. Mimo gwałtownych protestów Nicole.

- Pozwól im poskakać trochę koło siebie - powiedziała Andi. Siedziały na rozstawionych na pokładzie leżakach i rozglądały się leniwie. - Są zachwyceni. Nie każdego dnia mają okazję opiekować się ciężarną damą.

- Wygląda na to, że mają z tego niemalą uciechę. W samolocie, kiedy tu lecieliśmy, Chance opowiedział mi, jak to kiedyś pewne małżeństwo utknęło w zaspie w drodze do szpitala. I razem

z przyjacielem musiał odebrać poród. Zrobiło to na nim tak silne wrażenie, że do dzisiaj opowiada o tym z prawdziwym przerażeniem.

- Nic dziwnego. Każdemu utkwiliby to w pamięci. Biedna kobieta. Ona dopiero musiała się bać!

- No pewnie! Cieszę się, że moje dziecko urodzi się, zanim śnieg zasypie Chicago. - Nicole wygięła obolałe plecy i podłożyła pod nie dłonie.

- O kurczę! Ale ze mnie gapa! - krzyknęła Andi. - Przecież znam doskonale ćwiczenie na ból w plecach. - Odsunęła leżak i położyła się na pokładzie. - Kładź się koło mnie.

Nicole zachichotała cicho.

- Nie powinnyśmy zejść pod pokład?

- Nie. Deski pokładu są dużo cieplejsze. Ćwicz, dobrze ci to robi.

- Nie znam nikogo równie szalonego. Zgoda. Ale kategorycznie odmawiam wykonywania tej ewolucji, w trakcie której wystawiasz tyłek do nieba.

- Nie będziesz musiała. - Andi odczekała, aż siostra ułoży się obok niej. - Dobrze. Teraz podciągnij kolana do brody. Na ile tylko brzuszysko ci pozwoli. I mocno obejmij je rękami.

- Nie dam rady podciągnąć ich wyżej.

- Tyle wystarczy. Teraz kołysz się powoli, w przód i w tył, o, tak.

Nicole wykonała polecenie.

- Och! Andi! To działa. O, jak dobrze. Zupełnie jak masaż.

- Mówiłam przecież. - Andi kołysała się w tym samym co Nicole rytmie. - Zamknij oczy. W ten sposób będziesz mogła skoncentrować się na ćwiczeniu. Skutek będzie jeszcze lepszy.

- Boże! Jak wspaniale.

- Mówię ci, Chance - usłyszały nagle głos Bowiego - nie możemy zostawiać tych kobiet samych nawet na minutę. Nie było nas tylko chwilkę i oto zastajemy je miotające się po pokładzie w religijnym uniesieniu.

- Nie drwij z tego, o czym nie masz zielonego pojęcia, Bowie Jefferson - skarciła męża Nicole.

Andi otworzyła oczy i popatrzyła na stojących nad nią mężczyzn. Bowie trzymał w ręce dużą plastikową torbę. Miał tam zapewne kataplazmy dla Nicole. Chance zaś ukrywał w dłoni jakieś nieduże zawiniątko. Serce Andi zabiło żywiej. Miała nadzieję, że było to to, na co liczyła. Ciekawe, czy Bowie wie, co też kupił jego braciszek?

- Mieliśmy szczęście, kochanie - powiedział Bowie. - Dostaliśmy wszystko, czego potrzebujemy, prawda, Chance?

- Prawda. - Okulary przeciwsłoneczne skutecznie skrywały jego oczy. Ale Andi głowę by dała, że patrzył na nią. - Wszyscy gotowi do żeglugi?

Andi poderwała się energicznie. Żywiła głębokie przekonanie, że Chance z wielką przyjemnością podziwiał ją leżącą na pokładzie z podkurczonymi kolanami. Czarny kostium spełnił pokładane w nim nadzieje. Musiała zastanowić się, co zrobić dalej. Nie każdej nocy trafiają się dzikie osły.

- Oczywiście! - krzyknęła. - Ruszajmy. Mimo usilnych nalegań Andi, by tym razem to Bowie wyprowadził łódź z portu, stało się inaczej. Znow Chance siadł za sterem. Andi rozumiała, że wciąż jeszcze nie ma na niego dostatecznego wpływu. Ale nim minie tydzień, Chance nie będzie wąpił w umiejętności brata, albo nie nazywam się Andi Lombard, pomyślała.-

Może popłyniemy teraz w stronę zapory Hoovera? - zaproponowała.

Wetknęła właśnie do kuchenki mikrofalowej okład dla Nicole. Przedmiot, który Chance przed chwilą ścisnął w dłoni, zniknął bez śladu. A on nawet się o nim nie zająknął. Utwierdziło to Andi w przypuszczeniach co do zawartości tajemniczego pakuneczku.

- Całkiem dobry pomysł - powiedział Bowie. - Co ty na to, Nic?

- Czemu nie.

- Przyłóż to na plecy - Andi podała siostrze ciepły woreczek.

- Bosko! - westchnęła Nicole. - Wiem, że to był dla was, chłopcy, kłopot Doceniam, że wróciliście do przystani.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Chance.

- To było ważne - dodał Bowie.

Andi próbowała domyślić się, czy w ich słowach kryło się jeszcze jakieś ukryte znaczenie. Była kiedyś w tamtym sklepie. Nie był zbyt duży. Kupienie prezerwatyw bez wiedzy Bowiego byłoby dla Chance'a prawie niemożliwe. Jednak nie zauważyła żadnych znaczących spojrzeń. Jeśli bracia działali wspólnie, to byli lepszymi aktorami, niż przypuszczała.

Prawdopodobieństwo uprawiania miłości z Chance'em całkiem zmieniło jej sposób postrzegania tego mężczyzny. Zafascynowana patrzyła na jego długie palce, ściskające koło sterowe. Na szerokie ramiona pochylone nad konsolę. Na biodra wciśnięte w kapitański fotelik. Miała nadzieję, błagała los, by tajemnicza paczuszka, którą przyniósł ze sklepu, nie okazała się, na przykład, gumą do żucia.

- Bowie, mógłbyś trochę posterować? - spytał Chance.

- Pewnie.

- Świetnie. Sprawdzę komputer. Mam jeszcze sporo pracy. Muszę zatelefonować w kilka miejsc i napisać parę notatek.

Andi poczuła irytację. Chance wciąż jeszcze myślał głównie o pracy. Zamiast tylko o niej, o Andi! Należy się mu nauczka. I ona z rozkoszą mu jej udzieli.

- Pozdrów ode mnie Wall Street - rzuciła.

- Nie ma sprawy - odparł. Minał ją z całkowicie obojętnym wzrokiem.

A więc jednak kupił gumę do żucia, pomyślała. I bardzo dobrze. Uchroni to ją przed kosmiczną pomyłką, jaką byłoby związanie się z człowiekiem oddanym przede wszystkim interesom.

Chance zabrał komputer i zniknął w głębi korytarza. Nie rzucił Andi ani jednego spojrzenia.

- Nic, zagrasz ze mną w karty? - spytała. W myślach pokazała Chance'owi język.

Niedługo potem łódź zaczęła przechylać się na boki tak bardzo, że karty ślizgały się po stole. Nicole zbladła.

- Ta łajba strasznie się kiwa, prawda kapitanie? - powiedziała Andi do Bowiego.

- To prawda. - Poprawił czapkę na głowie. - Mówiliśmy kiedyś, że gdyby wiatr się wzmógł, znajdziemy jakąś bezpieczną zatoczkę i ukryjemy się tam. Co myślicie o tym, żeby zrobić tak jeszcze przed obiadem?

- Świetny pomysł - odparła Andi. Nicole kiwnęła tylko głową. Przyciskała dłoń do ust i wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- Wiecie, na co mam ochotę? - spytał Bowie. - Otworzę puszkę z mięsem w ostrym sosie, dodam do tego posiekaną cebulkę i tarty ser. Co ty na to, Nic, kochanie? - Popatrzył na nią przez ramię. - Mdli cię troszkę, maleńka?

. Nicole kiwnęła głową.

- No to nie musisz jeść mojej potrawy - uśmiechnął się.

- Ale ja nie odmówię - oświadczyła Andi. - Hej, spójrz tam. Widzisz ten kawałek plaży w głębokiej zatoczce? Wciśniemy się tam, uwiążemy mocno łódź i będziemy świetnie osłonięci od wiatru. Co ty na to, siostrzyczko?

Nicole znów tylko kiwnęła głową.

- Dobrze. Płyniemy tam. - Bowie obrócił koło sterowe. - O kurczę! Czujecie, jak nas gna po falach?

Andi stanęła za nim i położyła mu rękę na ramieniu.

- Chcesz, żebym zawołała Chance'a?

- Jak go znam, już tu biegnie - odparł Bowie.

- Skaczemy po falach jak jakiś cholerny korek - powiedział Chance, wyłaniając się z korytarzyka.

- Nie mówiłem! - mruknął Bowie.

- Dobrze, że nikt z nas nie cierpi na morską chorobę. - Chance położył laptop na stole. - Takie kiwanie potrafi wymieść z człowieka całe jedzenie.

Nicole minęła go biegiem i zniknęła w łazience.

- Co się stało Nicole? - spytał Chance.

- Domyśl się, Einsteinie - warknęła Andi i ruszyła za siostrą.
 - Boże! Tak mi przykro. Nie miałem pojęcia. - Głos Chance'a pełen był autentycznego żalu.

- Nicole nie lubi, żeby w takich sytuacjach zwracać na nią uwagę - zawołał Bowie do Andi.

- Wiem - odparła. Lecz nie zatrzymała się. - Nic? - zastukała w drzwi. - Mogę ci w czymś pomóc, kochanie?

- Nic mi nie jest - usłyszeli słabą odpowiedź.

Andi stała niezdecydowana. Bowie miał rację. Nicole nie znosiła, by oglądano ją w krępujących sytuacjach.

- Wróć tu za chwilę - powiedziała w końcu. Tymczasem

Bowie skierował łódź ku wejściu do małej zatoczki.

Po obu stronach wnosiły się poszarpane, wysokie skały.

- Niewiele miejsca do manewrowania - stwierdził Chance.

- To fakt. Ale za to skały z obu stron osłonią nas od wiatru - odrzekł Bowie.

- Mimo to nie jestem...

- Szkoda czasu na pogaduszki. Musimy przybić do brzegu - oświadczyła Andi. - Nicole musi jak najszybciej zejść z tej krypy i dać odpocząć żołądkowi.

- Masz rację. - Chance stanął za Bowiem. - Wygląda na to, że jest tam przesmyk, w który powinniśmy się zmieścić. Strasznie tam ciasno, ale powinno nam się udać.

- Andi - powiedział Bowie - wracaj do łazienki. Uprzedzisz Nicole, kiedy będziemy wpływać na brzeg. Żeby nie powybijała sobie zębów.

- Dobrze! - zawołała, ruszając siostrze z pomocą.

- Sama też trzymaj się mocno - krzyknął za nią Chance. - Przy tym wietrze musimy naprawdę głęboko wryć się w piasek.

- Dobrze. - Mijając go, spojrzała mu w oczy. I uspokoiła się. Niewielki wiaterek na jeziorze nie był straszny dla Chance'a Jeffersona. Podniesiona na duchu, zastukała do łazienki. - Nic? Trzymaj się mocno. Dobijamy do brzegu. I to za chwilę.

- Dobrze - pisnęła cicho Nicole.

- Wpuścisz mnie?

- Nie.

- Uwaga! - usłyszały okrzyk Chance'a.

Andi chwyciła się framugi i mocno zacisnęła na niej dłonie. Barn! Szarpnięcieomal nie powaliło jej na podłogę.

- Nic? - zawołała i przyłożyła ucho do drzwi.

Szczęknął zamek i w progu stanęła Nicole. Była bardzo blada i przecierała twarz ręcznikiem.

- Dobrze, że mnie ostrzegłaś. - Uśmiechnęła się słabo. - Inaczej walnęłabym głową w szafkę. I nie wiem, jak wytłumaczyłabym się przed teściową. Ona była przeciwna mojemu udziałowi w tej wycieczce. Uważała, że Bowie i Chance powinni popłynąć sami. Co, rzecz jasna, wzmogło tylko mój upór.

- Rzecz jasna. Krew Lombardów! A ta wścibska jęzda i tak nie dowie się niczego. - Andi objęła siostrę. - Napijesz się wody?

- Chemie.

Wolno poszły do kuchni.

- Chcesz zejść na brzeg?

- Jasne! - odparła Nicole.

Wyszły na pokład. Przywitało je tam dźwięczenie młotów, którymi bracia wbijali paliki do cumowania.

- Och, Bowie, wynajmijmy pływający dom - zawołała Nicole z emfazą. - Będzie tak cudownie. Moglibyśmy wylegiwać się w słońcu, łowić ryby i delikatnie kołysać się na falach. Ha!

- Wczoraj tak było. - Andi dała jej kuksańca w bok. - Chciałabyś codziennie świętować? O, zachłanna kobieto!

- Chyba robię się trochę kapryśna - szepnęła Nicole. - Bardzo mi przykro.

- Mnie także jest przykro. Ze względu na ciebie. - Andi ostrożnie prowadziła siostrę po pokładzie. - Mniejsza z tym. Dobrze się czujesz?

- Z każdą chwilą lepiej - odparła Nicole. - Już nie mogę doczekać się, kiedy poczuję stały ląd pod stopami.

- Ratownicy na pokład! Natychmiast!!! - zawołała Andi. Bra

cia przybiegli bez zwłoki i przetransportowali Nicole na brzeg. Potem Andi podała im leżaki i ręczniki.

- Schodzisz? - spytała Nicole.

- Za chwileczkę. Przyniosę tylko piwo i prażynki dla naszych zuchów. Chcesz coś?

- Nie teraz. - Nicole z trudem przełknęła ślinę.

- Zaraz wrócę. - Andi zeszła pod pokład i omal nie nadepnęła na leżący na podłodze komputer. Musiał spaść ze stołu, kiedy dobijali do brzegu. Chance był naprawdę bardzo skoncentrowany na sterowaniu, skoro niczego nie zauważył.

Andi położyła laptop na stole i uniosła pokrywę. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Lepiej jednak sprawdzić. Nacisnęła włącznik i ekran się rozjaśnił. Jak dotąd, wszystko gra, pomyślała.

System działał prawidłowo. Lecz wciąż nie była pewna, czy aby na pewno nic nie uległo uszkodzeniu. Rozwinęła listę ostatnio otwieranych plików. Jeżeli którykolwiek otworzy się poprawnie, będzie to znaczyło, że komputer jest w porządku. Przyjrzała się wyświetlonym nazwom i wybrała ten, oznaczony literami „AL”. Przypuszczała, że będzie to sprawozdanie z działalności firmy „Athletes & Litigation” czy jakiejś „Assets & Liabilities”. Chance nie mógł przecież mieć w swoim komputerze pliku dotyczącego Andi Lombard!

A jednak miał.

Jęknęła cicho i wbiła wzrok w ekran. Zapłacisz mi za to, pomyślała. Nikt przedtem nie wykorzystywał arkusza kalkulacyjnego do rozważenia wszystkich „za” i „przeciw” w kwestii przespania się z nią. Jakby chodziło o jakiś kontrakt.

Andi przerzuciła spis argumentów „za”. „Podnieca mnie bardziej niż jakakolwiek inna kobieta”, przeczytała. Albo: „Dotykanie jej mogłoby być szczytem rozkoszy”. No cóż, pomimo biurokratycznej formy tekstu była to przyjemna lektura. Ale była jeszcze strona „przeciw”. „Uniemożliwia mi koncentrację”. „Jej zwariowany sposób widzenia świata grozi kłopotami”.

- Już ja ci dam kłopoty! Popamiętasz mnie! - mruknęła. Po zdaniu o uniemożliwianiu koncentracji dopisała: „I co z tego?”. Potem wycięła „zwariowany sposób widzenia” i przeniosła na stronę „za”. Na koniec zastąpiła „zwariowany” słowem „niezwykły”, a „grozi kłopotami” - „fascynuje mnie”.

Widać było, że Chance był w nie lada kłopotcie. Napisał: „Jej pocałunek odbiera zdolność myślenia” w obu kolumnach. Andi wykasowała to zdanie z kolumny „przeciw”. Wszak właśnie o to chodziło, żeby pocałunki oszałamiały. Inaczej po cóż w ogóle zadawać sobie trud? Dla równowagi, na arkuszu „za” dopisała takie zdanie: „Jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem”. Bardzo to ładnie wyglądało na ekranie, więc dodała jeszcze: „Jej inteligencja dorównuje jej słodyczy i urokowi”.

- Hej! Andi! - usłyszała wołanie Bowiego. - Zebrałaś już przynajmniej chmiel na to piwo?

Drgnęła gwałtownie.

- Już idę! - Zapomniała o bożym świecie. Szybko zachowała wprowadzone zmiany i wyłączyła komputer.

Kiedy wyjmowała piwo z lodówki, wyobraziła sobie Chance'a czytającego jej dopiski. I uśmiechnęła się. Przecież nie zrobi jej awantury, prawda? Miała go w garści. Poza tym dowiedziała się, że zamiast pracować, pisa! o niej. A to prawie wynagradzało fakt, iż śmia! analizować jej osobowość za pomocą arkuszy kalkulacyjnych.

Piasek, w który wbili paliki cumownicze, bardzo nie podobał się Chance'owi. Zbyt był, jego zdaniem, syпки. Ale zrobili, co mogli, dla zabezpieczenia łodzi. Gdyby nie choroba Nicole, nie zdecydowałby się nigdy na postój w takim miejscu. Było tam ciasno, pełno skał dookoła, a osłona przed wiatrem wcale nie taka dobra, jak przypuszczali. Na wszelki wypadek przynieśli wraz z Bowieem dużo ciężkich kamieni i obłożyli nimi słupki.

Postanowili urządzić piknik na plaży. I choć podmuchy wiatru sypały im piasek do jedzenia, nikt nie zaproponował powrotu na

statek. Dwie trzecie jego długości pozostawały na wodzie. I nikt nie chciał, by mdłości dopadły Nicole podczas posiłku. Tylko Chance co chwila zerkał nerwowo w stronę cum.

Po obiedzie Bowie i Nicole poszli na brzeg jeziora umyć naczynia. Chance zamierzał uciąć sobie drzemkę na rozłożonym na piasku ręczniku. Lecz pochłoneńo go bez reszty przyglądanie się Andi, która rzucała prażynki ziemniaczane parze kruków. Były to olbrzymie ptaszyska. Nigdy jeszcze takich nie widział. Zlatywały ze skały, gdzie, zapewne, miały gniazdo, chwytaly smakotyki i odlatywały pośpiesznie.

Jasne włosy Andi tańczyły na wietrze. Pokrzykiwała, zachęcała ptaki, by podleciały bliżej. Spod przymkniętych powiek wpatrywał się w koronkowe wstawki jej kostiumu. Wyobrażał sobie, że sunie ustami wzdłuż ich krawędzi. Że zsuwa z niej kostium pomalutku. Mimo wielkiej miłości, jaką darzył brata i bratową, dużo dałby, żeby znaleźli się daleko stąd. Uświadomił sobie, że w każdej chwili mogą wrócić, i prędko ułożył się na brzuchu. Tylko tak mógł ukryć widoczne skutki swoich myśli. Weiskając je w ciepły piasek.

Wyciągnął rękę i przysunął torbę z prażynkami. Kiedy Andi wróciła po następną porcję, musiała uklęknąć tuż przy nim.

- Zabrałeś moje chipsy - powiedziała.

Podparł głowę na ramieniu i spytał:

- Chcesz trochę? - Wyjął z torby jedną prażynkę i podał jej na wyciągniętej dłoni.

Przeciwsłoneczne okulary dokładnie skrywały jej szarozielone oczy. Ale kąćki ust nieznacznie uniosły się ku górze.

- Flirtujesz ze mną, tak? - spytała.

- Tak.

- I zrobiłeś zakupy dziś rano?

- A ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

- Niewykluczone.

- Niewykluczone więc, że zrobiłem zakupy.

- O mój Boże! - usłyszeli pełen przerażenia krzyk Bowiego. -
Chance! Paliki!

Chance zerwał się na równe nogi. Kilka palików leżało luzem na piasku, a ogromny statek miotał się pod naporem wiatru i fal. Jeśli nie zdołają unieruchomić wielkiego kadłuba, lada chwila uderzy śrubami o brzeg. I wtedy będą uwięzieni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chance wskoczył do wody i chwycił paliki. Tuż obok Bowie zacisnął ręce na linach. I ciągnęli je z całych sił, próbując pokonać napór wiatru. Po chwili dołączyła do nich Andi.

- Mamy problemy? - spytała, szarpiąc się ze sznurem.
- Ależ skąd! - odparł Chance. - My się tylko wygłupiamy.
- To dobrze. Nie cierpię kłopotów. - Ciągnęła linę z wysiłkiem. Zjawiała się też Nicole i złapała za sznur, żeby pomóc mężowi.
- Nie, Nicole! - krzyknął Bowie.
- Ale...
- Możesz zrobić sobie krzywdę. Nie!

Po raz pierwszy w życiu Chance usłyszał brata przemawiającego tak zdecydowanym i spokojnym tonem w trudnej sytuacji. Zrobiło to na nim wrażenie.

- Nicole, idź na plażę i kieruj nami - wysapał. - Andi, włącz na łódź i włącz oba silniki. Kiedy tylko wyprostujemy tę krypę, wciśnij gaz do dechy. - W duchu modlił się, by choć raz zrobiła coś bez zbędnej dyskusji.

- Dobrze. - Nie dyskutowała. Wdrapała się na pokład. - A co będzie, gdy paliki z drugiej strony także puszczą?

- Nie odpływaj bez nas. - Chance uśmiechnął się krzywo.
- Zgoda.

- Może następnym razem wynajmiemy coś troszkę mniejszego? - wystękał Bowie, szarpiąc się z linami.

Chance zacisnął zęby i mocniej wbił pięty w dno. Poczul rosnący ból w ramionach.

- Kajak - mruknął.

- Albo deskę surfingową - zaproponował Bowie.

Chance tylko parsknął śmiechem.

- Nicole, ruszyliśmy tę łajbę choć trochę? - krzyknął.

- Troszeczkę.

Zawarczały silniki.

- Teraz! - powiedział Bowie. - Jeśli zdołamy pociągnąć jeszcze trochę, ustawi się prosto. Wtedy Andi będzie mogła znowu wepchnąć ją na piasek.

- Tak. - Chance oddychał ciężko. Zwiększył napór. Niestety, wiatr także. - Tylko wyprostować. Nie ma sprawy.

Bowie z wysiłkiem napinał mięśnie, lecz z każdą chwilą coraz głębiej pogrążał się w wodzie. Łódź odsuwała się od brzegu coraz bardziej.

- Zawsze do usług, Chance.

- Liczyłem na ciebie. - Woda zaczęła dotykać już szortów Chance'a. Piasek pod stopami ustępował z wolna. Pojawiły się kamienie. - Wiedziałem, że będziesz chciał popisać się przed Nicole.

- Wciąga was! - krzyknęła Nicole.

- Wiesz, nie zauważyłem - mruknął Bowie. - A ty?

- Nie mogę utrzymać równowagi na tych kamieniach. - Kamienie! - Nicole, co ze śrubami? - wrzasnął.

- Sprawdź!

Niemal w tej samej chwili rozległ się taki dźwięk, jakby olbrzym kruszył kostki lodu w naczyniu wielkości pływającego domu. Silniki umilkły i zapadła cisza.

- No cóż - powiedziała Nicole. - Prawdę mówiąc, nie jest dobrze.

- Dasz wiarę? - Chance spojrzał na Bowiego.

- Wszystko możliwe. A do tego mam ręce powyrywane ze stawów.

- Ja też - stęknął Chance.

- Nie lepiej było pozwolić łajbie osiąść na plaży?

- Gdyby wiatr był trochę słabszy, dalibyśmy radę.

- Daj spokój, Chance! Ten statek jest większy niż my dwaj.

- Ten statek jest większy niż Detroit.

- Puszczamy ją! - krzyknął Bowie do Andi i Nicole. - Żeby zdryfowała na piasek.

- Niczym to nie grozi? - spytała Nicole.

- Niczym, z czym nie dalibyśmy sobie rady! - odkrzyknął Chance.

Bowie parsknął śmiechem.

- Nie mówmy im wszystkiego, to może uwierzą.

- Na trzy - zakomenderował Chance. - Raz, dwa, trzy.

Wypuścili z rąk liny i słupki. Pomału łódź obróciła się burtą do wiatru. I już po chwili stała na brzegu.

Kiedy stało się to, co było nieuniknione, nadszedł czas wyrzutów sumienia.

- To moja wina - powiedział Chance, kiedy brnęli do brzegu. - Wiedziałem, że paliki słabo trzymają. Powinienem być być czujniejszy.

- Ja też wiedziałem, że ten brzeg nie nadaje się do cumowania. Dlaczego więc nie jest to moja wina?

- Ponieważ jestem...

- Starszy? Mądrzejszy? Największym męczennikiem, jakiego widział świat? - powiedział cierpko Bowie. - Daj spokój. Spójrz na to z innej strony. W takim ustawieniu mamy fantastyczny widok na absolutnie nie ubezpieczone śruby.

Chance skrzywił się.

- Nie przypominaj mi. To następna sprawa, o której powinienem być pomyśleć. Wiedziałem, że tutaj jest za mało miejsca.

- Rozchmurz się. Wypadki się zdarzają.

- Masz bardzo specyficzny sposób patrzenia na świat, prawda? Boję się nawet pomyśleć, co mogłoby zdarzyć się, gdybym ja zaczął myśleć tak samo.

- Mogłoby zdarzyć się to, że zacząłbyś zachowywać się jak normalny człowiek, a nie jak superbohater.

- Nienawidzę popełniać błędów! - Chance zacisnął szczęki.

- Powiem ci, czego naprawdę nienawidzisz, człowieku. -
Bowie stanął tuż przed nim. - Nienawidzisz tej potrzeby bycia
doskonałym.

- Nie muszę być doskonały!

- Jeszcze jak! Tak jesteś sparaliżowany strachem przed popełnieniem błędu, że pracujesz dniami i nocami. Na pewno dla dobra najbliższych. Ale co to dla nich za dobro, jeżeli nigdy nie masz dla nich czasu? Jeśli stale jesteś tak cholernie zajęty?! - Bowie zacisnął usta i odwrócił głowę. Chance przyglądał się mu uważnie. Gwałtowne bicie serca niemal rozsadzało mu pierś.

- To samo zawsze mówiłeś tacie - powiedział.

- Taaak. No cóż, byłby z ciebie bardzo dumny. Jesteś dokładnie taki, jakim chciał cię widzieć. - Bowie spojrzał bratu w oczy. -Przez chwilę, gdy tak walczyliśmy razem, by właściwie ustawić łódź, miałem wrażenie, że tworzymy jedną drużynę. Że moglibyśmy kpić jeden z drugiego, czuć zawstydzenie i próbować wspólnie naprawiać błędy. Ale ty chcesz ponosić całą winę, a kiedy przyjdzie pora, samotnie pławić się w zadowoleniu. Jak sobie chcesz, braciszku. Bierz wszystko! - Odszedł na plażę.

Andi słyszała sprzeczkę braci. Lecz nie był to czas na roztrząsanie racji i argumentów. Wyszła na pokład i zawołała:

- Hej, chłopcy! Pora skorzystać z telefonu Chance'a i wezwać Straż Ochrony Wybrzeża.

- Straż Ochrony Wybrzeża? - zdumiał się Bowie.

- Tak jest. Kogoś, kto potrafi ściągnąć statek z plaży. Bowie popatrzył na Chance'a. Ten chrząknął niezdecydowany.

- Celowo skierowaliśmy go na brzeg - powiedział w końcu. - Taki był nasz plan.

- Właśnie! - poparł go Bowie. - Dla ochrony przed wiatrem. Wy, kobiety, potrzebujecie takiej osłony.

- Rozumiem. Wiesz - zwróciła się do nadchodzącej Nicole - oni mówią, że zrobili to celowo. Żeby zapewnić nam osłonę przed wiatrem.

- Naprawdę? - Nicole przyglądała się im nieufnie. Andi skrzyżowała ramiona.

- A w jaki genialny sposób zamierzacie ściągnąć ją potem na wodę? Zaczekacie na przyływ?

- Noo... my... Powiedz im, jak to zrobimy - wyjąkał Bowie.

- Czemu sam im nie powiesz? - Chance wbił w niego karcące spojrzenie.

- Dobra, proszę bardzo. My... Kiedy wiatr osłabnie, będziemy ciągnąć z jednej **strona**, z drugiej pchać, i wtedy...

- Dzwonię na 911 - powiedziała Andi. - Obaj nie macie żadnego pomysłu, ale jako typowi przedstawiciele swojego gatunku wolicie tkwić tu aż do śmierci zagrzebani w piachu, byle tylko nie prosić nikogo o pomoc i nie narazić się na śmieszność. - Obróciła się na pięcie.

- Zaczekaj! - krzyknął Chance. - Nie spiesz się tak.

- Nie wiesz, czy w tych stronach w ogóle jest Straż Ochrony Wybrzeża? - szepnął Bowie do brata.

Jednak Andi usłyszała. Szybko spojrzała przez ramię i zdążyła dostrzec bezradnie rozłożone ręce Chance'a. Mięczak!

- Jak długo miałabym czekać? - spytała.

- Niedługo - powiedział Chance. - Sprawdzimy tylko, czy wiatr ucichnie. Na pewno damy radę ruszyć tę krypę, jeśli tylko nie będziemy musieli walczyć z wichurą.

- A co ze śrubami? - spytała Nicole.

- Ojej! No widzisz. - Bowie aż klasnął w dłoń. - Przecież właśnie szliśmy, żeby je obejrzeć, prawda?

- Prawda.

- Ale zanim pójdziecie, może któryś z was, dżentelmeni, pomógłby mi zejść? - spytała Andi.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą był piasek, teraz rozpościerały się ciemne wody jeziora.

* W USA funkcjonuje alarmowy numer telefonu, za pomocą którego można wezwać Policję, Straż Pożarną lub Pogotowie Ratunkowe.

- Ależ oczywiście - zawołał Chance. - Idźcie przodem, zaraz was dogonimy - powiedział do Bowiego i Nicole. Podszedł do łodzi. - Trzymaj się mnie mocno!

- Posprzeczaście się z Bowiem? - spytała szeptem.

- To drobiazg. Potrzeba zazwyczaj cudu, żebyśmy doszli do porozumienia.

- Chance...

- Nieważne. Bowie powiedział swoje i mam o czym myśleć. Schodź na dół. Zobaczymy, w jakim stanie jest śruba.

Andi uklękła na krawędzi pokładu. Dotyk jego nagiej skóry zmąci! jej myśli. Akurat wtedy, gdy powinna trzeźwo ocenić sytuację.

- Świetnie. Oprzyj się o mnie, mocno. - Chwycił ją w pasie i uniósł.

Dotykanie go było słodką torturą. Ale gdy to on jej dotykał, było jeszcze gorzej.

- Uważam, że powinniśmy zadzwonić po pomoc, Chance - powiedziała. - To chyba najrozsądniejsze, co możemy zrobić.

- Być może masz rację. Ale chciałbym uniknąć tego, jak długo to będzie możliwe.

Powoli opuszczał ją coraz niżej.

- Żeby ocalić waszą dumę? Ponieważ...

- To jest trochę bardziej skomplikowane.

- Chciałam tylko, abyś wiedział, że ja... - Zsuwając się po piersi Chance'a, pogubiła myśli.

- Że ty co? - Ostrożnie postawił ją w płytkiej wodzie. Z nieświadomego powodu jej ręce nadal spoczywały na jego ramionach. Nieświadomie muskała palcami jego twarde mięśnie.

- Że ja...

- Ja też - mruknął i włożył okulary przeciwsłoneczne. Kiedy wpił się ustami w jej wargi, zamknęła oczy. Przepadła!

Była zgubiona. Gdyby kiedykolwiek miała zrobić wykaz cech Chance'a, na pierwszym miejscu wykazu zalet znalazłyby się jego

pocałunki. Wprawiające w drżenie jej ciało, wzbudzające fale rozkoszy.

Chance uniósł głowę, lecz nie zwolnił uścisku ramion.

- Nie chcę, by ktokolwiek holował nas do przystani, póki istnieje szansa, że sami damy sobie radę - szepnął. Delikatnym musnięciem dotknął jej warg. - Z wielu powodów. Także i z tego.

- Zaczynam... - Andi z trudem łapała oddech - rozumieć.

- To dobrze. - Pocałował ją znowu. Namiętnie. I długo. - Ale mniejsza z tym, czego ja chcę - powiedział słumionym głosem. - I tak wszystkie decyzje musimy uzależnić od samopoczucia Nicole.

Westchnęła głęboko.

- Oczywiście.

- Kiedy tylko poczuje się gorzej, natychmiast zatelefonujemy po pomoc i poprosimy o odnotowanie statku do portu.

- Zgoda.

- Ale dopóki będzie czuła się dobrze, zostawimy Łódź na brzegu do chwili, aż wiatr osłabnie. Może nawet do rana. - Jego wiele mówiący wzrok znów przyprawił ją o bicie serca.

- Dobrze.

- Obejrzyjmy te śruby i wracajmy do Nicole.

- Jedna jest na pewno kompletnie zniszczona - powiedziała.

- Chyba masz rację. I wiesz, ciekawa rzecz, ale niespecjalnie mnie to złości.

Pięknie to wygląda, pomyślała Andi. Przy zetknięciu ze skałami śruba zmieniła się w nieprzydatną kupę złomu.

- No to mamy teraz tylko jedną śrubę - stwierdził Bowie.

- I łódź przystosowaną do pływania z dwiema - powiedział Chance. Kilka razy zanurzał się w wodzie, by obejrzeć uszkodzenia. - Ale skoro samoloty potrafią latać z uszkodzonym silnikiem, to myślę, że ta krypa też da sobie radę. Byłe tylko nie wiało zbyt mocno. Ale tego nie można być pewnym. Jak ty się czujesz, Nicole?

- Dobrze. A odkad przestało mną tak bujać i szarpać, jeszcze lepiej.

- Ten wiatr może wiać aż do jutra. I będziemy musieli tkwić tu

tyle czasu. Ale gdybyśmy zadzwonili po pomoc, mogliby nas stąd odholować.

- Odholować?! - Bowie skrzywił się okropnie. - Oj, Chance!

- Mój ty biedny, dzielny mężu. - Nicole uśmiechnęła się do niego. - Nie martw się, miły. Dopóki wiatr wieje tak mocno, nie mam najmniejszej ochoty znów znaleźć się na wodzie. Czy to na statku holowanym, czy płynącym o własnych siłach. Gdyby zaś miało tak wiać przez cały tydzień, to mogę się stąd wcale nie ruszać.

- Myśle... - Chance patrzył na Bowiego. - A ty co uważasz?

- Uważam, że powinniśmy zaczekać, aż wiatr ucichnie, i wtedy sprawdzić, co zdołamy zrobić z tą łajbą. Mamy części zapasowe, mamy mnóstwo narzędzi, nie powinno więc być problemów.

- A jakie jest twoje zdanie? - Chance zwrócił się do Andi.

- Jeżeli Nicole woli zostać, to ja też.

- No, to postanowione - zakończył dyskusję Chance. - Kto idzie popływać?

- Ja nie idę - powiedziała Nicole. - Skoro ustawiliście taki wspianiały wiatrochron, usiądę sobie na leżaku i poczytam książkę.

- A ja będę siedział u twych stóp i karmił cię winogronami. - Bowie przytulił się do żony.

- I tak wiem, że chcesz zaglądać mi przez ramię i czytać co pikantniejsze fragmenty - odparła Nicole.

W ten sposób Andi nie pozostawiono wyboru. Pary zostały podzielone.

- Ja z tobą popływam - powiedziała do Chance'a.

- Wspaniale. - Brodząc w płytkiej wodzie, ruszył ku łodzi. - Zaraz się przebiorę.

- Wyciągnij przy okazji kilka leżaków - poprosiła Andi. - Wy-
mościmy Nicole wygodne gniazdko.

- Dobrze.

- I może mógłbyś ogrzać w kuchence mikrofalowej ten wynalazek na plecy - zawołał Bowie. - A na półce nad koją leży książka. Przynieś ją.

- Chłopcy, przestańcie. Nie traktujcie mnie jak inwalidki. Nic

mi nie jest. Troszkę tylko bolą mnie plecy. To wszystko. Wybrałam się na tę wycieczkę, żeby bawić się razem z wami, aby cieszyć się ostatnimi tygodniami swobody. A nie po to, żeby wszyscy nieustannie mnie obsługiwali.

Chance wychylił się przez reling i uśmiechnął się do niej.

- Skoro tak, to może zechciałabyś dźwignąć nasz statek? Ugrzązł tu na amen i nie możemy dać cholerstwu rady.

- A potem zrobisz mi masaż i przyniesiesz piwo - dodał

Bowie.

- Później możesz nabierać drewna na ognisko. I przynieś trochę kamieni - powiedziała Andi. - A, i gdybyś mogła jeszcze...

- Zaraz, zaraz! Poddaję się. Skakanie wokół mnie sprawia mi radość. Uwielbiam, gdy wszyscy się o mnie troszczą.

- Tak już lepiej - przyznał Chance. - Uwaga, nadchodzą leżaki!

- I miska lodów?

- Zgoda.

- Z polewą karmelową, którą kupiła Andi.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym błyskawicznie przyrządził Gorącą Alaskę? I tak będę w kuchni.

- Tym razem nie. - Nicole uśmiechnęła się słodko. - Dam ci znać.

Chance wyładował ze statku leżaki, torbę z piwem, gorący okład dla Nicole, książkę oraz lody i mógł w końcu pójść przebrać się do kąpieli. Nicole upomniała się jeszcze o karmelową polewę. A Bowie podszedł do Andi i mocno pocałował ją w policzek.

- A to za co? - spytała.

- Za to, co powiedziałeś mi, kiedy pomagał ci zejść z łodzi.

- Nie powiedziałam mu nic szczególnego. Uwierz mi.

- No to za to, co zrobiłaś, cokolwiek to było. Wspaniale poskutkowało. Po raz pierwszy spytał nas o zdanie.

* Gorąca Alaska - popularny deser: lody zapiekane w cieście, oblane pianą ubitą z cukrem.

Andi zarumienia się.

- Może dotarło wreszcie do niego, że nie jest Panem Bogiem.

- Na to wygląda. Łaskawie zgodził się nawet popływać.

- Nie wolno ci zapominać - odezwała się Nicole znad miski z lodami - że po powrocie z wycieczki może wrócić do starych nawyków.

- Tak, to prawda - odparł Bowie. - Ale na początek dobre i to. Dostrzegam tu zbawienny wpływ Andi.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała Andi z naciskiem. Zamilkła, bo na pokładzie pojawił się ubrany w obciste, czarne kąpielówki Chance. - Kto ostatni, ten gapa! - krzyknęła. I nie patrząc, czy w ogóle usłyszał, wskoczyła do wody.

Chlapiąc na wszystkie strony, okrążyła rufę łodzi. Zdążyła akurat zobaczyć, jak Chance płaskim lotem opada na taflę jeziora. I znika pod wodą. Wiatr burzył wodę, uniemożliwiając obserwację zatoki.

Rzuciła się w chłodną toń i szybko popłynęła do miejsca, w którym Chance zniknął pod powierzchnią. Strach ścisnął jej żołądek. Mógł przecież uderzyć głową w podwodny głaz i zabić się. Mężczyźni bywają tacy niemądrzy.

Nagle jakaś dłoń chwyciła ją za kostkę i wciągnęła pod wodę. Andi znalazła się w ramionach Chance'a. Objął ją mocno, kilkoma energicznymi ruchami nóg wypłynął na powierzchnię i chwycił się zwisającej z burty cumy.

- Przestraszyłeś mnie - wysapała. - Nie powinieneś wskakiwać w taki sposób do wody.

- Tam jest kanał, przez który wpłynęliśmy. Wiedziałem, że nic mi nie grozi.

- To dlaczego nie wypływałeś tak długo, że aż się przestraszyłam?

- To taka zabawa uczniów szkół koedukacyjnych - uśmiechnął się szeroko. - Krzyknęłaś: „Kto ostatni, ten gapa!”, więc musiałem

wciągnąć cię pod wodę, żeby nie przegrać. Myślałem, że chodziłaś do liceum?

- Chodziłam. Ale ciebie nigdy bym nie posądzała o takie figle.
- A jednak! Tam właśnie nauczyłem się rozpinąć staniki jedną ręką.

Przyciśnięta do niego, czuła na piersiach granie jego mięśni. I krew zaczynała coraz żywiej krążyć w jej żyłach.

- Powiedz mi - poprosiła - czy to prawda, że chłopcy wykradają staniki siostronom i zakładają je na oparcia krzeseł, żeby trenować tę umiejętność?

- Możliwe. Ale ponieważ ja nie miałem siostry, musiałem ćwiczyć na koleżankach.

- Ojej! Ależ musiało ci być ciężko.

- To było istne piekło! - Byli już na tyle blisko łodzi, że poczuł grunt pod stopami. Puścił więc linę. - Dotykasz dna?

- Nie.

- To dobrze, bo ja tak. Opleć mnie nogami, Andi. Natychmiast zorientowała się, jak bardzo jest podniecony.

Uniosła oczy i napotkała pełne żaru spojrzenie. Popatrzyła niżej. Na dolnej wardze Chance'a migotała maleńka kropelka wody. Starła ją miękkim ruchem.

- Nie będziemy pływać? - szepnęła.
- Jeśli to ode mnie ma zależeć, to nie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przytulny zakątek pod osłoną statku dodał Andi śmiałości.

- Wobec tego powinienes chyba mnie pocałować - powiedziała.

- Gdzie? - Chance uśmiechnął się.

- Możesz zacząć tutaj. - Położyła palec na ustach. Pocałował ją. A wrodzony talent, z jakim to zrobił, sprawił, że serce Andi załomotało gwałtownie.

- Gdzie teraz? - spytał po długiej chwili.

Jej wargi drżały. Całe ciało płonęło pragnieniem. Odchyliła się do tyłu i wysoko uniosła brodę.

- Tutaj. - Wskazała szyję.

Sunął językiem i delikatnie chwycił zębami gładką skórę, podążając za wskazaniem jej palca. Dotarł tak do ramiączka kostiumu. Chwycił je zębami i zsunął w dół.

- Gdzie teraz?

Wyjęła rękę z kostiumu i podsunęła mu obnażoną pierś.

- Tutaj.

- Diablica! - Schylił się, by natychmiast spełnić tę prośbę. Andi drżała od rodzącej się gdzieś głęboko nieposkromionej żądz. Oplotła go mocniej nogami. Czuła że zaczynała popadać w szaleństwo.

- Przestań - wyszeptała. Odsunęła się od niego, uwalniając pierś z dającego tyle rozkoszy uścisku. - Dłużej nie wytrzymam. A skoro i tak nie możemy...

Ujął w dłoń jej wilgotną twarz i pocałował.

- Znajdę jakieś wyjście, jeśli rozluźnisz się trochę.

- Sęk w tym, że tak już się rozluźniłam, iż mogę myśleć tylko o kochaniu się z tobą.
- Czego i ja pragnę. - Wsunął dłoń między jej uda. - Chodziło mi o to, żebyś rozluźniła się tutaj.
- Spojrzała mu w oczy, zmniejszyła siłę, z jaką ścisnęła go w pasie. Elastyczny kostium ustąpił pod naporem jego palców.
- Tutaj? - zamruczał.
- Tak - szepnęła słabo.
- Mógłbym pocałować cię tam. Ale mogę wtedy utonąć - powiedział głuchym głosem. Jego palce nie próżnowały ani chwili.
- Andi zacisnęła oczy. Kolejne fale rozkoszy wstrząsały jej ciałem.
- I co... z tego? - wyszeptwała.
- Zanim zorientowała się, Chance zniknął pod wodą. Odsunął kostium i zamiast palców poczuła gorące, ruchliwe usta. Wyprężyła się gwałtownie, wyswobodziła. Chwyliła go za ramiona i pociągnęła do góry. Przywarli do siebie, dysząc ciężko.
- Ja tylko żartowałam - wydusiła z trudem. - Wcale nie chcę, żebyś utonął.
- Chance gwałtownie zaczerpnął powietrza.
- Są rzeczy, dla których warto utonąć. Zginałbym szczęśliwy.
- Wariat. - Zarzuciła mu ramiona na szyję.
- To przez ciebie. - Pocałował ją, namiętnie i mocno.
- Spróbujemy czegoś innego - powiedział po chwili. Ostrożnie obrócił ją plecami do siebie. Objął jedną ręką w pasie i przycisnął.
- Tak już lepiej. - Wtulił twarz w jej kark i zsunął drugie ramiączko kostiumu. - Przytul się do mnie, Andi. To jest takie cudowne.
- Zaczepliła piętami o jego kolana i przycisnęła się doń.
- Ktoś tu troszkę zeszywniał - mruknęła.
- Ktoś tu bardzo zeszywniał - szepnął jej wprost do ucha. - To I tak niska cena za możliwość dotykania cię w taki sposób. - Pod osłoną pomarszczonej wody zsunął jej kostium aż do talii. Chwylił pierś, ścisnął twardą sutkę, aż Andi jęknęła cichutko.

Jeszcze bardziej zbliżył usta do jej ucha. - Chciałem ściągnąć z ciebie ten kostium od pierwszej chwili, gdy cię w nim ujrzałem.

- To dlatego rozlałeś kawę? - Oddychała coraz gwałtowniej, coraz bardziej nierówno.

- Tak. Właśnie dlatego rozlałem kawę. - Złapał ją zębami za ucho. - A ty właśnie dlatego musiałaś wyjść na pokład i wystawiać tyłeczek do nieba, prawda? Skąd wiedziałaś, jak zareaguję?

- Zawsze warto spróbować.

- Przez cały dzień doprowadzałaś mnie do szaleństwa. To z twojego powodu nie zauważyłem, kiedy cumy wyrwały paliki. I to przez ciebie jestem teraz tutaj i pieszczę cię, zamiast telefonować i robić notatki.

Oparła głowę na silnym, męskim ramieniu. Odchyliła się do tyłu, by sięgnąć ustami warg Chance'a.

- Cudownie - powiedziała.

- To prawda - szepnął jej do ucha. - A będzie jeszcze lepiej. - Objął ją mocniej. Drugą rękę wsunął pod kostium. Wstrzymała oddech, aż poczuła go bardzo głęboko.

- Lepiej? - szepnął, miękko poruszając dłonią.

- Mhm. - Prężyła się i dygotała, pnąc się ku szczytowi rozkoszy.

- Ale to jest niebezpieczne. - Musnął ustami jej ucho. - Jeśli krzykniesz, będziemy mieli towarzystwo.

Dotknął magicznego punktu, wyzwolił kolejną falę pożądania.

- Nie... krzyknę. Proszę, Chance!

Zwiększył napór, przyspieszył. Przycisnął ją do siebie ze wszystkich sił.

Blisko. Coraz bliżej! Zakwiliła cicho i niemal wcisnęła sobie pięść do ust.

- Cicho. Teraz! - Pchnął głębiej. Nacisnął.

Świat eksplodował. Głuchy jęk wyrwał się z jej krtani, zdławiony wciśniętą w usta dłonią. Wiła się i dygotała w silnym uścisku Chance'a.

Obrócił ją ku sobie. Całował. Żarliwie. A ona gwałtownie chwytiała powietrze, drżąc wciąż i dygocząc. Na koniec powoli podciągnęła ramiączka kostiumu.

Wolno wracała do rzeczywistości. Objęła Chance'a i pocałowała. Mocno i długo. Potem uniosła ręce w górę i ześliznęła się w chłodną wodę. Pchnięta nagłym impulsem, szarpnęła w dół kąpielówki. Jednak ręce Chance'a zaraz wyniosły ją na powierzchnię.

- Co ty wyrabiasz diablico? - Przytulił ją.

- Pomyślałam, że mogłabym umrzeć szczęśliwa.

- Ja także nie chcę, żebyś utonęła.

- Ale założę się, że na to pozwolisz. - Zanurzyła rękę i mocno zacisnęła dłoń.

- Chyba... tak - wystękał.

Pięściła go czule. Cały czas patrzyła mu głęboko w oczy. Błękit tęczówek ciemniał coraz bardziej. Chance zacisnął szczęki.

- To jest niebezpieczne - mruknęła. - Jeśli krzykniesz, będziemy mieli towarzystwo.

Nie odpowiedział. Dyszał tylko coraz szybciej.

- Żadnych obietnic! Rozumiem. Żadnego błagania. Założę się, że mogłabym zmusić cię, byś zebrał i prosił. - Nie ustawała ani na chwilę. A on drżał coraz bardziej. Chwytał się liny, by nie stracić równowagi.

Nagle wyprężył się. Zamknął ją w gwałtownym uścisku i pociągnął pod wodę. Zawierowali w powolnym tańcu, aż znalazł jej usta i wpił się w nie namiętnie. Wolno wypłynęli na powierzchnię. Tyle niewiarygodnej rozkoszy, pomyślała, a jeszcze nawet na dobre nie zaczęliśmy. Przyszło jej na myśl, że może okazać się, iż Chauncey M. Jefferson IV jest kąskiem, którego ona nie zdoła przełknąć.

Chance miał nadzieję, że pieszczoty w wodzie przyniosą mu ulgę. Ze złagodzą szaleńcze pożądanie. Pomylił się. Kiedy wrócili na plażę, Andi postawiła leżak tuż obok Nicole i na głos odczytywały co pikantniejsze urywki z książki. Chance paplał sprośności wraz z innymi i śmiał się beztrosko. Ale tylko udawał. W środku niczym gorąca lawa kipiały dzikie żądze.

- I jakże zwykli faceci mają dorównać bohaterom takich książek? - rzucił Bowie.

- Ty, najdroższy, całkiem nieźle wypadasz w porównaniu z ni-mi - powiedziała Nicole.

- Tyle to i ja wiem. - Bowie poprawił czapkę. - Miałem na myśli zwykłych mężczyzn. Takich jak Chance, na przykład.

- To trudna sprawa. - Chance popatrzył na Andi. - Nie ma tu nigdzie smoków, które można by posiekać na kawałki.

- To ty tak uważasz - powiedziała Andi.

- Czyżbyś, o pani, była dręczona przez jakiegoś potwora?

- Codziennie. - Uśmiechnęła się leciutko.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła Nicole. - Ja znam smoka ciekącego układu hamulcowego, smoka spalonego bezpiecznika i smoka starego, dobrego bluesa.

- Pokonałem je wszystkie. - Bowie uniósł zaciśniętą pięść.

- Mój bohater! - Nicole obdarzyła go uśmiechem.

Śluchając tych przekomarzań, Chance poczuł nagle ukłucie zazdrości. Zamarzyło się mu, by i on mógł odgrywać taką rolę wobec jakiejś kobiety. Takiej jak... Andi. Jak dotąd, wszystkie sytuacje, w których czuł się jak rycerz na białym koniu, dotyczyły „Jefferson Sporting Goods”. A przecież żadna firma nie odpłaci ciepłym, pełnym miłości uśmiechem. Jak Nicole Bowieemu. Trudno uwierzyć, ale Chance zazdrościł mu.

Słońce opadało coraz niżej. Lecz nie dość szybko jak dla Chance'a. Miał ochotę zepchnąć je za wierzchołki gór. Żeby natychmiast zapadła noc. I żeby mógł być tylko z Andi, kochać się z nią, chłonąć niezwykle doznania, jakich dostarczała mu ta wycieczka.

- Bohater chętnie zjadłby kolację - powiedział Bowie. - Pora przynieść wiktuały, rozpalić ogień i dokonać innych tego rodzaju bohaterskich czynów. Jesteś gotów, Chance?

- Tak. - Spojrzał na Andi.

Andi coraz bardziej martwiła się o Nicole. Żaden z mężczyzn zapewne tego nie zauważył, lecz Nicole cierpiała. Może tylko inna

kobieta była w stanie wylapać fałszywe nuty w jej śmiechu albo zauważyć nagle skurcze twarzy i dłoń przyciśniętą do brzucha.

Podczas gdy mężczyźni znosili drewno i kamienie na palenisko, Andi pochyliła się nad siostrą.

- Co ci jest? - spytała.

- Co?

- Nie udawaj. Przede mną nie ukryjesz, że coś ci dolega.

- To nic. Takie małe... ukłucia.

- Dziecko?

- Tak - przyznała niechętnie Nicole. - Chyba chciało przyłączyć się do rozmowy.

- Chce mówić po francusku.

- Właśnie.

- Od jak dawna odczuwasz to kłucie?

- Od niedawna. - Nicole położyła rękę na ramieniu siostry.

- Proszę, nie rób z tego sensacji. Wiele rozmawiałam z kobietami, które rodziły dzieci. Wszystkie przechodziły przez coś podobnego. To nic groźnego.

- Pod warunkiem, że siedzisz we własnym domu, z telefonem pod ręką, kilka przecznic od szpitala. Tu jest troszeczkę inaczej. Nasza łódź nie jest w pełni sprawna. A gdyby nawet była, to przecież nie ma żadnych świateł nawigacyjnych. W instrukcji napisano wyraźnie, żeby nie pływać nią nocą.

- To nie będzie potrzebne. - Nicole mocno ścisnęła rękę siostry.

- Tak mi tu dobrze, Andi. Nie chcę niczego zepsuć.

- Ale...

- Bowie jest wspaniały. Ale dawno już nie udało się nam spędzić razem chwil takich, jak te. Powiem ci też, że jestem szczęśliwa, że on i Chance mogą ze sobą wreszcie porozmawiać.

- Nawet jeśli się kłóć?

- Lepsza kłótnia niż milczenie. Chance był już niemal gotów, żeby pójść w ślady ojca. Coś mówi mi jednak, że ciągle jeszcze można go uratować.

- Tak myślisz?

- Sama popatrz. - Nicole wskazała na skraj lasu, gdzie bracia wspólnymi siłami ciągnęli wielkie kłody na ognisko. Chance uniósł roześmianą twarz. Zachodzące słońce rozjaśniło ją nagle. Wyglądał naprawdę jak bohater. Ale Andi szybko stłumiła narastające w niej emocje. Nie zamierzała budować zamków na lodzie.

- Byłabym szczęśliwa, gdyby znów stali się przyjaciółmi - powiedziała Nicole.

- Wszystko ładnie, pięknie, ale musisz obiecać, że powiesz mi, jeśli te ukłucia nasilą się. Mamy telefon Chance'a. Będzie można wezwać pomoc.

- To nie będzie konieczne. - Nicole poklepała ją po ręce. - Poza tym dobrze wiesz, jak nie cierpię takich dramatycznych historii.

Godzinę później, już po kolacji, Andi siedziała pogrążona w wielce przyjemnych rozmyślaniach. O jakże miłych pieszczołach z Chance'em. Nagle Nicole krzyknęła przeraźliwie. Wszyscy pędem rzucili się ku niej.

- Myślę, że chyba powinnam wrócić na statek - powiedziała łamiącym się głosem. - Ja... Och! Do diabła! - Zwinęła się z bólu.

- Ty rodzisz! - wrzasnęła Andi.

- Wcale nie - warknęła Nicole. - To tylko wzdęcie. Zaraz.

Auu!

- Jeśli to jest wzdęcie - Bowie kucnął tuż przed nią - to będziemy musieli dać ci większą dawkę lekarstwa. Jak dla wszystkich ziemian razem wziętych.

- Nie rozśmieszaj mnie. To boli.

- Słyszałem, że poród zawsze boli - powiedział Chance.

- Poród?! - krzyknął Bowie. Był bardzo zdenerwowany. - Przecież to dopiero siódmy miesiąc! Dziecko nie jest jeszcze gotowe do narodzin!

- Wiesz, to nie jest właściwie siódmy miesiąc. Raczej dziewiąty - powiedziała ostrożnie Nicole.

- Byłaś w ciąży przed ślubem? - Bowie wbił w nią zdumione spojrzenie.

- Byłam.

- Boże ty mój - jęknęła Andi. - Jak długo?
- Sześć tygodni.
- I nic mi nie powiedziałaś? - krzyknął Bowie.
- Nie chciałam, żeby dowiedziała się o tym twoja matka!
- Przecież nic bym jej nie powiedział.
- Nie byłam pewna.
- Och, Nicole. - Andi zrobiło się przykro, że siostra nie zaufała jej. - Mnie mogłaś powiedzieć.
- Bałam się powiedzieć komukolwiek - przyznała Nicole żałośnie. - Za nic nie chciałam zepsuć ani wesela, ani tych wakacji.
- A co na to twoja lekarka? - spytała Andi. - Ona chyba wie. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliła ci jechać na tę wyprawę.
- Właściwie... nic jej nie powiedziałam.
- Nic! - ryknął Bowie. Twarz nabiegła mu krwią.
- Musiałam tu przyjechać! Wszyscy musieliśmy! A poza tym słyszałam, że pierwsze dzieci rodzą się trochę po terminie!
Chance głęboko nabrał powietrza.
- Teraz to chyba nie ma najmniejszego znaczenia - zauważył. - Przede wszystkim musimy wnieść ją na statek.
- Masz rację - przyznała Andi. - Do roboty!
- Kiedy mężczyźni pomogli Nicole wstać, po jej nogach popłynął przezroczysty płyn.
- Och, mój Boże! - powiedział Bowie. - Wody odeszły.
- Wszystko w porządku, stary - Chance uspokoił brata. - Tak ma być. Nic jej nie grozi.
- Łatwo wam mówić. - Kolejna fala bólu zgięła Nicole wpool.
- Jasssny gwint! - rzucił Bowie. - A my nie byliśmy jeszcze na zajęciach w szkole rodzenia.
- Z wielkim trudem, ale zdołali jednak wnieść wijącą się z bólu Nicole pod pokład.
- Moja koja - rozkazał Chance. - Przytrzymajcie ją przez moment, a ja przygotowuję miejsce.
- Andi i Bowie podtrzymywali bladą jak ściana Nicole. Bowie był chyba jeszcze blebszy niż żona.

Wrócił Chance.

- Ja z Bowiem ułożymy ją w łóżku - powiedział do Andi. - Na górnej koi, na rufie, leży mój nesesor. Znajdź tam telefon i zadzwoń pod911.

- O co mam poprosić? O łódź?

- Tylko nie łódź - jęknęła Nicole.

- No to o śmigłowiec - powiedział Chance. - Będzie przynajmniej szybciej.

- Wątpię, czy zdołają wylądować na naszej miniaturowej plaży.

- Andi z powątpiewaniem pokręciła głową.

- To będą musieli wylądować na naszym gigantycznym pokładzie. - Chance uśmiechnął się krzywo. - Chociaż raz wielkość tej krypy przyda się do czegoś.

Andi odszukała telefon. Zdecydowała jednak, że zadzwoni na osobności. Nie chciała, by Nicole zdenerwowała się rozmową z dyspozytorem. Po kilku męczących minutach wyłączyła telefon i ruszyła biegiem.

- Lecą już? - krzyknął Bowie, gdy wpadła do mesy.

- Niezupełnie. - Zatrzymała się gwałtownie. - A cóż to jest, u diabła?! - Popatrzyła na leżącego bez przytomności na łóżku Chance'a. I na siedzącą na ustawionym obok leżaku Nicole.

- Zemdlął - powiedział Bowie, masując plecy żony. - A Nic mówi, że lepiej czuje się siedząc, niż leżąc.

- Zemdlął? Nic mu nie jest?

- Nic a nic! To samo przytrafiło się mu w dziesiątej klasie. Przed sławetną randką z Myrą Oglethorpe. Czasem w ten sposób reaguje na silny stres. Za kilka minut dojdzie do siebie.

- Ma więc jednak jakieś słabostki - mruknęła Andi.

- Taaak. Ale będzie wściekły, że przytrafiło się mu to właśnie teraz.

- Naprawdę wolisz siedzieć? - spytała Andi siostrę. Nicole skinęła głową.

- Myślę, że Chance nie mógł patrzeć na mój ból. On... Ach!!!

- Zaciśnięta kurczowo dłonie na poręczach leżaka.

- A właśnie - zaczął Bowie. Wciąż masował obolałe plecy Nicole. - Co miało znaczyć „niezupełnie”, kiedy pytałem o śmigłowiec? To „niezupełnie” strasznie mi się nie podoba.

- Mamy pecha. Podczas ostatniej burzy piaskowej było na autostradzie kilka karamboli i helikopter medyczny wciąż tam kursuje. Powiedziałam im w przybliżeniu, gdzie jesteśmy. Kazałam wypatrywać pływającego domu na plaży. Stwierdzili, że odnajdą nas bez trudu. Przylecą, kiedy tylko będą mogli.

- A co zrobimy do tego czasu?

- Pytali, czy ktoś z nas ma doświadczenie w odbieraniu poroarów. Powiedziałam, że tak.

- Nieprzytomny, ale doświadczony - powiedział Bowie z przekonaniem.

- Nie wiedziałam, że zemdle. Miejmy nadzieję, że ocknie się szybko. Ale na wszelki wypadek powinniśmy chyba przygotować się sami.

Spojrzała Bowiemu prosto w oczy. Zniknęła gdzieś jego niepewność. Została determinacja. Pomyślała, że przecież zawsze zdąży ocucić Chance'a, gdyby Bowie zaczął tracić panowanie nad sytuacją.

Podczas gdy Bowie szorował ręce i ramiona nad kuchennym zlewem, Andi odłożyła na bok komputer Chance'a, opuściła blat stołu i przyszykowała w ten sposób szerokie miejsce do leżenia. Nieustannie rozmawiała przy tym z Nicole, w ten sposób kontrolując jej stan. Fale bólu powtarzały się coraz częściej.

- Poznoszę wszystkie poduchy, jakie znajdę na statku, żebyś mogła siedzieć podparta jak najwyżej - powiedziała do Nicole. - Wolałabym jednak, żebyś przeniosła się na łóżko. Inaczej Fifi może wylądować na podłodze. A ta nie jest zbyt czysta.

- Fifi? - Nicole spróbowała uśmiechnąć się.

- No to Gigi. Domyślam się, że dasz jej jakieś francuskie imię. Żeby zadowolili teściową.

- Och, Andi! - Oczy Nicole zrobiły się nagle wielkie z przerażenia. - Ona mnie zabije. Chciała, żeby cały poród był sfilmowany.

- Z tytułami i napisami, oczywiście.

Nicole zachichotała.

- Dzięki Bogu, Andi, że ty... Och! Kur... - Gwałtownie zasłoniła usta dłonią.

- Myślę, że nie powinnaś się hamować. Klnij do woli - powiedziała Andi. - Zaufaj mi. Wbrew teoriom pani Chaunceyowej dziecko i tak nie przyswoi sobie brzydkich wyrazów.

- O jakich teoriach mówisz? - Bowie odwrócił się, z rękami uniesionymi do góry, jak chirurg przed operacją.

- Później ci opowiem. Teraz jesteś zajęty. Biegnę po poduszki i zaraz wracam.

- Przynies kamerę! - krzyknęła za nią Nicole.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Andi wróciła bardzo szybko. Dźwigała naręcze poduszek i ręczników. A na jej szyi dyndała kamera. Bowie klęczał przed Nicole, wciąż trzymając ręce w górze, i przemawiał do niej łagodnie. Nicole zaś z całej siły wbijała palce w jego ramiona.

- Trzymaj się, to zaraz minie - szeptał. - Tak, dobrze. Krótkie, szybkie oddechy.

- Musi cię strasznie boleć - stęknęła Nicole.

- Wcale nie. Trzymaj się mocno.

- No! - Nicole odchyliła głowę i rozluźniła uścisk. -I ból sam przeszedł.

- Przygotuję posłanie - oznajmiła Andi. - A potem spróbuję obudzić śpiącego królewicza.

- Świetnie! Czuję się pewniej, gdyby był ze mną - powiedział Bowie.

Andi mościła posłanie. Nicole tymczasem walczyła z kolejną falą bólu.

- Skoro nie byłeś na kursie rodzenia - wydusiła z trudem - to skąd wiesz, jak powinnam oddychać?

- Oglądałem „Ostry dyżur”.

- Dzięki Ci, Boże, za telewizję! - Andi położyła kamerę na półce. Tak, by była na podorędziu. - Teraz pomogę ci przenieść się na łóżko, dobrze?

- Dobrze. - Nicole chwyciła jej rękę. Pod wpływem kolejnego bólu ścisnęła ją z całej mocy. Przez głowę Andi przeleciała myśl, czy Nicole przypadkiem nie zmiażdży jej kości.

- Teraz będziemy musiały zdjąć z ciebie kostium - powiedziała, gdy Nicole znalazła się na koi.

- A co będzie, gdy Chance się ocknie?
- Daj spokój, złotko! Nie czas teraz na fałszywą skromność.
- Nakryjemy ją prześcieradłem - wymyślił Bowie. - Tak robią w szpitalach.

- Kocham cię, Bowie - powiedziała Nicole ze łzami w oczach.
- A ty też go kochasz, Andi?

- Ubóstwiam! Wygrałeś los na loterii, siostrzyczko. - Pocałowała siostrę w policzek. - Siedź grzecznie. Zaraz przyniosę prześcieradło.

Wróciła już po kilku sekundach. Pomogła Nicole zdjąć kostium i okryła ją troskliwie. W sarną porę, pomyślała. Kończyła bowiem właśnie układać prześcieradło na ugiętych kolanach siostry, gdy ta wyrzuciła nagle z siebie potok najokropniejszych przekleństw.

- Nic? - spytał zdezorientowany Bowie. - Dobrze się czujesz, maleńka?

- Nie mów do mnie „maleńka”! - ryknęła Nicole. - I ocuś swojego nic niewartego braciszka. Zaczęło się!

- Chyba lepiej postawię na nogi tego Marcusa Welby'ego.

- Andi stłumiła śmiech. - Uważaj na nią.

Nicole spojrzała na męża, jęknęła donośnie i znów zaczęła kłąć.

- Nienawidzę mężczyzn! - krzyczała, z trudem łapiąc oddech.

- Jeśli o mnie chodzi, to każdy z was może skoczyć ze szczytu Sears Tower. Razem z waszą pychą i samozadowoleniem.

- Skoczymy, obiecuję. - Bowie poklepał ją po kolanie. - Kiedy tylko sprowadzimy na ten świat kolejną dziewczuszkę.

- Nie pozwolę jej uprawiać seksu - rzuciła ponuro Nicole.

- Zostanie zakonnica - obiecała Andi. Podeszła do nieprzyto-

* Marcus Welby - tytułowa postać z niezwykle popularnego w USA w latach 1969-1976 serialu telewizyjnego, zatytułowanego „Marcus Welby, M.D.” („Joktor medycyny Marcus Welby”). ** Sears Tower - wieżowiec w Chicago. Jeden z najwyższych budynków świata (443 m).

mnego Chance'a i tak długo tarła mu czoło wilgotnym ręcznikiem, aż poruszył się i jęknął cicho. Z każdym skurczem Nicole klęła coraz głośniej. W pewnym momencie Andi zrozumiała, że pora zacząć działać.

- Krzyknij, gdybyś potrzebował mojej pomocy - zawołała do szwagra.

- Poproszę o tłumacza - odparł Bowie.

Andi uśmiechnęła się.

- Nauczyła się kląć po włosku, kiedy tata stacjonował na Sycylii. Powiedziała tobie i Chance'owi, gdzie możecie wsadzić sobie ten wspaniały statek.

Chance powoli uniósł powieki i potoczył dookoła nieprzytomnym spojrzeniem.

- Czy to Nicole tak wrzeszczy? - spytał słabo.

- Tak. Ratownicy nie mogli przylecieć, więc sami odbieramy poród. Przydałaby się twoja pomoc.

- Zemdlałem?! - Zacisnął powieki. - Niech to diabli!

- Mógłbyś nam pomóc?

- Tak. - Wstał z wymuszonym uśmiechem.

- Ostrożnie - zawołała Andi, gdy Chance zachwiał się. Chwycała leżak, który zwolniła Nicole, i podsunęła mu.

Usiadł ciężko.

- Cześć, Nic. Jak leci?

- Och, nie! Muszę teraz znosić dwóch nic niewartych Jeffersonów.

- Ależ, kochanie - Bowie wychylił się spomiędzy jej kolan - jestem twoim bohaterem, nie pamiętasz?

- Nigdy więcej nie pozwolę ci mnie dotknąć, ty kuble pomyj! Och, Boże! Chance głośno przełknął ślinę i zbladł. Bowie tak był skupiony na czekającym ich zadaniu, że nawet nie zauważył zdenerwowania brata.

- Co mam teraz zrobić, Chance? - spytał.

- Każ jej przeć - odparł głucho Chance. Na jego czole pojawiły się wielkie krople potu.

- Przyj - krzyknął nieco desperacko Bowie.

Nicole wyrzuciła z siebie nowe obelgi.

- Przyj, kochanie! Dobrze. Już idzie!

Chance nie wyglądał najlepiej, ale Andi nie miała czasu, żeby się nim zajmować. Chwyciła kamerę i stanęła przy łóżku. Potem, nie odrywając oczu od wizjera, uklękła. Nicole wykrzyczała jeszcze jedną porcję wulgarnych przekleństw i Bowie ostrożnie wydobyl na świat córeczkę. Łzy popłynęły z oczu Andi. Dziecko zaczęło głośno płakać. Bowie także.

Andi opuściła kamerę. Są rzeczy, których nie powinno się filmować. Bowie ostrożnie podniósł wciąż jeszcze połączoną z matką pępowiną dziewczynkę i położył ją na piersi Nicole. Potem pochylił się i pocałował żonę w czoło.

Wtedy rozległ się głośny warkot helikoptera. A Chance jęknął przeciągle i osunął się z leżaka na podłogę.

Kiedy Chance odzyskał przytomność, ujrzał pochylającego się nad nim sanitariusza. Niech to diabli! Znów zemdłał. Co za wstyd. Usiadł z wysiłkiem.

- Spokojnie - powiedział chłopak. - Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Ojcowie zawsze mdleją przy porodzie.

- Nie jestem ojcem, tylko wujkiem.

- No to strasznie jesteś wrażliwy. Nie ma powodu do wstydu.

Chance zacisnął szczęki.

- Nie jestem przewrażliwiony. - Wstał i potrząsnął głową. Cały statek pełen był głosów pracującej szybko i sprawnie ekipy ratowników. Umyli już matkę i dziecko, a teraz szykowali do lotu do szpitala w Las Vegas. Wszyscy głośno zachwycali się dziewczynką i nawet Nicole uśmiechała się do każdego. Chance poczuł, że wracają mu siły.

To był prawdziwy cud, pomyślał. Bowie krążył po łodzi, poklepywał po plecach wszystkich ratowników i obiecywał im po pudełku najlepszych cygar. Mój mały braciszek odebrał poród, pomyślał Chance, podczas gdy ja... To był dzień pełen upokorzeń.

Patrzył na krzątającą się Andi. Spakowała drobiazgi, które mieli zabrać ze sobą Nicole i Bowie. Potem dała im klucze do swojego mieszkania. Żeby Bowie miał gdzie się zatrzymać, kiedy Nicole zostanie z dzieckiem w szpitalu. Każdy coś robił. Coś ważnego i pożytecznego. Oprócz niego. Poczul się nikomu niepotrzebny.

- To już wszystko. - Kobieta z ekipy sprawdziła jeszcze ułożenie Nicole na noszach i maleństwa w plastikowym pojemniku. - Zawieziemy teraz mamę, dziecko i ojca do szpitala. Tu jest numer telefonu.

- Podała Andi wizytówkę. - Mogę wezwać przez radio kogoś, kto przyleci po was dwoje i jeszcze tej nocy dotrzecie do przystani. Albo wyślą po was jutro jakąś łódź. Jak wolicie?

- Myślę, że może być jutro, a ty? - spytała Andi Chance'a.

- Oczywiście. - Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej głupio. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, żeby jakoś się zrehabilitować, to wymyślić jakiś sposób zepchnięcia statku z mielizny. - Rano sami zatelefonujemy do przystani, jeśli będziemy potrzebować pomocy - powiedział.

- Przecież jesteście tu uwięzieni.

- Może zdołam coś na to poradzić. Chciałbym przynajmniej spróbować.

- To za ciężka łódź dla was dwojga.

- Użyjemy wciągarki - powiedziała Andi.

Kobieta popatrzyła na nich z powątpiewaniem.

- Wasza sprawa! Myślę, że po coś jednak wymyślono telefony komórkowe. Dalej, chłopaki, ruszamy!

- Bowie! - zawołał Chance. Ten zatrzymał się i odwrócił.

- To była piekielnie dobra robota - powiedział Chance. I po raz pierwszy od wielu, wielu lat, chwycił brata w objęcia. - Dbaj o rodzinę.

- Ze wszystkich sił - odparł Bowie dziwnie zachrypniętym głosem. Kiedy ekipa zabierała Nicole i dziecko, uściśnął Andi.

- Chwileczkę - zawołał Chance. - Pozwólcie mi pożegnać mo

ją bratanicę. - Podbiegł do nosidełek i schylił się nad maleństwem. Andi stanęła przy nim, a on objął ją i przytulił.

- Do zobaczenia, jakkolwiek ci na imię - powiedział i ostrożnie pogłaskał dziecko po buzi.

- *Au revoir*, Colette. - Andi uśmiechnęła się do siostry.

- Colette? - Bowie wysoko uniósł brwi. - Skąd ci to przyszło do głowy, Nic? Przecież wiesz, że chciałbym, żeby miała na imię Bowina.

- Bowina?! - Chance aż jęknął ze zgrozy.

- Sam to wymyśliłem. To będzie żeńska forma.

- Żeńska forma od głupka! Nie masz prawa dać tej ślicznej dziewczynce na imię Bowina. Dopóki ja...

- Dobrze, dobrze, ludziska - wtrącił się sanitariusz. - Możecie nazwać ją nawet Fred. Ale zrobicie to kiedy indziej. Zmywamy się.

Choć Chance ufał ratownikom, jednak poszedł za nimi. Uważnie przyglądał się, jak wciągali Nicole z córeczką na górny pokład, a potem pakowali je do śmigłowca.

- Zadzwońię do mamy z Las Vegas! - krzyknął Bowie, wspinając się na górny pokład.

- I do moich rodziców! - Andi stanęła obok Chance'a.

- Zadzwońię do wszystkich - obiecał Bowie.

Kiedy znalazł się w helikopterze, odwrócił się, uniósł wysoko zaciśniętą pięść i krzyknął, śmiejąc się radośnie:

- Bowina górą!

- Ani się waż, idioto! - wrzasnął Chance.

- Nic się nie martw - powiedziała Andi. - Nicole nigdy nie pozwoli mu tak nazwać córeczki.

- Do diabła z tym, na co pozwoli mu Nicole. Nie zamierzam dopuścić do tego, żeby dali małej takie ohydne imię.

- Chyba nie masz w tej kwestii wiele do powiedzenia. - Popatrzyła za oddalającym się śmigłowcem.

- Może i masz rację. - Chance uspokoił się. - Nie okazałem się zbytnio przydatny. - Popatrzył na błyskające na tle ciemnego nieba światła. - Dzięki Bogu, że ty i Bowie tu byliście.

- A ja uważam, że wszystko poszło świetnie.
- Świetnie? Przecież większość czasu przeleżałem nieprzytomny.

- I właśnie dlatego Bowie wreszcie wyszedł z cienia. To może być najważniejsza chwila w jego życiu. Gdybyś był przytomny, nigdy nie przekonałby się, że potrafi dać sobie radę nawet w najtrudniejszej sytuacji. Teraz już o tym wie.

Chance długo rozważał te słowa. Tak czy siak, stale wychodziło na to, że to przez niego Bowie był do tej pory trochę nieodpowiedzialny.

Światła śmigłowca zniknęły w ciemnościach.

- Bowie będzie dobrym ojcem - powiedział. Oczyma wyobraźni zobaczył brata tulącego w ramionach małą dziewczynkę. I poczuł się tak, jakby oberwał cios prosto w żołądek. Pragnął tego, co Bowie już miał. Z całej duszy.

- Żałujesz, że nie poleciałeś z nimi? - spytała Andi po chwili. Dopiero w tej chwili Chance uświadomił sobie, że Bowie, Nicole i dziecko są w drodze do Las Vegas, a on i Andi tu zostali.

Sami. Zadrzał i odwrócił się do niej. Andi mogła zmniejszyć jego udrękę. Ona jedna na świecie.

- Nie. Ani trochę - odpowiedział.
- Czyżby? - Uniosła wysoko brwi.

Wspomnienie poranka rozgrzało mu krew. Poczuł gwałtowne pragnienie, by przytulić Andi. I być tulonym. Dostrzegł jeszcze zachęcające błyski w jej oczach i już po chwili zwarli się w gwałtownym uścisku. Usta gorączkowo szukały ust. Niecierpliwe ciała domagały się pieśzczot.

- Chyba wezmę cię tutaj - wyszeptał Chance - na tym twardym pokładzie.

- Mamy dziesięć łóżek. Och! Tak, dotykaj mnie tam. Dziesięć łóżek na dole. - Wsunęła ręce w jego szorty.

Nie! Nie chciał kochać się z nią w tym okropnym wnętrzu. Gdzie tyle się wydarzyło. Gdzie zemdłał. Okazał słabość. Nadludzkiem wysiłkiem oderwał się od Andi.

- Idź na rufę. Zaraz przyniosę wszystko, co potrzebne.

Wpatrywała się w niego, dysząc ciężko.

- Na rufę? Dlaczego, u diabła, chcesz iść na rufę? - spytała.

- Mam swoje powody.

- Jakie?

- Pragnę patrzeć na twoje nagie ciało w świetle gwiazd, gdy będziesz leżeć pode mną.

- Och! - Błyski pożądania rozjaśniły jej spojrzenie. - No... dobrze, ale...

- Pragnę słyszeć twoje krzyki rozkoszy niosące się echem do brzegów zatoki.

Westchnęła. Zdążył już zsunąć z niej do połowy kostium, więc jej piersi zafalowały gwałtownie.

- Och! - zdołała szepnąć.

- I chcę unieść głowę i spojrzeć w rozgwieżdżone niebo, gdy będę głęboko w tobie.

Jej wargi rozchyliły się. Lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chance uśmiechnął się. W końcu udało mu się zmusić ją do milczenia. Warto było zdobyć się na ten wysiłek.

- Zapomniałaś języka w gębie, Andi? Lepiej odszukaj go szybko. Pragnę bowiem poczuć jego dotyk na każdym skrawku mego ciała.

- Idź! - Ledwie usłyszał jej szept. - Będę czekała.

- Na rufę?

- Nie widzę dla siebie innego miejsca.

Ja też, pomyślał kilka minut później, wspinając się po drabince. Niósł śpiwory. A w kieszeni szortów miał zawartość torebeczki ze sklepu w przystani. Ale pokład rufowy był pusty.

Cisnął śpiwory i rozejrzał się dokoła.

- Andi?

- Pragnę pieścić twe ciało oblane światłem gwiazd - usłyszał.

- Gdzie jesteś?

- Pragnę muskać językiem każdy smakowity skrawek twego ciała. - Jej głos dolatywał skądś z dołu.

- No to musisz przyjść do mnie, na pokład rufowy, kobieto.

- I pragnę, by twój krzyk rozkoszy odbił się echem od strzelistych skal, gdy dotknę ustami...

- Andi! - ryknął.

Pojawiła się, powoli wspinając się po drabince. Zmieniła kostium kąpielowy na najbardziej podniecającą bieliznę, jaką kiedykolwiek widział. Mikroskopijne skrawki czarnej koronki z trudem skrywały jej sutki. W dłoni trzymała mały słoiczek.

- Mam cię! - szepnęła.

- Skradasz się jak wąż - powiedział. Ale był tak podniecony, że nie mógł gniewać się naprawdę.

- O, tak. Świetnie to potrafię. - Odpięła zapinkę między piersiami i miniaturowy staniczek spadł na deski pokładu. - Powiem ci jeszcze, dopóki nie jesteśmy zbyt zajęci, że nienawidzę, gdy ktoś mi rozkazuje. To do mnie musi należeć ostatnie słowo.

- Co jest w tym słoiku? - spytał, zbity z tropu. Jak zwykle, gdy ona była w pobliżu.

- Farba do malowania rękami.

Podszedł bliżej.

- Bardziej mi to wygląda na polewę karmelową.

- Naprawdę? - Zanurzyła palec w słoiku. - Czy to ma znaczyć, że nie będziemy malować? Mówiłeś, że to lubisz. - Prowokująco zakofyssała piersiami.

- Możemy nie zdążyć. - Zrobił ku niej krok.

- Tobie też pozwolę. - Rozsmarowała sos wokół jego brodawek. I schyliła głowę. - Ładny wzór, ale muszę go jeszcze poprawić. - Zaczęła pocierać i poszczypywać go delikatnie.

Wrażenie było niesamowite. A kiedy zaczęła zlizywać z niego gęstą słodycz, omal nie wyskoczył ze skóry.

- Andi! - wychrypiął.

Oderwała się od niego i podniosła słoik.

- Przepraszam - szepnęła i oblizała palce. - Nie zamierzam bawić się sama. Teraz twoja kolej.

Szarpnęła głową i odrzuciła włosy na plecy. Uniosła rękami piersi.

- Oto twoje sztalugi.

Odstawił słoik i namalował na niej staniczek bikini. Czuł pod palcami, jak jej sutki stwardniały. Wyprężyły się. Z każdą chwilą rosło w nim napięcie. W końcu nie wytrzymał. Odsunął na bok jej ręce i zaczął ssać z lubością krągłe piersi.

- Dobrze? - mruknęła.

- Mhm.

Pomału odchodził od zmysłów. Nawet nie zorientował się, kiedy oboje klęczeli na pokładzie. Tak był zajęty, że prawie nie zauważył, że Andi rozpięła mu szorty i opuściła slipy. Po chwili leżał płasko, z gwiaździstym niebem nad głową. Po raz pierwszy w życiu przytrafiła się mu erekcja w poliwętle karmelowej.

I stało się. Jego krzyk odbił się echem od ścian zatoki, gdy Andi z zapamiętaniem dobiegła do czekoladowego smakołyku. Nieprawdopodobnym wysiłkiem zdołał zapanować nad jej rozkoszną zaborczością.

- Koniec przekąski. - Przyciągnął ją i zaczął całować słodkie, lepkie usta. - Jesteś nieprzyzwoita.

- Czy to dobrze? - Delikatnie złapała go zębami za dolną wargę.

- Dobrze? To za mało powiedziane. - Pomału obrócił ją na plecy. - Ale już nie chcę malować. - Pora na nową zabawę?

- Na najstarszą zabawę ludzkości. - Wsunął dłonie pod czarną koronkę na jej brzuchu. Językiem zgarnął krople potu z przęających się piersi. - Dużo lepszą niż czekolada.

- Będziesz musiał to udowodnić.

- Z rozkoszą. - Aż wstrzymała oddech, gdy jego palce wprawiły ją w drżenie. Skubnął zębami jej ucho. Poruszył dłońią. - Nie sądzę, byś musiała długo czekać - wyszeptał.

- To się okaże. Jestem twarda. Zimna jak lód. - Oddychała coraz szybciej. - Ty mogłeś wytrzymać, mogę i ja.

- Ja mam powód. Ty nie.

- Mam swoją godność - szepnęła. - Och! Chance, to... Nie chcę, żebyś pomyślał... Żebyś pomyślał, że jestem... taka łatwa.

- Nigdy. - Wpił się wargami w jej usta. Spijał krzyki, które

wyrywały się z jej piersi, gdy prowadził ją do szczytu. Kiedy oprzytomniała, zsunął z niej majteczki i sięgnął za siebie. Szukał szortów, które z niego zdarła.

- Przepadła moja godność - wyszeptala Andi, przyglądając się jego przygotowaniu. - Wciąż cię pragnę.

- Liczyłem na to. - Wsunął się między gładkie uda. Objął jej głowę. Spojrzał w głąb cudownych, mądrych, pełnych pożądania oczu. - Cieszę się, że wciąż mnie pragniesz.

- Bardzo. - Otoczyła go udami. Pociągnęła w dół. - Pokaż mi wszechświat, Chance.

- Szkoda, że nie widzę twojej twarzy - mruknął.

- Bo jest ciemno - powiedziała drżącym głosem.

- Dziękuję, mój Einsteinie. - Pochylił się i pocałował ją. - Ale przecież jutro też będzie dzień. - Uniósł się i znów ruszył w dół. Jej biodra zakotywały się. Aż stęknął z rozkoszy.

- Jutro... musimy wyciągnąć... statek - wymruczała między gwałtownymi oddechami.

- Kogo obchodzi ten cholerny statek?! - Zatracił się bez reszty w szalonym rytmie.

Przemknęła mu przez głowę niewyraźna myśl, że po raz kolejny przestał panować nad sytuacją. Stawało się to już uciążliwym nawykiem. Lecz gdy Andi ścisnęła go ile sił i zaczęła wykrzykiwać jego imię, wszystko przestało mieć znaczenie. Potem jej ekstatyczny krzyk odbił się echem od skalistych brzegów i uleciał aż pod rozgwieżdżone niebo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wtulona w ramiona Chance'a, ukołysana jego pieszczotami, Andi łagodnie zapadała w sen pod miriadami gwiazd. Lekkie kołysanie wzmagало jeszcze uczucie rozkoszy. Niebo jaśniało leniwie, gwiazdy bladły.

- Psiakrew!

Andi raptownie wróciła do przytomności.

- Chance?

Chance pełzał na czworakach i nerwowo rozglądał się dokoła.

- Nie-pra-wdo-po-do-bne!

- Co?

Przeczołgał się szybko i sięgnął po jeden z leżących beużytecznie śpiworów.

- Okryj się. Jesteśmy na środku jeziora.

- Niemożliwe! - Naciągnęła na siebie śpiwór i usiadła. Chance mówił prawdę. Zewsząd otaczała ich woda. Brzeg zdawał się ginać w oddali.

- Jak to się mogło stać? - spytała.

- Może to helikopter - odparł nerwowo, wkładając szorty - poruszył łódź, kiedy lądował na pokładzie.

- A może to ty - mruknęła i uśmiechnęła się - byłeś niezwykle energiczny, Romeo.

- Ty też nie byłaś całkiem biema, Julio.

- Wiedziałam, że potrafimy oswobodzić łódź z piaskowej pułapki. Widzisz, jak dobrze nam poszło?

- Aż za dobrze! Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że druga śruba jest w porządku. I że mamy dość paliwa, żeby odnaleźć naszą zatoczkę, gdzie została większość ekwipunku. To straszne!

- Za bardzo się przejmujesz. - Nic nie mogło zepsuć jej dobrego samopoczucia. Jezioro było gładkie jak lustro, pokład rufowy obszerny. Odrzuciła śpiwór. Wstała i uniosła ręce do nieba. Musiała wykrzyzczyć swoją radość.

- Hej, świecie, *que pasa?* - zawołała.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję, że ci rybacy, którzy tam płyną, nie mają lornetki - mruknął Chance.

Andi plasnęła na pokład jak żaba i wczołgała się pod śpiwór. Uniosła ostrożnie róg i popatrzyła na Chance'a.

- Powinieneś był mnie uprzedzić!

Uśmiechnął się.

- Zrobiłbym to, gdyby w ogóle zaświtało mi w głowie, że zamierzasz w tak szczególny sposób pozdrowić słońce.

- Zbliżają się? - Wystawiła głowę.

- Tak. Nie da się ukryć.

Jęknęła głucho i naciągnęła śpiwór na głowę.

- Sław ich - usłyszał jej stłumiony głos.

- Co? - Uniósł brzeg śpiwora.

- Sław ich! I nie odzywaj się do mnie. Nie chcę, żeby wiedzieli, że tu jestem.

- Niech to diabli! A ja właśnie machałem, żeby podpłynęli bliżej. Chcę spytać ich, jak płynąć, by odnaleźć naszą przystań. Żebym mógł zorientować się w sytuacji.

- Nie ośmielisz się chyba przywołać tu tych rybaków, gdy ja leżę goła na pokładzie.

Chance znów uniósł brzeg śpiwora.

- Co powiedziałaś? Przez ten śpiwór wcale cię nie słyszę.

- Wynocha! Zabieraj się! - Wyrwała mu materiał z ręki i narzuciła sobie na głowę. Ciche mruczenie silnika łodzi rybackiej zbliżało się coraz bardziej.

- Uspokój się. - Poklepał ją po pupie. - Za bardzo się przejmujesz.

- Oooo! Poczekaj tylko! Już ja cię dopadnę!

- To brzmi obiecująco. - Ścisnął ją mocno.

- Nie dotykaj mnie! - Trzymając kurczowo śpiwór, odczołgała się szybko niczym komandos.

- Słodka Andi - powiedział. - Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że to ty wleciesz tę szmatę po pokładzie. Chłopaki pomyślą, że kupiłem sobie żywy śpiwór.

Motorek warczał coraz bliżej, aż ucichł tuż przy burcie, a obcy męski głos zawołał:

- Ahoj! Kolego! Masz jakieś kłopoty?

Andi zacisnęła powieki. Cicho modliła się, żeby rozmowa trwała jak najkrócej. Próżne nadzieje!

Leżała pod piekielnie gorącym śpiworem i zdawało się jej, że trwa to całe wieki. Poza tym coś okropnie łaskotało ją w nos. Nie słyszała, o czym mężczyźni rozmawiają. Lecz im bardziej była zgrzana i odrętwiała, tym większą miała pewność, że śmiali się z niej. I z każdą chwilą obmyślała coraz bardziej wyrafinowane tortury, jakim podda Chaunceya M. Jeffersona IV.

Wreszcie, po nieznośnie długiej chwili, rybacy odpłynęli.

Brzeg śpiwora uniósł się.

- Już ich nie ma - szepnął Chance.

Odrzuciła duszące ją przykrycie i usiadła zniecierpliwiona.

- Naśmiewaliście się ze mnie, tak?

- Nie, my...

- Akurat. Założę się, że świetnie bawiliście się moim kosztem.

Uśmiechnął się i spróbował chwycić ją w objęcia.

- To dlaczego to tak długo trwało? - Odepchnęła go.

- Dlatego... - Znów wyciągnął ku niej ręce. - Chodź tu.

- Pewnie zapomniałeś, że ja tu leżę, prawda? Masz w nosie to, że cała się podrapałam.

- Wcale nie.

Sięgnął po nią tak gwałtownie, że stracił równowagę i upadł na pokład, pociągając ją na siebie. Objął ją i mocno przytulił.

- Nie szarp się, bo wpadniemy do wody. To i tak cud, że nie takiego jeszcze się nam nie przydarzyło.

Przestała się wyrywać. Upadku z wysokiego pokładu do jeziora nie można uznać za dobry początek dnia.

- Jednak uważasz mnie za bezmózgą fajtlapę!

- Wcale nie bezmózgą.

- Ale fajtlapę. - Wsparła brodę na dłoni i zajrzała w jego rozśmiane oczy.

Uśmiechnął się ciepło.

- Podziwu godną fajtlapę. I nie zapominaj, że mówisz do gościa, który zemadł, zamiast pomóc przy narodzinach dziecka.

- Dwa razy.

- Widzę, że nie muszę się martwić. Nigdy o tym nie zapomnisz. I pewnie będziesz mnie teraz szantażowała?

- Dzięki. Świetny pomysł. - Przytuliła się do niego i wsłuchiwała w bicie jego serca. - Czyli nie naśmiewałeś się ze mnie z tymi facetami?

- Oczywiście, że nie. - Uniósł się ostrożnie i opadł na Andi. Znaleźli się tuż pod niziutkim relingiem. - Dobrze. Teraz jestem troszkę spokojniejszy. Co za szczęście, że w nocy nie wypadliśmy za burtę.

- Skoro nie rozmawialiście z tymi rybakami o mnie, to czemu dyskusja trwała tak długo? Zaczęłam podejrzewać, że doszukujecie się wspólnych przodków.

- Graliśmy tylko w niezwykle pasjonującą grę. - Odgarnął jej włosy z czoła. - Musiałem wmówić im, że sam jeden znalazłem się na środku jeziora na dziesięcioosobowym statku.

- Uwierzyli?

- Tak. - Pocałował ją w nos. - Powiedziałem, że moi kumple zostali na plaży i nawet nie zorientowali się, że łódź zaczęła dryfować. Dałem do zrozumienia, że wypiliśmy bardzo dużo piwa. Tak. Byli pewni, że jestem tu sam. Poza tym nie dostrzegłem u nich żadnej lornetki. - Popatrzył na dół. - Wygląda na to, że tylko ja oglądałem twoje wygibasy o wschodzie słońca.

- Dziękuję, że wyjaśniłeś kwestię lornetki. Poprawiło mi to samopoczucie.

- Mnie także. Jestem trochę zazdrosny o moją Lady Godivę. -
Pogłaskał jej pierś. - Ciągłe się lepisz.

- Powinniśmy popływać czy coś w tym rodzaju.

- Czy coś w tym rodzaju. - Musnął językiem jej wrażliwą skórę. - Opisałem im zatoczkę i pokazali mi, jak tam dotrzeć. Zastanawiam się, czy nie odprawiłem ich zbyt szybko. Mogli zacząć podejrzewać, że schowałem pod śpiworem nieboszczyka. Gdyby ktoś miał czas się przyglądać, zauważyłby, że wyglądałaś jak bardzo tajemniczy tobołek.

- Tajemniczy tobołek. Jak miło! Wcisnął biodra między jej uda.

- Ale muszę przyznać, że jesteś najcudowniejszym nagim tobołkiem, jaki kiedykolwiek znalazłem pod śpiworem.-

Chance, naprawdę nie powinniśmy...- Czy to nie zabawne, że ilekroć jestem przy tobie, mam ochotę tylko na jedno? - To histeria. Czy nie powinniśmy zająć się sprawdzeniem śruby? - Wolę sprawdzić ciebie. - Uniósł się troszeczkę i odsunął suwak. Ale guzika przy pasku nie odpiął. - Chance!

Przecież może nadpłynąć inna łódź. To już prawie południe. -

Nasłuchuję uważnie. - Z kieszeni wyjął prezerwatywę. -

O, tak! Już uwierzę! - Choć nie chciała przyznać się do tego, i ona poczuła olbrzymie pożądanie.

- Gdybyśmy zesli pod pokład, to wtedy na pewno niczego nie mógłbym zobaczyć. Stąd świetnie widać całą okolicę. - Podał jej paczuszkę. - Otwórz.

- Mówisz poważnie?

- Masz wątpliwości?

- Oczywiście, że mam wątpliwości.

- Gdzież podziła się twoja szalona natura, Andi?

- Naprawdę zamierzasz kochać się na pokładzie pływającego domu, na samym środku jeziora, w pełnym świetle dnia? - Ale to był naprawdę podniecający pomysł.

- Oczywiście przy odrobinie współpracy. Otwórz to i nałóż.
Zrobiła to. Chłodne ząbki suwaka drapały jej uda, gdy zanurzał się w nią głęboko.

- Oszalałeś - wyszeptwała.

Odchylił się na chwilę i spojrzął na nią.

- To przez ciebie, obłudna kobieto.

Całkiem bez udziału świadomości, ich ciała znalazły wspólny rytm.

- Nie mogę uwierzyć, że to robimy.

Spojrzał jej prosto w oczy. Przyspieszył.

- A ja nie mogę uwierzyć, że wciąż ze mną rozmawiasz.

- Myślę, że... - Zadygotała, gdy dotknął najwrażliwszego punktu. Tak?

- Mniejsza z tym - szepnęła. - Rób tak dalej.

- Z przyjemnością.

Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich tyle miłości, że zrozumiała, iż czuł coś więcej niż fizyczną rozkosz. Szczęście i radość wypełniły jej serce.

- Och! Andi - wyszeptał wprost do jej ucha.

Nigdy przedtem jej imię nie brzmiało tak słodko. Żaden pocałunek nie poruszył tak jej duszy. Drżeli. Dygotali. Coraz gwałtowniej. Aż krzyki rozkoszy obojga połączyły się pod wysokim niebem.

Zakochanie się w Andi nie było posunięciem najmądrzejszym. Lecz Chance nic na to nie mógł poradzić. Na początku wyprawy sądził, że zdoła oprzeć się jej urokowi. Ze potrafi opanować popęd. Mylił się. Potem pozostała mu tylko nadzieja, że będzie umiał uchronić się przed zaangażowaniem uczuciowym.

Jakiś czas później, gdy płynęli już w stronę zatoczki, a Andi krzątała się i usuwała krępujące ślady minionej nocy, przyłapał się na tym, że ilekroć znalazła się w pobliżu, wyciągał do niej ręce. I całował ją.

Na początek ustalili, że zacumują w zatoczce, zatelefonują do szpitala, by dowiedzieć się o Nicole i dziecko, i załadują na łódź

wszystko, co zostało na plaży. Co dalej, nie planowali. Rozum podpowiadał, że powinni odprowadzić statek do portu i pojechać do Las Vegas, do Nicole. Chance zgodził się przecież na tę wycieczkę, by spełnić urodzinowe życzenie brata. A Bowiego już z nimi nie było.

Lecz Chance wcale nie miał na to ochoty. Łódź sprawowała się całkiem nieźle z jedną sprawną śrubą. Powciągał na pokład cumy. Jakimś cudem u ich końców wciąż uwiązane były paliki. Wiatr ucichł. Mieli mnóstwo jedzenia. Pod pokładem było dziesięć koi. Bardzo pragnął wypróbować każdą z nich.

- Ziemia! - krzyknął, gdy wypatrzył wśród drzew ich zatoczkę.

- Czy ktoś jest na naszej plaży? - spytała.

- Nie. - To była ich prywatna plaża. Bardzo mu się to spodobało. Zatoczka była tak mała, że żadna inna łódź nie mogła przycumować obok nich. Mogli więc liczyć na niczym nie zmąconą samotność. Tyle tylko, że Andi będzie zapewne chciała pojechać do Nicole i maleństwa. Chociaż...

Przysiadła obok niego.

- Są nasze rzeczy! - zawołała. - Leżaki, palenisko, torba-łodówka i ręczniki. Wszystko, Bogu dzięki!

- Liczyłem na to. W końcu nie odpłynęliśmy na długo.

- Wiem. Ale wydaje mi się, jakby całe wieki minęły od chwili, gdy czytałyśmy z Nicole książkę.

- Oj, tak. - Pokochał Andi. Choć bronił się przed tą myślą. To, że razem byli świadkami narodzin dziecka, że zaakceptowała jego chwile słabości oraz wspólna, szalona noc, zbliżyły ich bardzo. I wszystko mogłoby być takie wspaniałe. Gdyby na zawsze mogli pozostać na tej łodzi. Nie umiał nawet wyobrazić sobie Andi w Chicago. Tak jak on nie potrafiłby przenieść się do Nevady.

- Trzymaj się - powiedział. - Wpłyniemy wprost na plażę.

- Założę się, że to uwielbiasz. Co za wspaniałe uczucie! Trzymać ster tego wielkiego statku, gdy wbija się w delikatny, miękki piasek. Co za żeglarz! Prawdziwy macho.

Uśmiechnął się.

- Niepotrzebny mi parostatek, żeby udowodnić, jaki ze mnie macho - powiedział. - Mam zamiar pozwolić tobie wpłynąć do zatoki.

- Nie! Poważnie?

- Siadaj tu i pompuj adrenalinę.

Prędko zajęła jego miejsce.

- Z jaką szybkością? - spytała.

- Sama zdecyduj. Ale nie wahaj się za bardzo. Nie chcesz chyba, żebyśmy znowu zdryfowali?

- Boże, nie! Nie ma nic gorszego. Mógłbyś mi jednak coś doradzić. - Skupiona, patrzyła wprost przed siebie.

- Dobrze. Moja technika jest następująca: ustawić się powoli, upewnić się, że dobrze wybrało się kierunek, a potem - gaz do dechy.

- Cudownie. Uwielbiam, kiedy tak świntuszysz.

- Sama zaczęłaś. Ja mówię tylko o sterowaniu łodzią.

- Pewnie!

Miał dziwne uczucie, że im dłużej przebywał w towarzystwie Andi, tym częściej przejmował jej beztroski sposób patrzenia na świat i że tym trudniej będzie mu wrócić do codziennych obowiązków.

- Już jesteśmy w zatoce! - krzyknęła podekscytowana.

Przesunął dźwignię. Silniki zaryczały i dziób łodzi wbił się głęboko w brzeg.

Andi wydała radosny okrzyk tryumfu.

- To było wspaniałe! Wyłącz silnik! Chodźmy uwiązać tę łódyczkę - zawołał Chance.

- Zamierzasz wbijać te długie pale? - Uśmiechnęła się szelmowsko.

Objął ją i pocałował.

- Tylko jedno ci w głowie.

- A tobie nie?

Zapatrzył się na nią. Miała na sobie podkoszulek i szorty. Niby nic takiego, a przecież i w tym stroju działała na niego podniecająco.

- W tej chwili tak - odparł.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Andi podtrzymała paliki, a Chance walił w nie wielkim młotem. Jedno nieudane uderzenie i mógł pogruchotać jej palce. A przecież nie zadrżała ani przez chwilę.

Pomogła mu naciągnąć ostatnią cumę i otrzepała ręce z piasku.

- Najpierw ładujemy rzeczy, czy dzwonicmy do szpitala? - spytała.

Chance zdjął przeciwsłoneczne okulary i ramieniem otarł pot z czoła. Potem znów włożył okulary.

- Zanim zrobimy cokolwiek, musimy porozmawiać.

Andi przeraziła się. Oto nadchodził koniec ich wycieczki. Załadują wyposażenie, zatelefonują do szpitala i odprowadzą łódź do przystani. Bez względu na to, co zobaczyła w jego oczach, gdy kochali się tego ranka, nie był poważnie zainteresowany instruktorką jogi z Las Vegas. Najprawdopodobniej zamierzał powiedzieć jej, jak było mu z nią dobrze. Ale teraz on musi zająć się firmą. Próbowwała wmówić sobie, że spodziewała się czegoś takiego. Na próżno.

Przypomniała sobie jego odpowiedź, gdy spytała go niedawno, czy tylko jedno mu w głowie. „W tej chwili, tak”, odpowiedział. Chwila minęła, wszystko skończone.

Postanowiła ubiec go, zachować się z godnością. Z udawaną nonszalancją usiadła na jednym z leżaków.

- Wiesz, było naprawdę bardzo miło - powiedziała. - Ale gdy się tak zastanowić, chyba niedługo trzeba będzie wrócić do rzeczywistości.

- To prawda. - Popatrzył na nią z odrobiną lęku. Rozsiadła się wygodnie i zmusiła do uśmiechu.

- Oboje jesteśmy dorośli. Czasami możemy pozwolić sobie na małą przygodę. Bez problemów i zobowiązań.

- Chyba tak.

- Przyznasz więc chyba, że ja nie zmuszałam cię do niczego. Było wspaniale, ale nie możemy budować na tym przyszłości. Zbyt wiele nas różni. Ty masz swoją firmę, o którą musisz dbać. Ja mam moje własne, szalone życie do przeżycia, prawda?

- Hm. - Odwrócił się i wbił wzrok w wodę. - Trudno dyskutować z takimi argumentami.

- Wcale tego nie chcę. - Poczowała, że w krtani wyrosła jej wielka kula. Ale czegoż oczekiwała? Że Chance padnie przed nią na kolana i obieca dożgonną miłość? Że porzuci swoją ukochaną firmę?

- Jest tylko jedna rzecz.

- Co? - spytała z niepokojem.

Odwrócił się ku niej.

- Łódź. Jest wyczarterowana na tydzień.

Andi za wszelką cenę usiłowała okazać obojętność.

- Boisz się, że nie zwrócą nam części opłaty, jeżeli przypłyniemy wcześniej?

- Nie. Psiakrew! Ani trochę. Czy po tym wszystkim... Naprawdę takie masz o mnie zdanie?

- No cóż...

- Nie odpowiadaj. Chcę tylko dowiedzieć się, czy byłabyś choć trochę zainteresowana zatrzymaniem łodzi jeszcze na trochę?

- Razem z tobą?

Uśmiechnął się.

- Nie. Sama. - Podeszedł, oparł dłonie na poręczach jej leżaka i pochylił się. - Ty, sama, na dziesięcioosobowym statku. Oczywiście, że ze mną, głuptasie.

Każdy, kto miałby odrobinę szacunku dla samego siebie, odrzuciłby taką propozycję. Ale kiedy Chance pochylił się, kiedy jego usta znalazły się tak blisko jej warg, Andi zabrakło sił na sprzeciw.

- Byłabym bardzo tym zainteresowana - odparła.
- Świetnie! Boja także.

Wbrew sobie, uśmiechnęła się radośnie. Być może koniec tygodnia przywita łzami, ale na razie zapowiadała się cudowna zabawa.

- Wszystko zależy od tego, co u Nicole i dziecka. - Chance wyprostował się. - Jeżeli z jakiegokolwiek powodu będziemy tam potrzebni albo jeżeli ty chcesz pojechać do Vegas, żeby zobaczyć się z nimi, możemy popłynąć do przystani choćby jutro.

- Też tak sędzę. Jeżeli będziemy potrzebni. - Jeżeli nie, na pewno będzie wolała zostać z Chance'em. Do czego to doszło? - Jeśli nawet teraz Nicole nie będzie nas potrzebowała, i tak zamierzalam pojechać do Chicago na jakiś tydzień. Będę miała wtedy dość czasu, żeby побыć cicią.

- I ja, kiedy wrócę do Chicago, będę miał wiele okazji, żeby zobaczyć wujkiem.

- Ale na pewno nie będzie okazji, żeby popływać łodzią.

- Na pewno nie - odrzekł i uśmiechnął się łagodnie.

- W takim razie powinniśmy korzystać, ile się da, co? Opłynąć całe jezioro, zobaczyć wszystko i...

- Możemy też zostać tu przez następne trzy dni. - Chance zdjął przeciwsłoneczne okulary, podniósł Andi i przytulił ją mocno. - Te widoki bardzo mi się podobają.

Patrzyła mu w oczy z bijącym sercem.

- Ale wiesz, że nie będzie więcej wjeżdżania dziobem w piasek ani wbijania pali?

- Taak. - Przycisnął mocno do siebie jej biodra. - Będę musiał znaleźć inne sposoby pozbycia się testosteronu.

- Och!

Pocałował ją namiętnie.

- Ale najpierw musimy zatelefonować do szpitala. - Uwolnił Andi z uścisku i ruszył pod pokład. - Przyniosę telefon. - Zatrzymał się. Zawrócił, kręcąc na palcu okulary. - Ratownicy dali ci kartkę z numerem telefonu. Gdzie ona jest?

- Jest. Chance, uważaj!

Za późno. Zawadził o cumę i runął jak długi w piach.
Podbiegła do niego.

- Nic ci się nie stało?
- Mnie nic. - Wstał z okularów, na które upadł. - Ale okulary już chyba nie przydadzą się do niczego.
- Musiały być bardzo drogie.
- Chwyił ją za ramiona.
- Przestań wreszcie wmawiać mi, że pieniądze są dla mnie najważniejsze. Naprawdę interesuję się ceną tylko wtedy, gdy ma to znaczenie dla firmy albo mojej rodziny. Czy rzeczywiście nikt tego nie dostrzega?
- Może dlatego, że nie starcza ci czasu, by komukolwiek o tym powiedzieć.
- Sami powinni o tym wiedzieć. Ale... może masz rację. Spróbuj zapamiętać, co mi powiedziałaś.
- Jeśli jednak chcesz, żeby ktoś ci uwierzył, musisz przestać ślęczeć bez przerwy nad kolumnami liczb. Czyny mówią same za siebie.
- Ale jeśli ja nie dopilnuję, nikt tego nie zrobi!
- Andi wpatrywała się weń w milczeniu. Zastanawiała się, czy już zapomniał o wspaniałej postawie Bowiego podczas narodzin dziecka.
- Jesteś tego absolutnie pewien?
- Niepewność zagościła w jego oczach.
- Bo ja nie - dodała.
- Dzieje się tutaj coś niezwykłego. Na ogół nie zdarza mi się wrzucać jedzenia do ognia czy potykać się o liny. Nie mówiąc już o dryfowaniu na środku jeziora.
- To prawdopodobnie moja wina. - Szczerze chciała w to wierzyć. Być może stawał się fajtłapą w jej obecności, tak jak i ona, gdy był w pobliżu?
- Nie. Muszę po prostu przestać zachowywać się jak idiota. To gdzie jest ta kartka? Andi westchnęła. - Chyba na stole w kuchni - odparła. - Zaraz wrócę. - Podniósł zgruchotane okulary. - Ale po rozmowie z Nicole muszę jeszcze zadzwonić do biura.

- Dobrze, w porządku. - Jeśli sądził, że zamierzała pozwolić mu wrócić do starych przyzwyczajzeń, to grubo się mylił. Nie miała ochoty spędzić następnych trzech dni, przyglądając się facetowi tkwiącemu przed komputerem.

Po chwili zeskoczył z łodzi. W jednej ręce trzymał telefon, w drugiej dwie puszki soku pomarańczowego. Boso, w samych szortach, nie wyglądała na biznesmena, pomyślała Andi.

- Śniadanie. - Rzucił jej jedną puszkę.

- Dzięki. Może powinnam uprzedzić cię, że to Nicole zna się na prowadzeniu domu, nie ja. Teraz, gdy jej zabrakło, nie mogę obiecać ci zbyt wyszukanego menu.

- Nie bądź taka skromna. - Podał jej telefon i kartkę z numerem, a potem opadł na leżak. - Miałem okazję przekonać się, że w kwestii polewy karmelowej jesteś prawdziwą artystką. - Otworzył puszkę i wypił łyk soku.

- Nie powiedziałam, że nie jestem pomysłowa. - Przyglądała się mu z zachwytem. - Wspomniałam tylko, że nie jestem wyszkołona.

Wysączył ostatnią kroplę soku i zgniótł puszkę.

- Zatem zdecydowanie wolę pomysłowość - mruknął i uśmiechnął się znacząco. - Dzwon.

- Dobrze. - Nicole odebrała niemal natychmiast. - Cześć, siostrzyczko! - zawołała Andi. - Jaki masz radosny głos.

- Bo czuję się wspaniale. Lekarz mówi, że to dlatego, że podczas porodu nie przyjmowałam żadnych środków przeciwbólowych. Wtedy nie było mi zbyt przyjemnie. Chyba troszeczkę przeklinałam, co?

- A jak myślisz? - zapytała Andi. - Dlaczego Chance zemdlął po raz drugi?

- Nie, poważnie? Czy używałam słowa na „p”?

- Oczywiście. To było jedno z najdelikatniejszych przekleństw. Od tamtej pory o niczym innym z Chance'em nie rozmawiamy.

- O Boże! Tak mi wstyd. Powiedz mu, proszę, że na co dzień nie wyrażam się w taki sposób!

- Powiedziałaś mu, że mógł wreszcie zobaczyć twoje prawdziwe oblicze.

- Nie zrobiłaś tego, Andi Lombard! Trzymajcie mnie! Gdyby nie to, że leżę w szpitalnym łóżku...

- Uspokój się. - Andi wybuchnęła śmiechem. - Twój popis był ozdobą tamtego wieczoru. A Chance nie skomentował go ani słowem. Nie wiem nawet, czy w ogóle zorientował się, co się wokół niego dzieje.

- Świnia jesteś. O wszystkim powiem mamie.

- Na pewno nie powiesz. Bo musiałabyś przyznać się do tych wszystkich przekleństw. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby mama albo pani Chaunceyowa filmowały twój poród? I nagrały towarzyszące mu dźwięki?

- Wtedy byłoby całkiem inaczej. Ale wiesz dobrze, że ich tutaj nie ma. Jestem znacznie spokojniejsza. Mniej skrepowana. Chandi też jest radosna i pełna życia.

- Kto?! - Andi poderwała się na równe nogi.

- Chandi. Twoja siostrzenica. Moja córka.

- Chandi?! - Andi spojrzała na Chance'a, który gwałtownie kręcił głową i wymachiwał dłońmi ze skierowanymi w dół kciukami.

- Nie podoba ci się? Wymyśliliśmy to imię z Bowiem w helikopterze.

- W helikopterze zaczęli podawać ci prochy, prawda?

- Nie! Ja i Bowie byliśmy absolutnie przytomni.

- To ty tak twierdzisz. Posłuchaj, to imię chyba nie jest jeszcze nigdzie oficjalnie zapisane, prawda? W jakiejś metryce czy innym dokumencie?

- Oczywiście, że jest. Podpisane, opieczątowane, zatwierdzone. Chandi Bowina Jefferson.

- O mój Boże! - jęknęła Andi. - Na diabła te wszystkie szkoły rodzenia?! Powinni raczej uczyć rodziców, jak nazywać dzieci. Przymusowo! Ani ty, ani Bowie nie dostalibyście dyplomu.

Nicole wybuchnęła śmiechem.

- Przyzwyczajasz się - powiedziała. - Poczekaj troszkę. A przy okazji, chcielibyśmy, żebyście razem z Chance'em byli jej chrzestnymi rodzicami. Kombinacja, która powstała z waszych imion, bardzo się nam podoba. Nie powiem, żebym była zachwycona drugim imieniem, ale Bowie za nic nie chciał ustąpić. W końcu mała nie będzie musiała używać go zbyt często. Uwierz mi, to wspaniałe imię.

- Może dla rozgrywającego z pierwszej piątki Chicago Bulls. Pytałaś biedną Chandi Bowinę o zdanie? - Andi usłyszała gwałtowny trzask. Odwróciła głowę. Chance i jego leżak runęli na piasek.

- Chandi Bowina? - Gorączkowo gramolił się na równe nogi.

- Daj mi ten telefon.

- O, wujek Chance chce z tobą porozmawiać. - Podała mu telefon, zasłaniając dłonią mikrofon. - Postaraj się zapanować nad sobą. Pamiętaj, że ona jest od niedawna mamą - mruknęła.

- Odezwała się ta, która nie drwiła z jej przeklinania. - Chwyć telefon. - Nicole? Co to, u diabła za bzdura z tą Chandi Bowiną?

- Cóż za delikatność - powiedziała cicho Andi.

Chance rzucił jej groźne spojrzenie. Słuchał Nicole, coraz szerzej otwierając usta ze zdumienia.

- Żartujesz! - jęknął. - Wygrawerowane? O, tak! Ona lubi takie rzeczy. - Zakrył mikrofon dłonią. - Mojej mamie bardzo podoba się imię wnuczki - szepnęła do Andi. - Już kazała je wygrawerować na srebrnym pucharze. Andi z niedowierzaniem pokręciła głową. Chance przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha i podniósł leżak.

- No cóż. Skoro wam się podoba to i ja chyba je polubię.

- Ponownie zasłonił mikrofon. - Mama uważa, że to imię brzmi bardzo z francuska.

Andi z trudem stłumiła śmiech.

- Tak, tak. Myślę, że przywyknijemy do niego, zanim mała skończy, powiedzmy, trzydzieści dwa lata. - Słuchał przez chwilę,

kiwając głową. - Oczywiście. Posłuchaj, Nic, czy chcesz, żebyśmy przyjechali i pomogli ci w czymś? - Rzucił okiem na Andi.

A ona potajemnie skrzyżowała palce.

- Tak. Udało się nam oswobodzić Łódź. - Uniósł głowę i zapatrzył się w bezchmurne niebo. - Nawet łatwo poszło. Myślę, że śmigłowiec trochę ją poruszył.

Andi uśmiechnęła się szeroko.

- No, cóż. Jeśli nie jesteśmy ci potrzebni... Zastanawiamy się, czy nie wykorzystać łodzi do końca tygodnia. - Słuchał przez chwilę. - Jesteś pewna? W takim razie chyba tak zrobimy.

Andi klasnęła w dłonie i odtańczyła dziki taniec radości. Chance uśmiechnął się do niej.

- Ale pamiętaj, że przyjedziemy na każde wezwanie - dodał. Uniósł kciuk w geście triumfu. - O, tak. Andi powiedziała, że zaraz potem wybiera się do Chicago. - Słuchał z zamierającym uśmiechem. - Tak, wiem o tym, Nic. Dobrze, już ją daję.

Andi chwyciła telefon.

- Jesteś pewna, że nas nie potrzebujesz? - zapytała.

- Najpierw powiedz mi, jak wiedzie ci się z naszym skłonnym do omdleń bohaterem?

- Dobrze.

- Już wiem, że on chce zostać, a ty? Andi

westchnęła.

- Tak. Chcę.

- Posłuchaj. Naprawdę nie ma żadnej potrzeby, żebyście tu przyjeżdżali. Prawdę mówiąc, mamy zamiar zarezerwować bilety na samolot za dwa dni. Ale martwię się o ciebie. Bowie mówi, że to się świetnie składa, że zostaliście sami na wyrzuconej na brzeg łodzi, jak w jakimś filmie. Ale ja nie jestem tego taka pewna. Wolałabym być przy tobie.

- Nicole Lombard Jefferson! Zastanawiam się, czy ty przypadkiem tego wszystkiego nie uknułaś.

- Na pewno nie planowałam porodu na łodzi. Ale, faktycznie, pomyśleliśmy z Bowiem, że gdybyście ty i Chance mieli okazję poznać się lepiej...

- Zapomnij o tym, Nicole. Nic z tego nie będzie.
- Ale przecież zamierzasz zostać z nim do końca tygodnia. To musi znaczyć, że sprawy ruszyły ostro do przodu.
- Tylko do pewnych granic. Nie jestem taka głupia!
- No cóż, jeśli ten głuptas nie będzie błagać cię o rękę, to jest naprawdę idiotą. Oho, zaraz przywiozą Chandi do karmienia. Muszę kończyć rozmowę. Możesz zadzwonić wieczorem? Powinłam już wtedy wiedzieć, kiedy wyjeżdżamy.
- Oczywiście, zadzwonię.
- Uważaj na siebie, siostrzyczko.
- Dobrze. Cześć. - Andi wyłączyła telefon i podała Chance'owi. Ten popatrzył na nią w napięciu. - Mówiłeś coś o dzwonieniu do biura, prawda?
- Odłożył aparat na leżak i położył Andi ręce na ramionach.
- Czy spędzenie trzech następnych dni ze mną jest dla ciebie problemem? - spytał.
- Nie. Bardzo tego chcę.
- Nicole chciała upewnić się, że nie zrobię ci krzywdy, zatrzymując cię tutaj.
- To śmieszne. - Andi wysoko uniosła głowę. - Nicole niesłusznie uważa, że wszyscy pragną tego samego co ona.
- Masz na myśli męża i dziecko?
- Tak.
- A ty nie chcesz mieć rodziny? - Usiłował zająrzeć jej w oczy.
- Prawda uderzyła ją boleśnie. Pragnęła męża. I dziecka. Jak niczego innego na świecie. A od kilku godzin wydawało się jej, że znalazła kandydata na męża, który dałby jej upragnione dziecko. Ale tego właśnie nie powinna mu mówić.
- Może kiedyś - odparła. - Ale nie teraz. Kiedy tyle jeszcze przede mną przygód i radości. - Jej serce ścisnęło się z powodu takiego kłamstwa.
- Domyślam się, że musiałby to być ktoś naprawdę wyjątkowy, dla kogo poświęciłabyś wolność, którą tak uwielbiasz.
- Tak, masz rację. - To właśnie ty, pomyślała.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Przez moment Andi wydawało się, że powie coś jeszcze. Lecz tylko cicho westchnął.

- Muszę zadzwonić do biura - powiedział wreszcie. - Zaczną zastanawiać się, co się ze mną dzieje.

- Powiedz im, że porwali cię Cyganie - rzuciła Andi i ruszyła ku łodzi. - Zaparzę kawę i zrobię nam coś do jedzenia. Ta historyjka o Cyganach nie odbiegała tak bardzo od prawdy, pomyślał Chance. Andi miała niezależną duszę i kochała nie skrupowaną niczym wolność. Nie potrafiłaby podporządkować się. Niczemu i nikomu. I bardzo dobrze. Albowiem dzięki temu na pewno nie stanie się częścią jego życia. Nie, to nieprawda. Musiał z brutalną szczerością wyznać samemu sobie, że pragnął, by Andi zamieszkała z nim w Chicago. Nieważne, czy miałyby mu to przeszkadzać w prowadzeniu firmy. I tak wciąż myślał tylko o niej. I tak nie mógł skupić się na interesach. Cóż więc mu zostało? Ślub? Przecież wyraźnie powiedziała, że nie jest zainteresowana małżeństwem.

Może chociaż zgodziłaby się zostać jego kochanką? Lepsze to niż nic. Czuł jednak, że takie rozwiązanie nie zadowoliłoby go. Poza tym byli jeszcze Bowie i Nicole. A oni na pewno nalegaliby na małżeństwo. I, musiał przyznać po cichu, ten pomysł coraz bardziej go pociągał. Szkoda, że tylko jego.

Doleciał go aromat kawy. Otworzył oczy i usiadł prosto. Oddając się takim rozmyśleniom, nie dojdiesz do niczego, skarcił się w myślach. Sięgnął po telefon. Gdy Andi ponownie pojawiła się na pokładzie w czerwonym kostiumie, który miała na sobie pierwszego dnia, usłyszał w słuchawce głos Annalise:

- Biuro Chance'a Jeffersona. Proszę czekać.

- Jasne, zaczekam - mruknął. Andi zamiatała z zapalem pokład. Potem odrzuciła szczotkę i zaczęła wyginać się w kolejnych pozycjach jogi. Wyłączył telefon.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Andi liczyła po cichu, że ćwiczenia na pokładzie skrócą służbowe rozmowy Chance'a. Choć wcale nie miała zamiaru mu przeszkadzać. Jednak nawet nie zorientowała się, jak do tego doszło, że kochali się na jego koi. Potem zjedli jajecznicę z kawą i tostami.

- Jak radzą sobie w biurze bez ciebie? - spytała, kiedy wzięli się do zmywania naczyń.

- Nie wiem. Rozłączyłem się, zanim udało mi się z kimkolwiek połączyć.

Omali nie upuściła dzbanka do kawy.

- Rozłączyłeś się? Dlaczego?

Postawił na blacie butelkę z płynem do zmywania i przyjrzał się jej uważnie.

- Chyba z powodu tej pozycji, przypominającej odwrócone V.

- Nie porozmawiałeś nawet ze swoją sekretarką?

- Nie. - Wlał płyn do zlewu i odkręcił kran.

- No tak. Czuję się winna.

- Pomyślałem nawet, że zrobiłaś to specjalnie.

- No... niezupełnie. To znaczy, lubię zacząć dzień od ćwiczeń.

A na pokładzie jest najwięcej miejsca.

- W porządku, Andi. - Włożył naczynia do pełnej piany wody.

- Rób swoje. Jeśli ja nie mam dość sił, by zapanować nad sobą, to tylko moje zmartwienie. Przed powrotem do Chicago powinienem sporządzić kilka opracowań. Zaplanowałem sobie, że dzisiaj posiedzę trochę przy komputerze. Wiesz, gdy jestem naprawdę skoncentrowany, nic nie jest w stanie mi przeszkodzić. Mogłabyś tańczyć przede mną nago, a ja i tak nie zauważyłbym tego.

- Rozumiem. - Jeszcze mnie nie znasz, chłopcze, pomyślała.

Inaczej nie przechwalałbyś się tak głupio. Tańczyć przed nim nago? Też coś! Ją stać na dużo więcej.

Trzy godziny później Chance siedział na pokładzie rufowym. Na pokrywie generatora ustawił komputer. Do ucha przyciskał telefon. Pracował tak bez przerwy, odkąd skończyli zmywać. Andi uznała, że powinna dać mu trochę czasu. Miał przecież wiele zobowiązań. Lecz trzy godziny przed komputerem to stanowczo za długo.

Nadszedł czas dywersji. Oczywiście dla jego dobra.

- Pójdę popływać - mruknęła, przechodząc obok niego.

- Mhm. Baw się dobrze. - Nawet na nią nie spojrzął. Mogła wskoczyć do wody tuż obok niego i ochlapać go. Ale byłoby to zbyt dziecinne. Skorzystała z drabinki. Popływała nawet trochę, żeby usnąć jego czujność.

Chance przyciskał ramieniem telefon do ucha i z zapalem stukał w klawisze. Od takiej pracy dostanie skurczu szyi, pomyślała Andi. Jej obowiązkiem było wyleczyć go z takich niedobrych nawyków. Przynajmniej na trzy dni. Machając wolno nogami, by utrzymać się na powierzchni, zdjęła czerwony kostium.

Teraz wszystko zależało od precyzji i celności. Rzuci zbyt blisko, ochlapie go. A nie o to jej chodziło. Rzuci zbyt daleko, też źle. Skupiła się i z głośnym plaśnięciem mokry kostium wylądował na relingu, pół metra od Chance'a.

Unióś głowę, wyraźnie zaskoczony. Popatrzył na kostium, na ściekające z niego strumyki wody. Obserwującej go z wody Andi przyszedł na myśl byk wpatrujący się w czerwoną mulekę. Liczyła, że skutek będzie równie piorunujący.

Kiedy spojrzął w kierunku wody, zanurkowała. Wypłynęła, by zaczerpnąć powietrza, i omal nie parsknęła śmiechem. Chance nadal pracował. Ale odwrócił leżak i przysunął go bliżej relingu, żeby mieć lepszy widok na jezioro.

Andi z wdzięcznością pomyślała o szczęśliwym trafie, który sprawił, że w liceum uprawiała pływanie synchroniczne. Zmieniła

ruchy ramion i nóg na bardziej wyszukane. Baletowe. Potem, leżąc na plecach, uniosła sztywno wyprostowaną nogę wysoko do góry i pomalutku zanurzyła się.

Następnie wykonała kilka delfinich skoków, błyskając przy każdym nagimi pośladkami. Kątem oka zauważyła, że Chance już nie pisze i że opuścił rękę ze słuchawką. Potem zobaczyła, jak rozpina szorty. Położyła się na wznak, wygięła plecy i pomału zanurzyła się w wodzie. Mocno obciągnięte palce stóp celowały prosto w niebo, gdy nagle poczuła okropny skurcz. Zachłysnęła się wodą. Co za ból! Wołanie o pomoc zginęło w głośnym bulgotaniu.

- Już pędzę! - krzyknął Chance, szarpiąc się z szortami.

W zdenerwowaniu stracił równowagę. Zamachał chaotycznie rękami i trafił w leżący na śliskiej, laminatowej pokrywie generatora laptop. Lekki owoc wyrafinowanej myśli technicznej wystartował jak krążek hokejowy i z gracją przeleciał ponad relingiem.

Chance nawet nie obejrzał się za nim. Podczas gdy komputer wolno pogrążał się w wodzie, skoczył z pokładu i ruszył na pomoc Andi.

Chance zawsze dumny był ze swego opanowania w trudnych sytuacjach. Lecz kiedy usłyszał przerażony krzyk Andi, strach ścisnął go za gardło. Próbując oswobodzić się z szortów, wrzucił komputer do wody. Ale nie poświęcił mu nawet jednej myśli. Skoczył po prostu do wody i zaczął płynąć jak szalony.

Chwycił Andi, otoczył ją ramieniem i zaholował do łodzi.

- Twój komputer - wysapała, trzymając się kurczowo drabinki.
- Mam go gdzieś - wykrztusił z trudem. - Co się stało?
- Skurcz nogi.
- Której?
- Lewej. W łydece.

Przyciągnął ją do siebie, oparł na kolanie i wolną ręką zaczął masować obolały mięsień.

- Daj spokój, Chance. Ratuje komputer.

- Do diabła z nim! Mogłaś utonąć. - Serce waliło mu jak oszalała. Nigdy przedtem nie był tak przerażony. Nigdy.

- To wszystko przez moją głupotę. Już lepiej, Chance. Płyn po swój komputer, proszę.

- Powinnaś wrócić na pokład. Ja...

- Nie. Myślę, że przeze mnie straciłeś komputer. Popłyniesz w końcu po to cholerstwo?

- Dobrze. Tylko nie ruszaj się stąd.

- Zgoda. Obiecuję.

Rzucił jej jeszcze jedno spojrzenie, popłynął do miejsca, gdzie zatonął komputer, i zanurkował. Potem wrócił do drabinki. Podciągnął się i położył na pokładzie ociekające wodą urządzenie.

- Och, Chance! - Andi patrzyła na komputer wielkimi oczami. - Jest jeszcze jakaś nadzieja?

- Kogo to obchodzi?

- Ja... kupię ci nowy - wyjąkała żałośnie. - Choć wiem, że to niewiele zmieni. Straciłeś przecież wszystkie dane. - Pociągnęła nosem. - Nie powinnam była cię prowokować.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że wilgoć na jej twarzy nie jest tylko wodą z jeziora. Andi płakała. Z powodu danych, które stracił. Z powodu głupiego sprzętu biurowego.

- Hej! Chodź tutaj. - Dotknął jej ramienia.

Pozwoliła przyciągnąć się, ale odwróciła twarz.

- Myślałam, że jestem taka sprytna, taka przebiegła. Oderwę go od tego komputera, obiecałam sobie. No i udało mi się, co? Zuch dziewczyna!

Ujął jej twarz w dłonie i obrócił ku sobie.

- Nigdy nie przepraszaj za to, że jesteś sobą - poprosił. - Powiedziałem ci już, rób swoje. Bo to właśnie dowodzi odwagi. A ten głupi przedmiot to ja wrzuciłem do jeziora, nie ty.

- Bo drażniłam się z tobą. Prowokowałam, żebyś stracił panowanie nad sobą! - Oczy miała pełne łez. - Skurcz też złapał mnie dlatego, że dawno nie ćwiczyłam takiego wyprężania stóp.

- To było fascynujące widowisko. - Uśmiechnął się łagodnie.

- To było głupie z mojej strony. A teraz wszystko przepało. Arkusze kalkulacyjne, raporty i opracowania, lista „za” i „przeciw”. Wszystko zniszczone.

- Wiesz co? Naprawdę nie... - Zamilkł gwałtownie, gdy dotarły do niego jej słowa. Podniósł jej brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Jaką to listę „za” i „przeciw” masz na myśli?

Jej oczy zrobiły się ogromne. Jak u brzdąca, którego przyłapano na wykradaniu konfitur z kredensu.

- Och, no wiesz, tak tylko mi się powiedziało. Słyszałam, że menedżerowie zawsze je robią.

- Nie zalewaj, Andi. - Uśmiechnął się do niej. - Przeglądałaś moje pliki.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko jest w porządku po tym, jak komputer upadł na podłogę.

- Mogłaś to zrobić bez wtykania nosa w cudze sprawy.

- Dobrze się stało! - Najlepszą obroną jest atak. - Zostawiłam ci tam niezły bigos.

- Naprawdę?

- Naprawdę! A co miałaś na myśli, pisząc o moim zwariowanym sposobie widzenia świata?

Z niekłamaną rozkoszą patrzył w jej pałające oczy. Jeszcze więcej rozkoszy dostarczał mu jej dotyk.

- Zupełnie nie mam pojęcia, o co mi chodziło.

- Niech cię diabli! Dlatego wszystko tam pomieszałam.

- Co zrobiłaś?

- Uaktualniłam tylko kilka zapisów.

- Grzebałaś w moich plikach!

- Popracowałam trochę nad nimi. Teraz wygląda to znacznie lepiej. - Była bardzo zadowolona z siebie. Lecz po chwili mina jej zrzedła. - Wyglądało. Przecież wszystko przepało.

Chance wybuchnął gromkim śmiechem. Powinien być zły na nią za to, że grzebała w jego komputerze. I wściekły na siebie, że wyrzucił go za burtę. Ale, dziwna rzecz, odkąd pogodził się z

myśla, że laptop nie nadaje się do użytku, poczuł, jakby olbrzymi ciężar

spadł mu z ramion. Nie mógł pracować. Było to fizycznie niewykonalne. Poczul się nagle wolnym człowiekiem.

- Chance - odezwała się Andi - może powinniśmy spróbować wysuszyć go jakoś. Jak wtedy, gdy zalałeś go kawą. Nigdy nie wiadomo. Cuda się zdarzają.

- Tak, masz rację. Cuda zdarzają się stale. Potrzyмай się drabinki przez chwilę.

Usłuchała i wysunęła się z jego objęć. A on wdrapał się na pokład i sięgnął po komputer. Trzymał go przez moment tuż nad wodą i puścił.

Andi krzyknęła cienko i wyprężyła ramiona. Ale Chance chwycił ją, nim zdążyła zanurkować.

- Co ty robisz? - zawołała. - Teraz już na pewno nie będzie działał!

- I o to chodzi. - Przyciągnął ją bliżej. - Wydobędę go, kiedy będziemy odpływać. A teraz złóż ładnie usteczka i pocałuj mnie. Musimy nadrobić trzy godziny.

Andi nie mogła uwierzyć, jaka zmiana dokonana się w Chansie, gdy jego komputer spoczął na dnie jeziora. Zupełnie jakby zerwał się z kotwicy. Komputer przypominał mu o ciężących na nim obowiązkach. Bez niego był jak nowo narodzony. Ściągnął kąpielówki i już po chwili hasali w wodzie jak rozbrykane dzieci.

Lecz te bez troskie igraszki wzmacniały tylko potężne żądze. I nim słońce opadło za horyzont, Chance zaciągnął Andi na pokład, by znów się z nią kochać. Potem zadzwonili do Nicole. Dowiedzieli się, że cała trójka odlatuje do Chicago następnego dnia. Tak więc Andi i Chance mogli zostać na łodzi. By uczcić ten radosny fakt, przygotowali sobie kolację na plaży. Potem rozłożyli na piasku ręczniki i znów się kochali.

Andi nie mogła dłużej się oszukiwać. Łączyło ich coś więcej niż czysto fizyczna przyjemność. Obiecała Nicole, że będzie ostrożna i nie pozwoli się skrzywdzić. I gdyby Chance nie

wyrzucił komputera do jeziora, udałoby się jej nie pokochać go aż tak bardzo.

Kiedy wrócili na statek, kiedy zasypiała w jego objęciach, starała się za wszelką cenę nie myśleć, jak niewiele czasu im pozostało.

Obudził ją łaskoczącymi pocałunkami, gdy było jeszcze całkiem szaro. Z kuchni dolatywał ponętny aromat. Obróciła się do niego. Chyba wiedziała, na co miał ochotę przed poranną kawą.

- Pora wstawać - wyszeptał. - Czas na ryby.

- Na ryby?

- To najlepsza pora. No, chodź. Kawa prawie gotowa. Naszykowałem już wędki.

- Zupełnie co innego mi w głowie. - Wyciągnęła do niego ręce. Cofnął się o krok i uśmiechnął.

- Hej! Nie zamykaj oczu. Przyjdź na pokład rufowy. Ustawiłem już dwa foteliki. We dwoje zawsze przyjemniej.

- To właśnie miałam na myśli.

- To będziemy robić później. Teraz trzeba złapać kilka ryb. Rybka na śniadanie. Mniam!

- Pączki na śniadanie. Mniam, mniam! Bowie mówił, że lubisz wędkować. Ale myślałam, że już z tego wyrosłeś.

- Na szczęście, nie.

- Na szczęście. - Przyjrzała się mu uważnie. Wyglądał na naprawdę rozradowanego. Jakby zrywanie się przed wschodem słońca było najwspanialszym zajęciem na świecie. - Chance, przecież jest jeszcze prawie ciemno. Ryby nie mają budzików. Jeszcze nie powstawały.

- Ryby budzą się bardzo wcześnie.

Bardzo podobały się jej zmiany, jakie zaszły w nim ostatnio. Ale co do wędkowania miała wątpliwości.

- Owiń się śpiworem. Spodoba ci się, zobaczysz.

- O, tak. - Poczłapała korytarzem, ciągnąc śpiwór za sobą jak tren.

Usadził ją w foteliku, do ręki włożył filiżankę z kawą.

- Czyż nie jest cudownie? - spytał.

- Ujdzie.

Godzinę później, przy opróżnianiu następnego dzbanka kawy, zapytała:

- To kiedy *zaczną* się atrakcje?
- Ryby nie chcą brać na przynętę, jaką przygotowałem.
- Bo powinniśmy byli kupić robaki. Mówiłam Bowiemu, że...
- Kolczyki.
- Słucham?
- Co mamy do stracenia? Wypróbujmy twoje kolczyki.
- Może ty nie masz nic do stracenia, aleja tak. Parę ulubionych kolczyków. I przestrozę od mojego ulubionego szwagra, żeby ich nie zgubiła.
- Zrobi ci następne. Uwielbia to. Proszę, Andi. Naprawdę, bardzo chciałbym złapać rybę na śniadanie. Ty nie?
- Jeszcze jak - mruknęła.
- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.
- Bo nieuważnie słuchasz. - Za nic nie chciała zepsuć mu zabawy. Chociaż sama nie dostrzegała w niej niczego fascynującego.
- Przyniosę te kolczyki. Dla każdego po jednym. Może złowimy dwie ryby?!
- Hej! Ho!

Odwróciła się, pokręciła głową i poszła pod pokład.

Pół godziny później błagała Chance'a, żeby przestał już wyciągać ryby. Mieli ich bowiem więcej, niż mogli zjeść na śniadanie, obiad i kolację.

- Możesz zabrać kilka sztuk do domu i zamrozić - powiedział z entuzjazmem.

- Bardzo mi przykro. Mam z moją zamrażarką umowę. Ja nie wkładam do niej zdechłych ryb, a ona w zamian obdarza mnie świeżutkim przysmakiem karmelowym.

- A widziałaś, jak świetnie spisały się twoje kolczyki? - Na otwartej dłoni trzymał dwa troszeczkę zużyte cacka. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Jefferson Sporting Goods" musi koniecznie wejść z tym na rynek.

- Dasz Bowiemu jakąś premię?

Popatrzył na nią, zaskoczony.

- Taak, chyba powinienem, co?

- I wiesz co? To jest nie tylko świetna przynęta. To również wspaniałe kolczyki.

- Dopóki nie wychylisz się zbyt z łódki.

- A jakie wielkie możliwości reklamowe. - Andi roześmiała się. - Można złapać chłopaka, można i szczupaka. Co kto woli.

- No, nie wiem, Andi. Nasza firma jest raczej konserwatywna. Jak dla nas taka reklama jest trochę zbyt niepoważna.

- To źle, że jesteście tak ograniczeni. Mogłoby być całkiem zabawne, gdybyś pozwolił Bowiemu pokierować kampanią reklamową jego kolczyków-wabików. Na twoim miejscu zostawiłabym mu więcej swobody. Zrobiłabym go szefem działu rozwoju. Powinieneś lepiej wykorzystać pomysłowość swojego brata.

- Wątpię, czy dałby sobie radę bez mojego nadzoru. Tu był pies pogrzebany.

- Lepiej zmień płytę, Chance. To są słowa twojego taty. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Lepiej poważnie przemyśl wszystko, co zobaczyłeś podczas tej wycieczki. Na przykład ta noc, kiedy przyszła na świat mała Chandi. Ty znalazłeś się poza boiskiem, a Bowie przejął grę bez straty piłki.

- To była jego żona, jego córka.

- To jest także jego firma! Jest Jeffersonem. Choć nie miał dotąd możliwości udowodnienia swojej przydatności. Nie masz zielonego pojęcia, jak potoczyłoby się wszystko, gdybyś wspierał go raczej, a nie tłamsił, jak to przez całe życie czynił wasz ojciec.

- Nie tłamszę go.

- Czyżby? - Tym razem Andi zdecydowana była doprowadzić dyskusję do końca.

- Bardzo lubię Bowiego. Jest taki zabawny.

- O, tak! Ale wszystko w swoim czasie, prawda? Jest pora na zabawę, jest i na to, żeby na poważnie zająć się pracą.

- No, tak. Oczywiście. - Przyglądał się jej podejrzliwie.

- Ty jednak nie ufasz Bowiemu. Nie wierzysz, że gdyby sy

tucja tego wymagała, potrafiłby skutecznie zająć się sprawami firmy. Chociaż miałeś już niezbite dowody, że wcale nie jest lekko-duchem.

Chance pokręcił głową.

- Nie wiem, czy z wydarzeń ostatniej nocy można wyciągać takie wnioski.

- A niby czemu nie? Kryzys, to kryzys! W tym akurat konkretnym przypadku to ty zawiodłeś. Wstydzisz się, co? Chciałbyś o tym zapomnieć. Chciałbyś, by było jak kiedyś. Pragniesz znów wszystko trzymać w garści. A Bowiemu lepiej nie powierzać nawet sznurowania własnych butów.

Patrzył na nią coraz bardziej ponuro.

- To nie ze mną, tylko z moim bratem jest problem. Nie żyłaś z nim przez dwadzieścia siedem lat. A ja tak. Gdybym dał Bowiemu zbyt dużo swobody, już dawno byłoby po nim. Fruwałby jak motyl, z kwiatka na kwiatek. Niczym nie zająłby się wystarczająco długo, by odnieść sukces.

- No, cóż! Ja jestem taka sama. Czy dlatego uważasz mnie za gorszą od innych?

Odpowiedź znalazła w jego oczach.

- Miło jest, gdy Bowie albo ja pokręcimy się w pobliżu. Ale na dłuższą metę nie można na nas liczyć, gdyż brak nam wytrwałości, tak?

Chwycił ją w ramiona.

- Zostawmy na moment Bowiego w spokoju. Ty, Andi, masz niesamowite możliwości. Nie jestem aż tak zaślepiony, bym tego nie dostrzegał. Kiedy ćwiczyłaś jogę z Bowiem, zauważyłem, że masz wrodzony dar nauczania. Gdybyś tylko skoncentrowała się na czymś i, na przykład, otworzyła własną szkołę jogi, mogłabyś być...

- Taka jak ty? - Sam tego nie wymyślił. Na pewno Nicole wypaplała, że Andi myśli o zorganizowaniu takiej szkoły. Teraz wydawało się mu, że to on sam wpadł na ten pomysł. - Chcesz

zmusić mnie do szarpania się, dzień i noc, dla osiągnięcia czegoś,
co nie jest dla mnie ważne? Nic z tego!

Uwolnił ją z uścisku. Odwrócił się.

- Uważasz zapewne, że powinienem zostawić "Jefferson Sporting Goods" Bowieemu i wyjechać z tobą na bezludną wyspę, gdzie będziemy żyli tylko miłością. Łzy bezsilnej wściekłości napłynęły jej do oczu. Zamrugła gwałtownie powiekami.

- Wystarczy tylko, że docenisz jego talent i pozwolisz mu rozwinąć skrzydła.

- Nie mogę, Andi.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Z trudem powstrzymywała się od płaczu. - Niech będzie, nie chcę. - Popatrzył na nią ze smutkiem. - Dobry czy zły, jestem taki, jakim mnie ukształtowało życie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że powierzyłbym firmę Bowieemu. Bez względu na to, co zobaczyłem podczas tej podróży. Nie umiem również wyobrazić sobie życia bez wyzwań i trudności, z którymi stykam się na co dzień. Na bezludnej wyspie oszalałbym z nudów.

- A mnie do szaleństwa doprowadziłyby życie takie jak twoje.

- Zadawałem sobie pytanie - wydusił - czy byłoby możliwe, żebyś zamieszkała w Chicago? Czy moglibyśmy to jakoś zorganizować?

Zacisnęła powieki, żeby ukoić ból serca. Westchnęła głęboko.

- To, co przeżyliśmy tutaj, Chance, jest zbyt ulotne. Nim minie tydzień, zapomnimy o wszystkim. - Czemu więc nie zapomnieliśmy już dziś rano? - spytał głucho. Bolesny skurcz serca dobitnie potwierdził, że Andi jest naprawdę zakochana. Wiedziała już, jak żalosna czeka ją przyszłość. - Czy twój komputer nadal jest w jeziorze? - spytała.

- Odkąd wrzuciłaś go tam za pomocą swoich diabelskich sztuczek. - Chciałbyś, żebym zachowywała się inaczej?

- Nie. - Niech więc zabawa trwa - szepnęła i uśmiechnęła się zalotnie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Niezwykła werwa i energia Andi wprawiły Chance'a w osłupienie. Z takim zapalem, tak łakomie rzuciła się tego dnia w wir zabawy, jakby jutro miał się skończyć świat.

Rano kochali się jak szaleni. Potem uczyła go pływania synchronicznego. Dopóki omal nie utonęła, pękając ze śmiechu, kiedy Chance wypręzał nogi do nieba. Po takiej rozmowie, jaką odbyli na pokładzie rufowym, większość kobiet, które znał, trwałaby w ponurym milczeniu. Tymczasem Andi w promieniach zachodzącego słońca uczyła go na piasku kroków makareny. Choć miała to być ich ostatnia wspólna noc.

I tylko jednego nie umiał sobie wyobrazić. Z kim będzie tańczył, gdy Andi zniknie z jego życia? Niestety, nie było wyjścia z impasu, w którym się znaleźli. Chance nie potrafił zmienić się w plażowego próżniaka. Andi nie chciała przenieść się do Chicago.

- Ma pan całkiem przyzwoite poczucie rytmu, panie Jefferson - powiedziała. Kołysali się naprzeciw siebie. Ona w czarnym kostiumie. On w kąpielówkach.

- Powinnaś była zobaczyć, jakie sztuki wyprawiałem w przedszkolu. Nikt nie mógł mi dorównać.

- Nie wątpię. Wiesz, do czego doskonale nadawałby się ten taniec?

- Jasne. Do łapania komarów.

- Myślałam o tych ludziach, którzy całymi dniami ślęczą w biurach przed komputerami. Widzisz, jak poruszam ramionami?

- Uwielbiam patrzeć, jak poruszasz ramionami. Uwielbiam patrzeć, jak poruszasz czymkolwiek.

- Ale pomyśl tylko! Gdyby tak zarządzić co parę godzin prze

rwę na makarenę, biedni urzędnicy uniknęliby może dokuczliwego bólu nadgarstków.

- A nie lepiej poćwiczyć jogę? - Zamilkł i spojrzał na nią uważnie.

- Czy ja wiem? - odparła z wahaniem.

Niezależnie od jego osobistych pragnień, pomysł był zbyt dobry, by go zignorować.

- Przyjedź do Chicago, Andi. W każdym biurze przy Michigan Avenue znajdziesz mnóstwo bolących nadgarstków. Z twoim talentem i charyzmą w krótkim czasie rozkręcisz niezły interes.

Stała tuż przed nim. Ujęła w dłoń jego twarz.

- A ty? Co ty robiłbyś, kiedy ja biegałabym po Michigan Avenue w trykotach i getrach?

- Dźwigałbym twoją matę do ćwiczeń.

- Nigdy nie oszukuj oszusta, Chance. - Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go. - Na pewno pracowałeś po czternaście godzin na dobę. Jak opowiadała mi Nicole. I mogłabym mówić o wielkim szczęściu, gdybym dostrzegła w oddali rąbek twojego garnituru od Armaniego.

Objął ją i przytulił z całej siły.

- Mylisz się. Nie zasnąłbym, gdybym nie pokochał się z tobą.

- Wiesz, co powiedziałaś? - rzuciła. Pocałowała go, wciskając język w jego usta.

- No pewnie. Poprosiłem, byś całowała mnie tak przez co najmniej sto lat.

- Powiedziałeś, że zrezygnujesz ze snu. Nie z pracy. Nic z tego, mój pracoholiku. Nie ma dla mnie miejsca w twoim rozkładzie dnia.

- W takim razie będę musiał cię porwać. - Wpił się w jej usta. Starał się nie myśleć o tym, że następnego dnia o tej samej porze nie będzie już mógł jej całować. Nie będzie też mógł gładzić jej krągłości. Ani zsuwać ramiączek kostiumu kąpielowego i całować gorących piersi.

Nie będzie musiał zastanawiać się gorączkowo, gdzie zostawił prezerwatywy. A to akurat powinien przypomnieć sobie natych

miast. Bowiem Andi wsunęła rękę w jego kąpielówki w taki sposób, że...

- Zaczekaj - wysapał. - Pozwól mi przynieść... - Spojrzał w stronę ręczników, gdzie powinna leżeć kolorowa paczuszka. Z dużym zapałem szarpał ją właśnie dziobem olbrzymi kruk. - Hej! Wynocha!

Wstał gwałtownie. Kruk załopotał skrzydłami i zerwał się do lotu. Nie wypuszczając zdobyczy.

- No, nie! Tylko nie to, ty ptasi mózdzku! - Chance rzucił się naprzód jak rasowy bramkarz. W ostatniej chwili odebrał ptakowi barwne opakowanie i zarył brzuchem w piach. Grymas bólu wykrzywił mu twarz.

- Chance? - Przeżona Andi podbiegła do niego. - Nic ci się nie stało?

- Chyba... złamałem... moją radość i dumę.

- Odwróć się, obejrzę.

Chance wypluł piasek i westchnął głęboko.

- Śmiejesz się, co? - wystękał.

Andi stłumiła chichot, odchrząknęła i powiedziała:

- Jakże mogłabym śmiać się z czegoś takiego? Dalej, odwróć się. Chance obrócił się z cichym jękiem.

- Biedactwo. - Strzepnęła mu piasek z piersi. - Uszło z ciebie całe powietrze.

- Cholerna dzicz.

- Zobaczmy, czy zdołam cię znów napompować. - Zsunęła mu kąpielówki. - Spójrz! Tu jest wentylek.

Choć od śmiechu bolały go zębra, nie mógł się opanować.

- Chyba zupełnie go pogruchotałem.

- Oj, załóżę się, że wciąż działa.

Miała rację. Ledwie przytknęła doń usta, omal nie eksplodował.

- Spokojnie, Andi. Pomału, kochanie.

Pocałowała go brzuch, potem w pierś. Uśmiechnęła się.

- Pora włożyć kapturek - powiedziała, wyjmując paczuszkę z dłoni Chance'a. - Ojoj! Dziura.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć - jęknął Chance. - Jeśli ten bezmózgi ptak zniszczył wszystkie...

- Ajaj! Kolejne dziury.

- Pokaż. - Usiadł nerwowo.

- Mam lepszy pomysł. - Chwyła opakowanie i pobiegła do wody. - Zaraz sprawdzimy, które przeciekają.

Chance naciągnął kąpielówki i ruszył za nią. Wchodząc do jeziora, przeklinał cały ptasi ród. A zwłaszcza kruki.

- Wiesz, Andi, chyba... - Pac! napęczniała wodą prezerwatywa wylądowała mu na twarzy. - Hola!

- Jest dziurawa. Ale szkoda mi było zmarnować taki wspaniały wodny balonik - powiedziała ze śmiechem.

- Wodne baloniki! - Barn! Kolejny bulgocący pocisk trafił go w policzek.

- Następny dziurawy - zawołała radośnie.

- Spróbuję chyba kochać się z którymś z braci Mant - mruknął Chance pod nosem. Kolejny wodny pocisk zdołał pochwycić w locie. Świetnie! Potrzebował amunicji.

- Ciekące baloniki - podśpiewywała Andi, zajęta eksperymentami na skraju wody.

- Zaczynam podejrzewać, że wcale nie zależy ci na znalezieniu choć jednej całej prezerwatywy. - Stał tuż przy niej. Za plecami chował pełen wody balonik.

- Wcale nie. - Spojrzała nań z figlarnym błyskiem w oku. - Po prostu wolę uniknąć niespodzianek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Uklęknął w płytkiej wodzie i chwycił ją mocno.

- Aż za dobrze - powiedział. I rozbił na jej głowie wodną bombę.

Wrzasnęła. Szarpnęła się gwałtownie, aż woda prysnęła mu w oczy.

- To nieuczciwe! - krzyknęła.

- Przyganiał kocioł garnkowi. A teraz pocałuj mnie. Tylko szybko.

Zaprzestała walki. Uniosła twarz.

- Tak już lepiej. - Pocałował ją. Następna prezerwatywa pękła na jego głowie. - Ach! - Zaczął przecierać oczy. Andi chichotała. - Sama tego chciałaś! - Podniósł ją do góry.

- Puszczaj! - Zaczęła wierzgać i kopać. - Tak nie można! Wykorzystujesz przewagę fizyczną.

- Skoro ty możesz być podstępna, ja mogę być macho. - Wszedł po pas w wodę i dopiero tam wypuścił Andi. - Plum!

Wygramoliła się z wody po chwili. Stała przed nim. Z mokrych włosów spływały strumienie. Wtedy popchnęła go. A on śmiał się tak bardzo, że nie był w stanie utrzymać równowagi.

Zaraz potem chwycił ją mocno i pociągnął, aż padli w płytką wodę.

- Czy choć jedna była cała? - spytał.

- Jedna! - Szarpała się, próbując się uwolnić.

- Gdzie ją masz?

- Mam ją... Och, nie! Tam jest!

- Gdzie?

- Wetknęłam ją za brzeg kostiumu. Wysunęła się i odpływa!

- Gdzie?! - Chance przedzierał się przez wodę, rozglądając się gorączkowo. Co chwila wydawało się mu, że widzi pływającą prezerwatywę, lecz mylił się.

- Tam jest! - Andi wskazywała w lewo.

- Nie widzę. Boże, gdzie?

- Tutaj. Znalazłam.

- Gdzie?

Wysunęła język. Leżał na nim płaski krążek. A Chance był dziwnie pewny, że to całe gadanie o zgubionej prezerwatywie to następny kawał, jakim uraczyła go Andi.

- Och, ty! Sama się o to prosisz. - Ruszył ku niej.

- Żartowałam. - Roześmiała się.

- No, to teraz moja kolej.

- Szkoda, że nie widziałeś swojej miny. - Wolno cofała się do brzegu.

- Byłam naprawdę wściekły.

- A to wcale nie jest ostatnia, wiesz?
- No, to już szczyt wszystkiego. To ja omal nie umarłem, a ty mi mówisz takie rzeczy?
- Zostało jeszcze kilka w pudełku.
- Teraz interesuje mnie tylko ta w twojej ręce.
- Ta? - Uśmiechnęła się.
- Właśnie ta. - Skoczył. Wyrwał, co miała w dłoni, i przewrócił ją. W mgnieniu oka ściągnął z niej kostium i rzucił ją na piasek.
- Chance! - Szamotała się w płytkiej wodzie. - Mam pełno piachu we włosach!
- Przycisnął ją mocno, zdjął kąpielówkę.
- Kiedy już będzie po wszystkim, sam ci je umyję. Kosmyk po kosmyku. Ale, jak mi Bóg miły, zrobimy to tu i teraz.
- Być może ostatni raz w życiu, pomyślał. I poczuł straszliwy ból w sercu.
- Pragnę cię, Andi - wyszeptał jej do ucha.
- Masz mnie.
- Kiedy przyjedziesz do Nicole...
- Nie. Nie chcę niszczyć tego, co było między nami.
- Andi. - Zabrzmiało to trochę jak wymówka.
- Kochaj mnie, Chance. - Łagodnie poruszyła biodrami. - Bo i ja ciebie pragnę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Od pożegnania z Chance'em na lotnisku minęło kilka dni. Cały ten czas Andi spędziła w kinach. Początkowo zabierała ze sobą przyjaciół, lecz w końcu znużyło ich to. Już wkrótce obejrzała wszystkie grane w mieście komedie, nawet po kilka razy. A w bezsenne wieczory do późna wpatrywała się w ekran telewizora.

Nie mogła przecież płakać przez Chance'a.

Bardzo często też telefonowała do Nicole. Opowiedziała jej o cudownych chwilach spędzonych sam na sam z Chance'em. Nicole nie widywała go prawie wcale. Wyglądało na to, że bez reszty poświęcił się pracy. To znaczy, że nie tęskni za mną, pomyślała Andi. Lecz świadomość, iż postąpiła słusznie, ani trochę nie poprawiała jej samopoczucia. Wkrótce po powrocie Nicole i dziecka ze szpitala do Chicago zawitali rodzice Andi. Ona w tej sytuacji postanowiła swój tydzień przeznaczony dla siostry i Chandi przesunąć na Boże Narodzenie. Im później spotka Chance'a, tym lepiej. Tydzień mijał za tygodniem. I nagle okazało się, że nie ma już takiej komedii, której nie widziała. A wciąż nie mogła przestać myśleć o Chansie. Rzucony przez niego pomysł zorganizowania zajęć z jogi dla operatorów komputerowych wciąż chodził jej po głowie. W końcu zadzwoniła do kilku wielkich firm w Las Vegas. Reakcja była nieoczekiwanie pozytywna. I nim zorientowała się, była zajęta przez pięć dni w tygodniu. Musiała nawet zamówić dla siebie wizytówki. Była tak zapracowana, że do domu wracała tylko na noc. Nadszedł w końcu pierwszy od wielu tygodni spokojny, piątkowy wie-

czór. Po drodze z zajęć kupiła sobie chińskie jedzenie. Objuczona pakunkami, z trudem wygrzebała koperty ze skrzynki na listy. Uporała się z zamkiem i weszła do środka. Smażony ryż, kurczak w migdałach i wszystkie sałatki rozsypały się po salonie. A ona nie mogła się ruszyć.

Chance podniósł się z kanapy. Ubrany był jak na wycieczkę, w dżinsy i bawełnianą koszulkę. Worek podróżny położył na kanapie.

Popatrzył na rozsypane potrawy.

- Nie jest to, co prawda, polewa karmelowa, ale też może być
- powiedział.

Cofnęła się o krok.

- Nie! Niemożliwe! Ciebie tu nie ma. Nawet nie wypożyczyłam żadnych filmów! Dla ciebie to pewnie i tak bez znaczenia, ale...

- Masz rację. Dla mnie to jest bez znaczenia. Jakich filmów?

- Nie zrozumiał, co miała na myśli.

- Nieważne. Chodzi o to, że ich tu nie ma.

- To dobrze. - Podeszedł bliżej. - Nie chcę oglądać filmów.

- Wiem, co chcesz robić. Ale nic z tego. - Serce waliło jej tak mocno, że prawie nie słyszała własnych myśli. - Nie, drogi panie. Doskonale wiem, że w Las Vegas ląduje mnóstwo samolotów.

- Nie rozumiem, o czym mówisz?

- To proste. Pewnie sobie wyobraziłeś, że ilekroć będziesz w pobliżu, wpadniesz do mnie na szybki numerek. Pomyłka! Bywam może łatwa. Ale tylko czasami.

- Jakoś mnie nie przekonałaś. - Uśmiechnął się. - Łatwo zdobyć klucze do twojego mieszkania. - Zadzwoił wyjętym z kieszeni pękiem kluczy.

Ten uśmiech! W mgnieniu oka wróciły niechciane wspomnienia. Musiała jednak wziąć się w garść. Chodziło przecież o jej dumę i godność.

- A właśnie! Co ty sobie myślisz? Wdzierasz się tutaj bez zaproszenia. Co miało znaczyć, że łatwo zdobyć moje klucze?

- Kilka tygodni temu odwiedziłem Bowiego i Nicole. Byli tam

także twoi rodzice. Spytałem, czy ktoś mógłby pożyczyć mi klucze do twojego mieszkania. Wszyscy je mieli.

- To chyba oczywiste. Przecież to moja rodzina. Ty nie.

Oddaj.

- Wyciągnęła rękę.

- Ja też.

- Jesteś tylko bratem mojego szwagra.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Jestem tu po to, żeby to zmienić.

Wyrwała mu rękę. Wystarczyło jedno dotknięcie, by oblał ją żar. Nie mogła do tego dopuścić.

- Pewnie! Proszę o klucze, panie Jefferson. Nie jesteś zaproszony na weekend, jeśli to miałeś na myśli. Widzę, że zabrałeś nawet bagaż. Chyba wyraźnie ustaliliśmy warunki. Łamiesz umowę.

- Chciałbym ją renegocjować - z wyraźnym trudem zachowywał powagę.

- Powinnaś była wiedzieć. Pewnie marzy ci się kolejna próba wentylka, co? Przykro mi. Okres gwarancji minął. Wy, mężczyźni! Tak łatwo was rozgryźć.

- Dobrze, zacznijmy jeszcze raz. Kocham cię.

- Tak, tak - pokiwała głową. - Niejeden próbował już takich sztuczek, żeby dostać to, czego chciał od swojej słodkiej i naiwnej dzierlatki.

- No to spróbujmy tego, moja słodka i naiwna Andi. Czy wyjdiesz za mnie za mąż?

- Jasne, natychmiast. - Wbiła w niego zdumione spojrzenie.

- Co powiedziałeś?

- Wyjdź za mnie, Andi. Proszę! Odchodzę już od zmysłów.

Cała wola walki opuściła ją w mgnieniu oka.

- Och, Chance! Nie wiesz, o co prosisz.

- Myślę, że wiem. Jestem świadom tego, co robię. W szkole miałem lekcje retoryki. To zdanie składa się tylko z czterech słów. Czy wyjdiesz za mnie?

Walczyła ze sobą, nie odrywając od niego oczu. Przez ostatnie tygodnie tęskniła za nim potwornie. Marzyła o tym, by paść

mu w ramiona i zgodzić się na każde jego żądanie. Ale jak mogłoby być wspólne życie? Gdyby zgodziła się na małżeństwo, byłaby nieuczciwa. Wiedziałyby bowiem, że Chance chciałby ją zmienić.

Nabrała głęboko powietrza w płuca i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie - odparła.

- Dlaczego?!

- Bo naprawdę cię kocham.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy. - Miażdząc podszewkami butów rozsypany smażony ryż, podszedł do niej i objął ją.

- Chance, nie! - Odepchnęła go. Ale niezbyt mocno. - Jestem tylko słabą kobietą. Na dłuższą metę kolejne zbliżenia fizyczne dostarczą nam tylko więcej cierpień.

- Nawet jeżeli będziemy małżeństwem? - Spróbował ją pocałować.

- Już ci powiedziałam. - Odwróciła głowę.

- Nie chcesz więc wyjść za mnie, ponieważ mnie kochasz. -

Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. - Dobrze rozumiałem?

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to prawda. - Utkwiła spojrzenie w jego błękitnych oczach.

- To mi wystarczy. Staję się ekspertem od twojego toku rozumowania. Wszystko, co musiałem wiedzieć, to to, czy mnie kochasz. Reszta to nieistotne szczegóły.

- Ależ właśnie ta reszta jest najważniejsza!

- Nie. - Wplótł palce w jej włosy. - Ja też tak myślałem. Uważałem, że główną przeszkodą jest moja praca. W końcu jednak zrozumiałem, że liczy się tylko to, czy kochasz mnie, czy nie. I czy potrafię namówić cię, byś zgodziła się zrezygnować z niezależności i wolności.

- Oczywiście, że potrafisz. Ale ty nie jesteś wolny, Chance.

- Ależ jestem, jestem. - Uśmiechnął się.

Dostrzegła w jego oczach jakiś nowy wyraz.

- No, dobrze. Co zrobiłeś?
 - Zmieniłem całe moje życie. Zgódź się dzielić je ze mną.
 - Wycofałeś się? - Serce załomotało jej gwałtownie. - Dla mnie?

- Nie. Musiałem zrobić to dla samego siebie. Mimo że nie miałem pewności, czy mnie kochasz. Tamte dni na łodzi mogłaś przecież potraktować tylko jako miłą przygodę.

- Och, nie. - Radosna muzyka zabrzmiała w duszy Andi. Tym wspanialsza, im dłużej patrzyła w oczy Chance'a. Zapewne zmuszona będzie do życia w wielkomiejskim gwarze Chicago, ale byłoby to nieduże ustępstwo. - To nie była przygoda. Nawet nie wiesz, jak okropnie czułam się po twoim wyjeździe.

- To dobrze - westchnął.

- Dobrze? - Szturchnęła go w pierś. - To bardzo nieładnie życzyć komuś źle. Ja przez cały czas miałam nadzieję, że wiesz się jak najlepiej.

- Kłamczucha! - Popatrzył na nią, uwolnił z objęć i podszedł do kanapy, gdzie leżał jego worek podróżny.

- Chance? - Boże, uraziła go! - Wcale tak nie myślałam. Żartowałam. Znasz mnie przecież. Zawsze stroję sobie ze wszystkiego żarty.

- Nie martw się. - Rzucił jej zawadiacki uśmiech. - Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. - Odsunął zamek błyskawiczny i wyjął z torby bawełnianą koszulkę. - Kiedy mnie popchnęłaś, przypomniałem sobie, że mam dla ciebie prezent. - Energicznym gestem rozpostarł przed nią koszulkę. - Może teraz nie wygląda najlepiej, ale kiedy włożysz ją na siebie i zmoczysz, będzie doskonała.

Wzięła prezent i obejrzała go uważnie. Był to taki sam podkoszulek, jaki Chance miał na sobie. Ale Andi tak była poruszona wydarzeniami, że w ogóle nie zwróciła uwagi na napis:

- „Bowie & Chance. Przynęty i sprzęt wędkarski” - przeczytała z niedowierzaniem.

Chance napuszył się, dumny jak paw.

- Taak. Jesteśmy współnikami. To był jego pomysł. A gdy roz

ważyłem to, co nakładał mi do głowy, uznałem, że to dobry pomysł.

- Czy to ma jakiś związek z firmą „Jefferson Sporting Goods”?

- Nie. Co prawda mama chciała, żeby to był skład konsygnacyjny. Ale ostatecznie jest to całkiem niezależne przedsięwzięcie.

- Twoja mama? - Poczula zawrót głowy od nadmiaru niezrozumiałych informacji.

- Teraz ona zarządza „Jefferson Sporting Goods”. Powiedziałem kiedyś, że beze mnie nikt z tym sobie nie poradzi, pamiętasz? A ty ostrzegłaś mnie, żebym nie był tego taki pewny.

- Pamiętam.

- Otóż kiedy wyjechaliśmy z Bowiem na tydzień, mama zaczęła wpadać do biura, żeby sprawdzić, co się w nim dzieje. I polubiła to. Okazało się, że od dawna marzyła skrycie, żeby prowadzić przedsiębiorstwo. Szybko uczy się i radzi sobie coraz lepiej.

- Zdziwiałeś!

- No. - Wbił w nią przenikliwe spojrzenie. - Naprawdę podoba ci się ta koszulka?

- Naprawdę.

- Bardzo?

- No! Tak. - Przyłożyła ją do siebie. - Te skrzyżowane wędki tworzą całkiem niebrzydkie logo firmy. Poza tym kazaleś umieścić imię brata na pierwszym miejscu. To bardzo ładnie z twojej strony. - Z uwagą wpatrywała się w nadruk, szukając następnych powodów do pochwał. I, nagle, zauważyła jeszcze malutki napis pod znaczkiem. „Lake Mead, Nevada”. Podniosła oczy. Nie mogła powstrzymać radosnego uśmiechu. - A to co? - spytała.

- To tam tak wspaniale spisały się wabiki Bowiego. - Chance przeszedł przez pokój. - A gdybyś nadal nie chciała wyjść za mnie, zamieszkał tu po sąsiedzku i rozpocznę obłędzenie.

- Oj, Chance! - Rzuciła się mu w ramiona. - Możesz zacząć choćby zaraz.

Chwycił ją w objęcia. Przytulił.

- Zacząć co? - spytał.

- Oblężenie.
- Przecież zgodziłaś się. Pocałowała go. Gorąco i namiętnie.
- Nie. Nie zgodziłam się. Przyznałam tylko, że cię kocham. Musisz jeszcze trochę popracować, żeby zdobyć moją rękę, panie Jefferson. Będziesz musiał, jak to powiedziałeś, rozpocząć oblężenie. Już nie mogę się tego doczekać.